



Vanessa Valcour

**ŻEGNAJ,
KOCHANKU**

Przełożył Andrzej Walczak
Tytuł oryginału Play It by Heart



ŻEGNAJ, KOCHANKU

- *Kto to jest Wesley ? - cicho zapytał Josh. Taryn zmieszana się. Nie wiedziała, czy powinna mu wszystko powiedzieć, czy nie. Nie chciała psuć wyjątkowej atmosfery tego wieczoru. Zdała sobie jednak sprawę, że nawet najsprytniejsze kłamstwo zaraz wyjdzie na jaw; Josh znał ją zbyt dobrze.*
- Wesley jest mężczyzną, za którego omal nie wyszłam.*
- „Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu?” - zapytał ze złością.*
- Skinęła głową.*
- *Ważnie ten -potwierdziła niby od niechcienia.*
- Jaki on był? Ten... Wesley... ?*
- Wesley Van Essen. Uchodzi za dobrą partię. Jest bogaty, przystojny i bardzo, bardzo miły - odpowiedziała szczerze, delektując się swobodą, z jaką może się na ten temat wypowiadać. - Nasze rodziny mieszkają obok siebie, a my od dziecka przyjaźnimy się ze sobą. Nasi rodzice zawsze mieli nadzieję, że w końcu się pobierzemy.*
- Dlaczego tak się nie stało? - domagał się wyjaśnień. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.*

Rozdział I

Poranek wydawał się wprost wymarzony na rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

Taryn Tremayne westchnęła i odgarnęła z oczu gąszcz splecionych włosów. Widoczny przez okno skrawek nieba był nieskazitelnie błękitny, niczym arkusz kolorowego papieru do wycinania. Jasne promienie słońca przenikały przez szybę i rozsypywały na jej łóżku tysiące złotych płatków.

Była siódma trzydzieści. Wyłączyła budzik nastawiony na ósmą. Jej uczucia oscylowały pomiędzy niepokojem a oczekiwaniem. Pełna niepewności wstała, by zacząć nowy dzień.

Boso szła do kuchenki, zamierzając przygotować sobie kawę. Promienie słońca docierały tutaj przez małe okienko w suficie i muskały listki doniczkowych kwiatów. Hodowanie roślin w mieszkaniu stało się ostatnio jedną z jej ulubionych czynności. Taryn wyczuwała łączącą ją z nimi tajemną więź. Czuła, że rozwija się z nimi. Z przyjemnością spojrzała na długi rząd mosiężnych doniczek i rosnące w nich dzwoneczki i gwiazdę betlejemską oraz na upięte nad zlewem pnącza powojnika. Na lodówce stało czworokątne pudełko z drzewa sekwoi, w którym urządziła mały zielnik.

Z filiżanką kawy w ręku chodziła po swoim poddaszu. Faktycznie było to jedno pomieszczenie, które jednak wielkością mogło dorównać magazynowi dużego sklepu. Część służąca jej za mieszkanie oddzielona była bawełnianymi haitańskimi kotarami, zawieszonymi na szynach pod sufitem. Można je było przesuwac w różnych kierunkach, błyskawicznie zmieniając rozkład pomieszczenia.

Miała zamiar urządzić je samodzielnie. Powinno być utrzymane w beżowobiałej tonacji, tu i ówdzie podkreślonej tylko czerwienią i błękitem. „To kolory wolności”-pomyślała. Mimo zgromadzonego już podstawowego wyposażenia poddasze nadal wydawało się opuszczone, ale na to nie było rady - będzie tak, dopóki nie znajdzie stałego zatrudnienia. I tak większość pieniędzy, jakie w depozycie zostawiła jej babcia, wydała już na kupno tego mieszkania. To, co zostało, nie wystarczy jej na długo. Będzie musiała ograniczyć wydatki. Dyplomy z Bennington i Julliard dawały jej podstawy do ubiegania się o posadę nauczycielki muzyki. Pieniądze zarabiane w ten sposób będą musiały starczyć jej do czasu, gdy zawodowo zajmie się pisaniem tekstów piosenek.

Wizja uczenia rozpuszczonych nastolatków nie wydawała jej się szczególnie zachęcająca, liczyło się jednak każde źródło dochodów. Nie miała wielu potrzeb, a ponieważ mieszkanie należało do niej, nie musiała troszczyć się o opłatę czynszu, mimo to z czegoś przecież musiała żyć; trzeba było płacić za prąd i telefon - a w Nowym Jorku opłaty te były naprawdę wysokie. Gdyby tylko (czy nie byłoby to zbyt piękne?) udało jej się sprzedać jedną ze swych piosenek! Wtedy i tylko wtedy będzie mogła uznać, że odniosła sukces w wymarzonej dziedzinie. Jednak do tego czasu trzeba będzie zadowolić się posadą nauczycielki.

Usiadła na eleganckiej kanapie i zapatrzyła się przed siebie. Przez sięgające od podłogi do sufitu okna obserwowała wierzchołki okolicznych budynków. Ta część Nowego Jor-

ku, Soho, bardzo jej odpowiadała. Tu wielkomiejskie życie miało prawdziwy smak. Gdy w Greenwich Village stało się zbyt tłoczno, gdy opanowali ją ludzie ogarnięci robieniem pieniędzy, artyści i rzemieślnicy stworzyli sobie nową przystań w okolicy South Houston Street. W ślad za nimi przenieśli się butiki, restauracje i nocne kluby, tworząc w nowym miejscu specyficzną, jedyną w swoim rodzaju dzielnicę.

Wypiwszy kawę, podeszła do miniaturowego białego fortepianu - wspaniałego podarku, jaki otrzymała od rozrzutnego ojca. Spojrzała na rezultaty wczorajszej wieczornej pracy - na piosenkę zatytułowaną „Żegnaj kochanku - witaj przyjacielu”. Napisała ją po rozmowie międzymiastowej ze swym byłym narzeczonym, Wesleyem Van Essenem. Twórczy wysiłek pomógł jej uporać się z poczuciem winy. Przymknęła oczy i delikatnie przebiegła palcami po klawiszach.

- Wesley - szepnęła.

Pasemka jasnych włosów... bładoniebieskie oczy... miły uśmiech... Potrafiła go sobie wyobrazić, poczuć się tak, jakby spał teraz koło niej.

Mówiono o nich, że są „świetnie dobraną” parą. Od dzieciństwa byli przyjaciółmi, wspólnie dorastali, razem żeglowali na jachcie. Później wspólnie chodzili na zabawy do klubu. Wszyscy im zazdrościli. W końcu zaręczyli się. Nie umiała powiedzieć, w jakim stopniu ich uczucie było autentyczne, a w jakim po prostu ulegli presji rodziców. Ukończyli szkoły - ona Bennington, on Princeton po czym publicznie ogłosili swe zaręczyny.

Gdy tylko wszyscy oswoili się z tą wiadomością, Wesley zaczął nalegać, by zostali kochankami. Taryn uznała, że w jego propozycji nie ma nic niewłaściwego. Ufała mu i jak dotąd nie miała powodu, by wątpić w jego miłość. Był dla niej zawsze delikatny i czuły, i chociaż ich spotkania nie przypominały fajerwerków opisywanych w romansach, to jednak... satysfakcjonowały ją.

Wtedy ogarnęło ją nagle uczucie, że tonie w ruchomych piaskach. Oznajmiła mu, że pragnie zerwać zaręczyny. Był wyrozumiały - Wesley zawsze był wyrozumiały. Niestety, był również naiwny. Wierzył, że Taryn po jakimś czasie zmądrzeje i wróci do niego.

Przestała grać i zatrzasnęła wieko fortepianu. Ta melodia była do niczego. Do niczego! Wiedziała, że nie współgra z tekstem, nie podkreśla jego znaczenia, przeciwnie - słowa były zawieszane w bezbarwnej melodii jak wiadomość w butelce, porzuconej na bezkresnym spokojnym morzu.

Zadzwoił telefon. Spojrzała na zegarek. To nie mogła być matka, było jeszcze zbyt wcześnie. Ojciec pojechał w interesach do Waszyngtonu, Wesley był ciągle w Newport, na regatach. Wzruszywszy ramionami, podniosła słuchawkę.

-Taryn? Tu Didi.

-Didi? Od kiedy wstajesz o tej porze?

-Musiałam przyjechać rano. Biorę udział w przesłuchaniu z orkiestrą Village Light Opera. Co robisz w czasie lunchu?

-Jeszcze nie wiem. Zajęcia kończę o dwunastej. Dalej nic nie planowałam.

-To świetnie! Może spotkamy się w „The Good Earth”? To taka restauracja ze zdrową żywnością na Bleecker Street.

-Zdaje się, że wiem, gdzie to jest. Nie rozumiem jednak, dlaczego zależy ci na zdrowej żywności?

-Znowu jestem na diecie - odpowiedziała Didi. - To straszne! Wczoraj wieczorem próbowałam założyć swój kostium kąpielowy. Wyglądałam w nim jak piłka plażowa.

-Taryn roześmiała się.

-W porządku. Zatem do zobaczenia w „The Good Earth”.

Telefon wprowadził ją we wspaniałą nastrój. Odwiesiła słu-

chawkę i pospieszyła do łazienki, jedyne ustronne miejsce w całym mieszkaniu.

Po kąpieli wierzchem dłoni wytarła parę z lustra, po czym osuszyła ręcznikiem swoje długie włosy i zaczesła je do tyłu, by wyschły w naturalny sposób. Miały jasnokasztanowy kolor, były lśniąco, gęste i falujące. Włożyła czerwoną jedwabną podomkę - kolejny podarek od ojca - i wróciła do kuchenki, by przygotować sobie śniadanie. Postawiła na tacce kolejną filiżankę kawy, naczynie ze świeżymi truskawkami, dołożyła do tego kromkę pszennego tostowego pieczywa i zaniósła to wszystko do tej części poddasza, w której zazwyczaj spożywała posiłki. Postawiła tacę na olbrzymim drewnianym stole. W czasie posiłku przeczytała powtórnie list od Alexandra Lehrmana z Amerykańskich Pracowni Muzycznych, w którym wyrażał on zgodę na przyjęcie jej na kurs. Odczytywała go głośno, delektując się nim prawie tak samo, jak śniadaniem: „... uległem całkowicie sile przekonywania, zawartej w pani tekstach. Z wielką radością pragnę poinformować o przyjęciu pani na letni kurs z zakresu amerykańskiego teatru muzycznego. Mam nadzieję, że nasze spotkania pomogą pani osiągnąć upragnione cele. Z poważaniem, Alexander Lehrman”.

Patrzyła na list, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Lehrman był jednym z najlepszych dyrektorów muzycznych na Broadwayu, postacią niemal legendarną, a poza tym autorem kilku cenionych książek na temat owej fascynującej, specyficznie amerykańskiej, formy rozrywki - musicalu.

Otworzyła pokryte lustrami drzwi swej garderoby i przyjrzała się równym rzędom ubrań, próbując znaleźć coś, w czym zrobiłaby najkorzystniejsze wrażenie. Coś nadzwyczajnego? Uroczystego? Wykwintnego? Z pewnością spotka całą masę interesujących ludzi, a przecież tak dawno... Zmarszczyła brwi. Nie ma teraz czasu, by o tym myśleć. Włączyła radio i chwilę szukała stacji, nadającej właśnie prognozę pogody.

„... a teraz pogoda w mieście. W poniedziałek, siódmego czerwca, o godzinie dziewiątej rano na termometrach w Central Parku zanotowano aż dwadzieścia pięć stopni ciepła, a słupek rtęci ciągle idzie w górę. W ciągu dnia należy się spodziewać co najmniej trzydziestu stopni”.

- A więc wszystko jasne! - powiedziała głośno.

Wybrała niebieską dzinsową spódnicę, siateczkową koszulę i parę wygodnych butów. Pokryła powieki delikatną warstwą cienia, by podkreślić naturalny błękit oczu, a czerwoną szminką dodała lśniącej świeżości swym kształtnym pełnym wargom.

Uśmiechnęła się do odbicia w lustrze. „Nie jest źle” - stwierdziła, obracając się profilem. Beznamiętnie przyjrzała się swej zgrabnej sylwetce. Miała jędrne piersi, jej wąska talia przechodziła w bujne biodra. Zawsze była bardzo dumna ze swych długich, szczupłych nóg. Kobiety w jej rodzinie były raczej niskie i krępe; żadna z nich nie dorównywała jej wzrostem. To również odziedziczyła po ojcu. Do podręcznej torby włożyła kilka niezbędnych drobiazgów, włączyła jeszcze automatyczną sekretarkę i była gotowa do wyjścia. Miała wystarczająco dużo czasu, by pieszo dotrzeć na miejsce. Nie przepadała za środkami miejskiej komunikacji, a przyrzekła sobie, że nie będzie korzystała z taksówek. Poranne powietrze, które owiało ją na ulicy, pachniało latem, kwiatami i słońcem. W miarę jak zbliżała się do Washington Square, ulice stawały się coraz bardziej zapełnione ludźmi. Wielu z nich spacerowało po prostu, ciesząc się piękną pogodą. Matki pochylały się nad śpiącymi w wózkach niemowlętami, młode pary przechadzały się przytulone do siebie, tu i ówdzie dwoje starszuchów, wspierających się raczej niż obejmujących, przesuwało się ostrożnie w tłumie.

Nagle poczuła się samotna. Odezwiała się w niej tęsknota za Wesleyem. Nie, nie tyle za samym Wesleyem, co za związkiem z jakimś mężczyzną. Zastanowiła się, kiedy ktoś

znowu pojawi się w jej życiu. Być może spotka kogoś na kursie? Puściła wodze wyobraźni; spokojny, wykształcony, znający się na muzyce i na teatrze. Mieliby sobie tyle do powiedzenia! Mijając siedzących przy fontannie, zachowujących się hałaśliwie chłopców, poczuła na sobie ich spojrzenia. Przyspieszając kroku, pomyślała, że nie spieszy jej się aż tak bardzo, by miała zadowolić się kimś, kto nie będzie spełniał jej oczekiwań.

Przeszła pod Łukiem Waszyngtona, raz jeszcze podziwiając zgrabną a równocześnie imponującą budowlę, stojącą na straży Piątej Alei. Minęła wielobarwną Greenwich Village i doszła do Bank Street, do celu swej wędrówki - dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły, pamiętającego jeszcze czasy Federacji. Zdecydowanym krokiem weszła do środka i zatrzymała się przed tablicą informacyjną. Znalazła na niej wiadomość głoszącą, że kurs będzie się odbywał na pierwszym piętrze. Pospiesznie ruszyła stromymi schodami w górę, przeszła wąskim korytarzem i znalazła się przed otwartymi drzwiami sali wykładowej.

Zatrzymała się w progu. Spostrzegła, że wolne miejsca znajdują się jedynie w pierwszym rzędzie. Czując się odrobinę skrępowana, szybko zajęła jedno z wolnych krzeseł, otworzyła notatnik i czekała. Spojrzała na kobietę po jej prawej stronie. Na nosie miała okulary. Proste rude włosy otaczały jej twarz pokrytą piegami tak gęsto, że wyglądała, jakby ktoś spryskał ją brązową farbą.

-Pan Lehrman jeszcze nie przyszedł? - zapytała Taryn.

-Lubi, gdy mówi się o nim „profesor” - odrzekła kobieta. Potem mrugnęła znacząco i dodała: -Sądzę, że czeka na stosowną chwilę. Chce mieć mocne wejście.

Kilka minut później zza osłoniętych kotarą drzwi wynurzył się Alexander Lehrman. Choć w rzeczywistości wyglądał starzej, Taryn natychmiast rozpoznała twarz spoglądającą z okładek jego książek. Zdobiły ją starannie przystrzyżone wąsy i broda oraz gęstwina kręconych, zupełnie siwych

włosów. Miał na sobie elegancki, choć nieco staromodny garnitur. Zza drucianych okularów błyskały figlarne błękitne jak niezapominajki oczy. Zajął miejsce za katedrą i pozwoli, uważnie przyjrzał się każdemu z obecnych.

-Teatr amerykański jest w paskudnym stanie - zaczął grzmącym głosem. - Co zamierzacie z tym zrobić?

Nim ktokolwiek zdążył odzyskać zimną krew i odpowiedzieć na to pytanie, w drzwiach pojawił się jakiś mężczyzna. Taryn spojrzała na niego. Nie był specjalnie przystojny, było w nim jednak coś fascynującego. Imponująco zbudowany, musiał mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Z pewnością niewiele brakowało mu do trzydziestki albo nawet już ją przekroczył. Jego bujne kasztanowe włosy były w nieładzie, jakby rozwiał je wiatr albo... wzburzyła zakochana dłoń. Choć gęsta czupryna opadała mu na oczy, Taryn dostrzegła, że mają jasnobrązowy kolor i spoglądają łagodnie. Miał szeroki nos, a jego usta uśmiechały się przyjaźnie.

Przyszło jej do głowy, że na tę okazję mógłby ubrać się nieco inaczej. Miał na sobie parę dżinsów tak obcisłych, że wydawało się, iż z trudnością się w nich porusza. Przyciasna marynarka częściowo tylko okrywała jego nagą pierś. Na biodrach miał szeroki skórzany pas z olbrzymią wypolerowaną mosiężną klamrą, która przyciągała uwagę, odbijając światło. Taryn przypuszczała, że nosił ją właśnie w tym celu. Nie przestając się uśmiechać, powiedział:

-Przepraszam za spóźnienie, panie Lehrman.

-Profesorze Lehrman - poprawił go starszy pan. - Proszę usiąść, panie...?

-Hammond. Joshua Hammond - odpowiedział mężczyzna.

Niespodziewanie uśmiechnął się w stronę Taryn. Opalenizna pokrywająca jego twarz sprawiała, że jego duże białe zęby wydawały się jeszcze większe. Nagle zdała sobie spr-

wę, że wpatruje się w niego. Próbowwała odwrócić spojrzenie - bezskutecznie.

Podszedł do niej wolnym, jak gdyby czającym się krokiem. Otaczała go aura zmysłowej arogancji. Czyżby miał zamiar usiąść obok?

- Przepraszam panią — powiedział, przeciągając sylaby.

- Czy to miejsce jest zajęte?

Pokręciła głową, nie ufając własnemu głosowi. Usiadł, a krzesło jęknęło pod ciężarem jego ciała.

„Co on tu robi? - zastanawiała się. - Czy ktoś taki może mieć jakiś talent poza... hm, umiejętnością zwracania uwagi swoim ubiorem?”

Rozdział II

Umysł Taryn wylapywał słowa profesora, a jej ręka automatycznie zapisywała je w notesie. Myślami jednak była daleko.

- Teraz pokrótce przedstawię państwu dzieje amerykańskiego teatru muzycznego tak, jak to tylko ja zrobić potrafię - oświadczyłuroczystym tonem Lehrman.

Siedząc sztywno i patrząc przed siebie, Taryn nie mogła zapomnieć o tym, że tamten mężczyzna ciągle siedzi tuż obok niej. Wdychała przyjemny zapach jego ciała -zapach potu zmieszany z delikatnym mydłem. Słyszała jego oddech. Był głęboki, regularny i dużo swobodniejszy niż jej własny. Czowała bijący odeń żar, który zdawał się ogrzewać jej skórę. Miała wrażenie, że siedzi blisko pieca. Próbowwała zmusić się do pełnej koncentracji, lecz zdania Lehnnana po-

jawiały się i znikwały, docierając do jej uszu w strzępach, mieszając się w jeden niedorzeczny monolog.

„The Black Crook” zapoczątkował wszystko... przy pomocy Floradora Girlsa... operetka Sigmunda Romberga i... Szaleństwa Ziegfelda... dodajmy do tego poczucie humoru Cole 'a Portera... i „Oklahoma!” zmieniła wszystko... potem „West Side Story”... wstrząs wywołany przez „Jair”...

Upuściła długopis. Gdy schyliła się, by go podnieść, jej policzek zetknął się z policzkiem Hammonda. Zarost jego brody poślaskował jej skórę. Dziękując nieśmiało, poczuła, że rumieniec rozlewa się po jej twarzy. Zmusiła się do skupienia uwagi na dzwicznym barytonie profesora.

-Spójrzcie tylko państwo na wszystkie te musicale z Broadwayu, które ostatnio zrobiły klapę. Wiele z nich, pragnę przypomnieć, zostało stworzonych przez najznakomitszych twórców. A więc co kryje się za tą klęską? Koszt musicalu kształtuje się w granicach od jednego do trzech i pół tysiąca dolarów, nie można więc pozwolić sobie na porażkę. Co zatem decyduje o tym, że musical zaczyna cieszyć się popularnością? Dlaczego niektóre stają się przebojami, inne zaś upadają i szybko się o nich zapomina?

Uniósł się na palcach i wcisnął kciuki w kieszenie marynarki.

-Ja wiem, dlaczego tak jest, a państwo? Panie i panowie, chciałbym, abyście na jutro napisali krótkie wypracowanie na temat swych ulubionych musicali. Proszę ograniczyć swoje zachwyty do pięciu utworów. Chodzi o to, abyście uzmysłowili sobie, dlaczego mają one dla was taką wartość. Z pewnością wiecie, że wolę musicale staromodne, zbudowane tradycyjnie. Proszę, abyście nie sugerowali się moimi upodobaniami. Nie doprowadzi to państwa donikąd, nie nauczy niczego. Jeśli jest tak, że uwielbiacie jakiś upiorny awangardowy kicz, to nie bójcie się do tego przyznać. Przygotujcie jednak solidną argumentację. To wszystko na dzisiaj - rozejrzył się po sali i westchnął.

-Zrobiłem, co mogłem, by was zniechęcić, przypuszczam jednak, że jutro zjawicie się państwo w komplecie, pełni zapału, żądni moich uwag.

Powiedziawszy to, obszedł dookoła katedrę, śpiewając kilka pierwszych linijek z „There's No Business Like Show Business”. Wkrótce zniknął za kotarą.

Taryn wstała i, podobnie jak inni, zaczęła bić brawo. Potem zebrała rzeczy i pomknęła ku wyjściu, nie oglądając się za mężczyzną, który zawładnął jej wyobraźnią i zburzył skupienie.

Przy drzwiach wyjściowych uderzył ją prąd wilgotnego powietrza. Zatrzymała się, zdezorientowana widokiem nieznannej jej ulicy, ale tupot stóp ludzkich, schodzących za nią po schodach, zmusił ją do podjęcia decyzji. Ruszyła na prawo, mając nadzieję, że idzie we właściwym kierunku. Doszła do Bleeker Street, skręciła i, ku swej uldze, ujrzała przed sobą restaurację „The Good Earth”.

Otworzyła drzwi i weszła, oddychając czystym klimatyzowanym powietrzem. Rozejrzała się, szukając Didi. Wnętrze było typowe dla lokalu serwującego zdrową żywność - stoły, krzesła i lady wykonane zostały z surowego dębowego drewna, podłoga pokryta była białą glazurą, ściany udekorowano tapetami wyobrażającymi falujące pola pszenicy, winnice i dziewicze lasy. Z sufitu zwisały doniczki z pnącymi roślinami. Uradowana wszechstronną zielenią, jeszcze raz przyjrzała się wszystkiemu uważnie - rośliny były sztuczne! Miała nadzieję, że przynajmniej jedzenie będzie takie, jakie być powinno.

-Taryn!

Powędrowała wzrokiem w kierunku, z którego dochodził melodyjny głos Didi. Dostrzegła swą przyjaciółkę i uśmiechnęła się.

Aida Abramovitz, jak to niegdyś wyjaśniła, została tak ochrzczona, ponieważ gdy się urodziła, jej rodzice pracowali w Metropolitan Opera. Żadne z nich nigdy nie zostało

gwiazdą, wiązali jednak duże nadzieje ze swoim dzieckiem. Postanowili, że gdy dorośnie, będzie śpiewać partię Aidy w ich rodzimej operze. Didi, jak ją najczęściej nazywano, nie spełniła oczekiwań rodziców. Jednak interesowała się muzyką: została znakomitą wiolonczelistką.

Taryn podeszła do stołu. Didi wstała i uściśniły się serdecznie.

-Wyglądasz wspaniale - stwierdziła. - Spójrzcie tylko na tę talię! To właśnie chciałabym zdobyć, nim umrę wspaniałą talię.

Taryn roześmiała się.

-Na jakiej teraz jesteś diecie, Didi?

-,Wróćmy do podstaw". Wszystko, co jem, musi być naturalne.

Skrzyżowała ręce na sercu i obwieściła dramatycznym tonem:

-Przysięgam, że nic tuczącego nigdy nie trafi do mego żołądka.

Usiadły, a Didi dodała po chwili:

-Chyba że będzie to tort weselny... mój własny! Och, gdybym tylko była taka wysoka i piękna jak ty!

-Bzdury! -odparła Taryn. -Wyglądasz cudownie właśnie taka, jaka jesteś.

Didi była niska - mierzyła niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu - i odrobinę zbyt pulchna, ale miała w sobie tyle radości życia, że potrafiła ująć każdego. Okrągłą twarz otaczały niesforne czarne kędziorki, a jej ogromne oczy połyskiwały niczym onyksowe kamyki. Jej cera była naturalnie śniada, a usta, przypominające kształtem łuk Amora, zawsze uśmiechnięte. Taryn uważała ją za atrakcyjną dziewczynę i często próbowała dodać przyjaciółce animuszu, mówiąc jej o tym.

-Jak ci się powiodło na przesłuchaniu?

Didi spojrzała wymownie w górę i pogładziła ukrytą

w pokrowcu wiolonczelę, która stała oparta o sąsiednie krzesło.

-Dyrektor muzyczny stwierdził, że zrobiłam na nim duże wrażenie. Nie wiem, czy miał na myśli moją grę, czy zdolność do targania tego ciężaru w takim skwarze. Myślę, że dostanę tę posadę. Nie powiem, żeby szczególnie cieszyła mnie wizja spędzenia lata z Gilbertem Sullivanem, ale pieniądze z pewnością się przydadzą. Poza tym orkiestra zdominowana jest przez mężczyzn, co bardzo mi odpowiada, bo najczęściej bywam kobietą. A jak twój kurs? Podobał ci się ten staruszek Lehrman? Słyszałam, że brak mu piątej klepki.

-Jest odrobinę ekscentryczny - przyznała Taryn. - Ma zwyczaj ilustrować swoje wykłady śpiewem i tańcem. Robi jednak dobre wrażenie - tak mi się przynajmniej wydaje. Będę musiała jeszcze raz przejrzeć notatki.

Zajrzała do torby stojącej na sąsiednim krześle i stwierdziła, że nie ma w niej notatnika.

-Mój notatnik! Chyba zostawiłam go w sali. Będę musiała tam wrócić po lunchu.

-Pójdę z tobą - rzekła Didi. Skrzywiła się znacząco i nonszalanckim tonem zapytała: - Spotkałeś tam kogoś interesującego?

-Prawdę powiedziawszy, spodziewałam się spotkać nieco innych ludzi, młodszych. Ci, którzy przyszli, byli przeważnie w średnim wieku. Myślę, że wynika to z tego, że jest to letni kurs. Zjawił się tylko jeden facet w moim wieku, przyznam, że dosyć atrakcyjny... ale taki zwyczajny - dodała szybko.

-Co to znaczy „zwyczajny”? - zapytała Didi.

-Znasz takich facetów! Muskularni, pewni siebie, nieokrzesani. Tacy, co to obnoszą się ze swoją męskością jak z medalem za odwagę.

Opisała Joshuę Hammonda. Gdy skończyła, Didi spojrzała na nią z uśmiechem.

-Ciekawe, czy mogłabym się jeszcze zapisać?

-Z pewnością nie jest specjalnie utalentowany - stwierdziła stanowczo Taryn. - Wygląda jak model z fotografii reklamowych.

-Muszę przyznać, że coraz bardziej jestem nim zainteresowana.

Podeszła kelnerka, podała im dwie poplamione, zniszczone karty, po czym usiadła ciężko pod ścianą, czekając na ich decyzję. Taryn posłała jej ukradkowe spojrzenie. Była blondynką, skórę miała nienaturalnie bladą, jej oczy były zmęczone, pozbawione blasku. Mogło się wydawać, że śpi.

-Poproszę hamburgera z cukinią, sałatkę z zielonego groszku i sok z marchwi - rzekła Didi.

-A ja proszę mrożoną kawę, sałatkę z tuńczyka i chlebek pitta - dodała Taryn.

Kelnerka skinęła nieznacznie głową i czmychnęła do kuchni.

-Żywa reklama tej restauracji - rzekła ironicznie Taryn.

-To prawda. Wygląda na to, że niezbyt odpowiada jej ta praca. No, ale powiedz, co jeszcze u ciebie słychać? Czy rodzina dała ci wreszcie spokój? Co z Wesleyem?

-Wszystko w porządku.

-Czuję w twojej odpowiedzi wymuszony entuzjazm.

-Ciagle sobie powtarzam, że muszę zacząć wszystko od nowa - powiedziała Taryn. - Sądzę jednak, że nigdy nie udaje się całkowicie otrząsnąć z przeszłości. Nie powinnam była jechać do domu w czasie ostatniego weekendu, chciałam się jednak spotkać z tatą, zanim pojedzie do Waszyngtonu. Myślałam, że wszystko będzie w porządku. Wesleya nie było. Pojechał do Newport, na regaty.

Warunki były sprzyjające.

-Mimo wszystko był tam. Widziałam go wszędzie,

w każdym pokoju, w ogrodach, w twarzach przyjaciół, a przede wszystkim w pełnych nagany spojrzaniach matki.

-Jesteś absolutnie pewna, że nie kochasz Wesleya?

-Nie sądzę, bym kiedyś go kochała. Przypuszczam, że gdy zgodziłam się na małżeństwo, myślałam, iż jestem zakochana. Potem jednak zaczęłam zdawać sobie sprawę, że odgrywam tylko rolę, którą przydzielono mi, nie pytając mnie o zdanie. Nagle, w niewiarygodny sposób, poczułam się tym wszystkim znużona - przerwała, zamyśliwszy się na chwilę, po czym podjęła z ożywieniem: - A więc zmieniłam moją rolę i czekam na nową publiczność!

W tej właśnie chwili kelnerka przyniosła napoje. Didi uniosła swoją szklankę z sokiem z marchwi.

-Twoje zdrowie, króliku - pociągnęła łyk i wykrzywiła się. - To podobno jest dobre dla oczu - stwierdziła, patrząc przez ramię przyjaciółki na frontowe okna restauracji. -Czy ten facet z twojego kursu miał gęste kasztanowe włosy?

Taryn przytaknęła.

-Nosił dzinsy i marynarkę nałożoną na gołe ciało?

Taryn znowu skinęła głową.

-Poza tym był wysoki i zbudowany jak goguś z gazetowej reklamy?

-Tego nie powiedziałam, ale... - Taryn odwróciła się i dostrzegła Joshuę Hammonda, który stał z twarzą przyciśniętą do szyby. Pospiesznie odwróciła się do przyjaciółki.

-O do licha! Co on tu robi?

-Najwyraźniej ciebie szuka. Wchodzi... rozgląda się... podchodzi tu... - Didi zniżyła głos. - Jest tu.

Taryn podniosła wzrok. Stał nad nią wysoki, z pewnym siebie wyrazem twarzy, trwałym jak opalenizna.

-Zostawiła pani swój notatnik, panno Tremayne. Znam pani nazwisko, ponieważ napisała je pani tu, w środku. Taryn Tremayne... To bardzo romantyczne nazwisko.

Wyciągnęła rękę po swój notatnik, on jednak nie oddał go

jej. Zamiast tego obszedł Didi, oparł jej wionoczełę o ścianę i zajął miejsce przy stoliku.

-Nazywam się Joshua Hammond - powiedział.

-Didi Abramovitz. Czy zechciałby pan... przyłączyć się do nas?

Taryn posłała przyjaciółce pełne wyrzutu spojrzenie. Didi wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Cóż na to poradzę?”

-Czy czekają panie na lunch?

-Owszem, panie Hammond - odparła Taryn ponownie, wyciągając rękę po swój notatnik. -I naprawdę sędzę, że...

Kelnerka, nagle ożywiona, machnęła kartą przed nosem Didi, chcąc podać ją nowemu gościowi.

-Niepotrzebna mi karta, proszę pani. Zjadłbym krwistego hamburgera z frytkami i napiłbym się coca-coli.

Kelnerka wyglądała na wstrząśniętą. Ślad rumieńca, który pojawił się na jej twarzy, zniknął powoli.

-Nie serwujemy takich posiłków - oznajmiła.

-To restauracja ze zdrową żywnością - wyjaśniła Didi. Skinął głową i spojrzał na menu.

-Niech mi pani wobec tego poda sojowego hamburgera z żurawiną.

Kelnerka niechętnie wycofała się w mrok zaplecza.

Taryn czuła się nieswojo, ale za nic w świecie nie przyznałaby się do tego. Próbowwała kontynuować swoją rozmowę z Didi, nowy znajomy nie pozwolił jednak, by go pomiłano. Zachowywał się tak, jakby każde wypowiedziane przy stoliku słowo dotyczyło bezpośrednio jego osoby. Gdy wyszło na jaw, czym zajmuje się Didi, oznajmił:

-Sam grywam na pianinie. W czasie weekendu możecie mnie zastać w „Little Club” tutaj, w Greenwich Village. Być może słyszałyście o tej knajpie?

W milczeniu pokręciły głowami.

-Koniecznie musicie tam wpaść! - kontynuował niezra-

żony Josh. Będziecie moimi gośćmi, zgoda? Może w sobotę wieczorem?

Taryn pominęła milczeniem jego propozycję.

-Dlaczego wobec tego uczęszcza pan na kurs Lehrmana?-zapytała.

-W klubie gram tylko po to, żeby mieć czym opłacić czynsz - odpowiedział urażony. - Tak naprawdę to jestem kompozytorem.

Przyjaciółki wymieniły zdziwione spojrzenia.

-Komponuję muzykę - dodał po chwili.

-Jaką muzykę, Josh? - zapytała Didi.

-Przeważnie rocka.

-Skąd zatem zainteresowanie kursem? - nalegała Taryn.

-Było już kilka rockowych musicali, które odniosły sukces, prawda?

-Nie byłabym taką optymistką.

-Najwyraźniej mamy różne gusta.

-Bardzo podobało mi się „Hair” - powiedziała nieśmiało Didi, najwyraźniej nie chcąc, by przyjaciółka dopatrywała się w jej słowach zdrady. - Podoba mi się również wpływ, jaki rock wywiera na niektóre z nowych musicali.

-To właśnie mam na myśli! - wykrzyknął Josh. - Przedstawienie musi być rockowym musicaliem, by zawierać elementy rocka. Myślę, że rock nadaje muzyce nowy wymiar, pozwala jej zbliżyć się do współczesnych odbiorców. Nie wszystko musi brzmieć jak walc wiedeński.

Taryn uznała za stosowne wypowiedzieć swoje zdanie.

-Lubię dobrze skonstruowane musicale - coś, co ma sensowny wątek i kilka melodii wpadających w ucho.

Josh pochylił się nad stołem i spojrzał jej prosto w oczy.

-Czym się zajmujesz, Taryn?

-Czym się zajmuję? - powtórzyła, onieśmielona jego bezpośredniością. -Ja... ja piszę teksty.

Uśmiechnął się chytrze.

-Może moglibyśmy pracować razem?

-To mało prawdopodobne - odparła wyniośle. - Tak się składa, że uwielbiam walce wiedeńskie.

Kelnerka przyniosła zamawiane dania, hałaśliwie rozstawiła talerze i odeszła, poruszając się z wymuszoną swobodą. Przez moment siedzieli w milczeniu, wpatrując się w nieapetycznie wyglądające potrawy. Potem jednocześnie sięgnęli po swoje dania, spróbowali i skrzywili się.

-Często tu przychodzicie? - zapytał ostrożnie Josh. Spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

-Nie, o Boże, nie! - krzyknęła Didi. - To nasz pierwszy...

-.. i zdecydowanie ostatni raz - dokończyła Taryn.

-Koniec z tym - rzekła Didi. - Będę musiała spróbować innej diety. Nie mogę znieść całej tej zdrowej żywności.

-Jesteś na diecie? - zdziwił się Josh. - Według mnie wyglądasz w porządku.

Taryn poczuła do niego pierwszy przeblysł sympatii. Wyglądało na to, że mówi szczerze. Didi podziękowała mu, po czym ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

-Do licha! Nie wiedziałam, że jest tak późno. Muszę lecieć do Village Light Opera na poprawkę.

Taryn zmarszczyła brwi.

-Na poprawkę? Właśnie stamtąd wracasz. Jak to możliwe, żebyś już szła na poprawkę?

-O, tam pracuje się bardzo szybko - odparła wesoło Didi, wstając od stołu.

Josh wstał również i podał jej rękę.

-Naprawdę miło mi było ciebie poznać, Didi. Nie zapomnij przyjść do klubu w sobotę wieczorem.

Didi spojrzała na przyjaciółkę, która nieznacznym ruchem głowy dała jej do zrozumienia, że powinna odmówić.

-No cóż, jeśli nie wpadnę w tę sobotę, to może w nastę-

pną - odrzekła dyplomatycznie i zaczęła grzebać w swej olbrzymiej portmonetce.

-Nie, proszę! - rzekł pospiesznie Josh. - Proszę pozwolić mi zapłacić.

-Dziękuję ci bardzo - zaświergotała Didi, dając jednocześnie Taryn do zrozumienia: „Jeśli się nie pospieszysz, ja się nim zajmę”. Wziąwszy od Josha wiolonczelę, pożegnała się i odeszła.

-Mam ci coś do powiedzenia - rzekł po dłuższej chwili.
- Nie zostawiłaś swego notatnika tam, w sali. Wyjąłem ci go z torby, gdy nie zwracałaś na mnie uwagi.

-Nie rozumiem.

-Ukradłem ci go.

-Dlaczego?

-Nie rozumiesz tego? - odparł, zniżając głos. - Szukałem jakiegoś pretekstu, by się z tobą spotkać. Wybiegłaś z budynku tak szybko, że nim znalazłem się na ulicy, mijałaś już następną przecznicę. Straciłem cię z oczu na rogu Bleecker Street. Zaglądałem do każdego sklepu, baru i restauracji po drodze, aż w końcu znalazłem cię tutaj.

-Podrywasz mnie w dość dziwny sposób.

-Nie pomyśl tylko, że robię tak zawsze.

-Ależ skąd, z pewnością stać cię również na inne wybiegi.

-Nie spodobało ci się to.

-Szczerze mówiąc, nie bardzo. Co by było, gdybyś mnie nie znalazł? Wieczorem zamierzałam uważnie przestudiować notatki. Nie było to zbyt odpowiedzialne z pana strony, panie Hammond.

Utkwił wzrok w swoim talerzu. Wyglądał na skruszonego.

Przypatrywała mu się zamyślona. Stwierdziła, że jest dziecinny, a poza tym najprawdopodobniej zepsuty, egoistyczny i nieodpowiedzialny. Bez wątpienia potrafi kobiecie przysporzyć zmartwień. Mimo to pociągał ją, może na-

wet bardziej, niż odważyła się do tego przed sobą przyznać. Uśmiechnęła się blado. Mogła sobie wyobrazić ogólną konsternację, jaką mężczyzna w jego typie wywołałby wśród jej przyjaciół w Hudson Valley. Przecież on nosiłby dzinsy nawet na letniej zabawie! Nie wie zapewne, jak posługiwać się widelcem! No i bez wątpienia zamówiłby piwo - i pił je prosto z butelki. Mimo to działał na jej wyobraźnię. Siła jego zmysłowości była obezwładniająca i sprawiała, że trzeźwe myślenie przychodziło jej z trudnością. Mimo swych zastrzeżeń zastanawiała się, jak mogłoby wyglądać intymne zbliżenie z takim mężczyzną. Siłą woli zmusiła się do powstrzymywania napływających obrazów. Kochać się z nim, też coś! Skąd jej to w ogóle przyszło do głowy?

Spojrzał na nią rozjaśnionym wzrokiem, a jego usta ułożyły się w szczery uśmiech.

-Mam pomysł. Jeśli moje drobne przestępstwo nie zrobiło na tobie wrażenia, to skomponuję na twoją cześć piosenkę. Zadał w wyimaginowany stroik, po czym używając noża i widelca, zaczął wybijać na blacie stołu rytm zaimprovizowanego utworu. Po chwili, ku przerażeniu Taryn, zaczął głośno śpiewać.

Taryn, odsłoń ci me serce.

Taryn, tęsknię skrycie.

Taryn, chciałbym dzielić

Moje z tobą życie!

Zasłoniła usta dłońmi, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

-To straszne! - krzyknęła.

-Wiem - odpowiedział uśmiechając się. - Dlatego właśnie potrzebuję tekściarza. Melodia nie była najgorsza, prawda?

-Trudno powiedzieć - odparła powściągliwie. - Czy zawsze komponujesz tak błyskawicznie?

-Tylko wtedy, gdy mogę zdobyć jakąś nagrodę.

-Czy komponowałeś już muzykę do jakichś przedstawień?

-Do jednego, ale off-Broadway*. Było paskudne.

-Twoja muzyka też?

-Nie, moja muzyka była w porządku. Samo przedstawienie było do niczego - gra, scenografia, efekty... Wszystko zebrane do kupy przez garstkę sierot i wystawione w jakiejś piwnicy w East Village.

-Czy piszesz teksty? - zapytała niepewnie.

Skinął głową.

-Nigdy nie twierdziłem, że moje teksty są dobre, ale, wierz mi, muzyka jest w porządku.

-Rock?

-Niezupełnie, choć wpływy rocka są naturalnie wyczuwalne. Trochę tego, trochę tamtego. Użyłem niemal każdego znanego z historii stylu muzycznego.

-Jak to się nazywa? Może o tym słyszałam?

-Nigdy nie słyszałaś. Nazywało się to „One Night Stands”.

-Masz rację, nigdy o czymś takim nie słyszałam. No cóż, czas już na mnie. Mamy przecież pracę domową na jutrzejsze zajęcia. - Sięgnęła po rachunek, lecz Josh powstrzymał ją.

-Pozwól mi zapłacić.

Skinęła głową świadoma, że nie ma sensu się z nim spierać.

Gdy wyszli z lokalu, na zewnątrz było jeszcze goręcej.

-Co dopiero będzie się działo w sierpniu! - mruknął

Josh. - Mam nadzieję, że masz w mieszkaniu klimatyzację?

-Naturalnie. No cóż, panie Josh. Miło mi było pana poznać.

** „off-Broadway” - musicale, spektakle teatralne wystawiane poza Broadwayem, w drugorzędnych teatrach i klubach.*

-Odprowadzę cię do domu - powiedział, biorąc ją pod ramię.

-To naprawdę niepotrzebne!

-Myślę, że powiniennem cię odprowadzić - odparł, prowadząc ją wzdłuż Bleecker Street. - Mieszkasz przecież w Soho.

-A pan? - zapytała. - Gdzie pan mieszka?

-Wynajmuję pokój na Trzynastej Ulicy. Jest wystarczająco duży, by pomieścić mnie i mój fortepian.

„Jest uparty jak diabli - pomyślała. -I pewny siebie”.

Intensywna aura męskości otaczała go niczym niewidzialny obłok. Był typem mężczyzny, za jakim przepadały kobiety z towarzystwa. Cóż, jej takie sprawy nie interesują. Jaką przyjemność można by czerpać z obcowania z człowiekiem, który najwyraźniej miał za nic subtelniejsze strony życia? Jego brak ogłady dosłownie rzucał się w oczy. Cóż on mógł wiedzieć o elegancji, dobrych manierach czy, powiedzmy, miłości? Gdy zdecyduje się na znajomość, to na pewno nie z kimś takim jak Joshua Hammond. Stawiała mężczyznom wysokie wymagania, a on na pewno nie mógłby im sprostać.

Zatrzymała się na rogu Bleecker Street i Dziesiątej Ulicy.

-Naprawdę, Josh, wolałabym...

-Spójrz, Little Club jest właśnie tam - pociągnął ją za ramię. - Chodź, pokażę ci, gdzie to jest, żebyś wiedziała, jak tu trafić w sobotę wieczorem.

Nie powiedziałam, że przyjdę.

-Nie powiedziałas też, że nie przyjdiesz.

Kilkanaście metrów dalej znajdowało się wejście do urządzonego w suterenie klubu. Pod tablicą z nazwą widniała duża, oprawiona w ramki, fotografia Josha.

-To ja - rzekł z dumą w głosie.

Zdumiała się. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że jej nowy znajomy oswojony jest z wieczorowym strojem. Pra-

wdopodobnie nalegał na to właściciel klubu. Ledwie zdołała wykrztusić jakąś sensowną uwagę.

-W smokingu wyglądasz zupełnie inaczej.

-Wszyscy, którym to pokazuję, są zaskoczeni -uśmiechnął się. - Na pewno wyglądam nieco bardziej cywilizowanie. Powiedziałem ci już, że nie jest to moje właściwe zajęcie, ale będę się z niego utrzymywał, dopóki nie nawiążę właściwych kontaktów.

-Pracujesz nad czymś w tej chwili? - zapytała, z trudem odrywając wzrok od fotografii.

-Bez przerwy coś komponuję. Moja walizka pełna jest piosenek. No, może niezupełnie piosenek. Większości z nich brakuje tekstów, mimo to nazywam je piosenkami. Wiem, co chcę powiedzieć, ale nie mogę znaleźć odpowiednich słów. - Zajrzał jej w oczy i zawahał się przez chwilę, nim odważył się zapytać: - Czy jesteś dobra w pisaniu tekstów?

-Mmm... tak. Myślę, że tak - odparła zdziwiona. - Tak, jestem w tym bardzo dobra.

Oparł dłonie na jej nagich ramionach. Drgnęła, jakby przeszedł przez nią prąd. Zastanawiała się, czy on również to poczuł. Spojrzała mu prosto w oczy. Pojawiły się w nich iskierki, przypominające miniaturowe błyskawice.

-Moglibyśmy od czasu do czasu popracować nad czymś wspólnie.

-Mówiłam już, co o tym myślę. Wydaje mi się, że nasze gusta zupełnie do siebie nie pasują -odpowiedziała i ruszyła wolnym krokiem.

-Moglibyśmy pójść na kompromis. Przecież na tym właśnie polega współpraca.

-Nie sądzę. Artysta nie zawiera kompromisów. Musi być całkowicie wierny swoim przekonaniom. - Mówiąc to, przyspieszyła kroku i nie zwolniła, dopóki nie dotarła do Washington Square. Ludzi było tutaj znacznie więcej, toteż

nie sposób było posuwać się naprzód tak szybko, jak by chciała. Z irytacją zauważyła, że przechodnie biorą ich za parę. Zasepione twarze rozjaśniały się w pogodnym, życzliwym uśmiechu. Oczy promieniały blaskiem słodkich wspomnień. Niech sobie myślą, co chcą, ona i tak wie swoje. Nie pozwoli sobie niczego wmówić.

Doszli do budynku, w którym mieszkała, i zatrzymali się przy wejściu.

-No to jestem w domu.

-Tu mieszkasz?

-Tak, mam mieszkanie na poddaszu.

-Miło jest mieć do dyspozycji tyle miejsca.

Zamyśliła się. Wiedziała, że powinna zaprosić go na górę, na szklankę herbaty. Mimo wszystko było bardzo gorąco, a on przeszedł z nią taki kawał drogi. Powiedziała jednak:

-Żałuję, ale nie mogę zaprosić cię do siebie. Mieszkanie jest w strasznym nieładzie. Staram się je jakoś urządzić.

Na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie.

-Rozumiem.

Wyciągnęła rękę.

-Do zobaczenia na jutrzejszych zajęciach.

Przez moment wpatrywał się w jej dłoń, tak jakby nie mógł zrozumieć znaczenia tego gestu. Potem jednak ujął ją i rzekł:

-Zastanów się nad naszą współpracą. Zaręczam ci, że

Rozdział III

Taryn włączyła klimatyzację, nastawiła czajnik, by zagotować wodę na mrożoną herbatę, zdjęła sandały i uporządkowała długi stół, przy którym zazwyczaj pracowała. Prze-

najważniejsze fragmenty wykładu.

Przymknęła powieki, przypominając sobie uczucia, jakich doznała rano w klasie. Rumieniec pokrył jej policzki. Dlaczego Josh wywierał na nią tak ogromny wpływ? Był taki zuchwały, bezczelny i pewny siły swego uroku. Zaliczyła go do grupy mężczyzn, którzy nie potrafili czy też nie chcieli dotrzymać kroku cywilizowanemu społeczeństwu. Wielokrotnie już spotykała takich facetów, ale zbywała ich byle czym. Na przykład młody ogrodnik, którego jej rodzice zatrudniali latem - spoufalął się z nią coraz bardziej, aż wreszcie musiała przywołać go do porządku. Przypomniała sobie jeszcze stróża z parkingu przed klubem, zalecającego się do niej niezgrabnie i ubranego od stóp do głów w skórę studenta z Julliard, który usiłował w prostacki sposób skłonić ją do nawiązania z nim bliższej znajomości. Szybko sobie z nim poradziła.

Josh wydał jej się typem awanturnika, pochłoniętego poszukiwaniem łatwych zdobyczy w podejrzanych miejscach. Uświadomiła sobie, że nie powinna cieszyć się z zawarcia z nim znajomości.

- Na tym koniec. Nie mam zamiaru więcej z nim rozmawiać. Jutro będę musiała usiąść z dala od niego - oznajmiła głośno swym roślinom.

Nagle zadzwieczał dzwonek do drzwi, sprawiając, że na moment zamarło jej serce. To na pewno Josh - przystojny, uparty Josh. Gdy otworzyła drzwi, okazało się jednak, że to Nadia Deering, uważająca siebie za jej „najlepszą przyjaciółkę”

Jakiś czas temu chodziły do jednej klasy. Nadia ciągle identyfikowała się z towarzystwem z Hudson Valley, z którą Taryn tak desperacko próbowała się wyrwać. Pozornie miały ze sobą wiele wspólnego - w tym samym czasie skończyły szkołę, chodziły do tych samych klubów, dzieliły się ze sobą banalnymi zwierzeniami.

Nadia była piękna na chłodny, pełen rezerwy sposób. Jej owalną twarz okalała burza srebrzystych włosów. Miała intensywnie zielone oczy; odpowiednim makijażem starała się podkreślić ich skośne ułożenie. Nadawało to jej twarzy wyraz nieustannego zdziwienia. Miała patrycjuszowski nos i wąskie wargi, które z wprawą malowała tak, by wyglądały na pełniejsze.

Taryn uściśnęła ją, zmuszając się do grzecznego, bezosobowego uśmiechu.

-Wyglądasz wspaniale, kochanie - stwierdziła Nadia. - Wybacz mi, że nie zadzwoniłam, ale nie miałam przy sobie twojego numeru.

-Ty również wyglądasz świetnie, jak zwykle zresztą. Co do mojego numeru, to znajdziesz go w każdej książce telefonicznej.

Nadia przyjrzała się przedpokojowi.

-Jeszcze nie skończyli wystroju?

-To zwyczajne poddasze, Nadiu, nie apartament.

Nadia roześmiała się zdawkowo.

-Za każdym razem, gdy słyszę słowo „poddasze”, przychodzi mi na myśl stajnia.

-Konie właśnie wyprowadzono. Trzeba było poprawić im makijaż - odparła Taryn.

-Chciałam ci kupić jakiś drobiazg, ale nie wiedziałam, w jakim stylu masz zamiar umeblować mieszkanie. Biedermeier? Ludwik Piętnasty? Wczesny purytanizm?

-Nic takiego. Raczej późna Taryn Tremayne.

Nadia weszła do pomieszczenia. Jej wysokie obcasy stu-

kały głośno o podłogę. Jak zwykle była nad wyraz szykowana. Taryn podziwiała jej sukienkę - czysty jedwab z delikatnym pastelowym nadrukiem. Na pewno kosztowała masę pieniędzy. Na środku pokoju Nadia nagle odwróciła się.

-To prawdziwe boisko do baseballa!

Taryn uśmiechnęła się sztucznie.

-Nigdy się nie zmienisz. Nic ci się nie podoba z wyjątkiem siebie samej.

Nadia stanęła przed biurkiem, przybierając teatralną pozę.

-Widziałam cię już wcześniej, gdy parkowałam samochód - oświadczyła.

Gdy Taryn nie zareagowała, dodała jeszcze:

-Z tym młodym człowiekiem. Spotykasz się z nim? - Zmarszczyła brwi. - Nie pomyślałabym, że jest w twoim typie!

Taryn, wyprowadzona z równowagi, uniosła w górę ręce i powiedziała wzburzonym głosem:

-Nie spotykam się z nim, Nadiu. Powiedziałam ci już, że zapisałam się na kurs Alexandra Lehrmana o amerykańskim teatrze muzycznym. Ten człowiek... Tak się składa, że ten człowiek jest w mojej grupie i uparł się, że odprowadzi mnie do domu.

-Że odprowadzi cię do domu - powtórzyła Nadia. - Bardzo ciekawe. I co? Niósł twoje książki?

Zagwizdał czajnik.

-O, gotuje się woda!

Taryn pobiegła do kuchni, wołając przez ramię:

-Miałam właśnie zamiar zrobić trochę mrożonej herbaty. Napijesz się ze mną?

-Nie, kochanie. Nie mogę pić herbaty. Źle wpływa na cerę. Chętnie natomiast wypiłabym kieliszek słodkiego białego wina, jeśli takie, naturalnie, masz.

-Oczywiście, że tak. - Taryn sięgnęła do barku po wino.

Miała nadzieję, że jej przyjaciółka powstrzyma się od komentarzy - wino było krajowe i do tego tanie.

Nadia potrząsnęła głową, a jej złote kolczyki lekko zadzwoniły przy tym ruchu.

-Mówisz, że jesteś z nim w grupie - podjęła. - A czym on się zajmuje, jeśli można wiedzieć?

Twierdzi, że jest kompozytorem.

-Może ze mną dałby sobie radę - mruknęła Nadia.

Taryn postawiła herbatę na stole. Nadia nieodparcie przypominała jej lady Chatterley.

-Co ty właściwie robisz, Nadiu, pomijając oczywiście to, że nakręcasz koniunkturę salonom mody i odwiedzasz starych przyjaciół?

Zagadnięta, skrzywiła się z niesmakiem.

-Rano miałam umówione spotkanie z moim prawnikiem. - Mówiąc to, zaczęła chodzić po pomieszczeniu, podnosząc różne przedmioty, przyglądając się etykietkom i odkładając je tak, jakby była w sklepie. - Będę musiała przypomnieć Freddiemu o alimentach.

-Przecież naprawdę nie potrzebujesz jego alimentów. Nadia odwróciła się gwałtownie.

-Co mają tu do rzeczy moje potrzeby? Poniżył mnie! Odszedł z jakąś dziwką z wypożyczalni samochodów! Cóż, starała się, starała, aż wreszcie go dostała.

-Nie zapominaj, że znam cię dobrze. Wiem, że też miałaś niejednego romans.

Nadia wzruszyła szczupłymi ramionami.

-Ja przynajmniej zachowywałam dyskrecję. No, a poza tym nigdy nie zakochałam się w tych facetach. - Jej usta stanowiły teraz cieniutką linię. - Oczywiście, Freddie podejrzewał mnie, ale nigdy nie zdobył żadnych dowodów. Nie wychodź za mąż za psychiatrę, Taryn. Gdy małżeństwo zaczyna się sypać, psychiatrzy starają się wypytywać cię,

gdy śpisz. Na szczęście nigdy nie mówię przez sen. Możesz zapytać, kogo chcesz.

Taryn stłumiła śmiech na myśl o nie zamierzonej wymowie ostatnich słów Nadii, przyjaciółka była jednak śmiertelnie poważna. Wszystko, co jej dotyczyło, nie mogło w żadnym wypadku stać się przedmiotem żartów.

-Powinnam pójść za twoim przykładem, Taryn. Zapisać się na jakiś kurs. Malowanie, tkactwo... cokolwiek.

-A może karate?

Nadia udąa, że nie słyszy.

-Muszę zamówić katalogi z uniwersytetu nowojorskiego, z New School i tym podobnych instytucji. Tak, może właśnie tego potrzebuję - powrotu do studenckiego życia. Kraciaste spódnice, czapki z pomponem, długie włóczgi... Może udałoby mi się odmienić moje życie? No cóż, myślę, że wpadnę do Saksa. Będą już pewnie mieli kolekcję uniwersytecką. Nie pójdziesz ze mną? Spędzimy popołudnie na zakupach. Tak jak za starych, dobrych czasów.

-Przykro mi, Nadiu, ale jestem bardzo zajęta. No i nie chcę wydawać pieniędzy.

-Zastanawiam się, czy kupić sukienkę na bal uczelniany. Ciekawe, czy w New School nadal urządzają bale? Może coś z organdy? Czy nie sądzisz, że w organdynie wyglądałabym świetnie?

-Organdy to symbol niewinności, Nadiu. Bardziej pasowałaby ci czarna krepa.

-Jesteś pewna, że nie chcesz pójść ze mną, kochanie? Taryn zaprzeczyła ruchem głowy.

-Jestem pewna. Na jutro mam przygotować zadanie domowe.

Nadia uściskała ją, dbając o to, by nie uszkodzić sobie fryzury i makijażu, po czym wyszła, mówiąc przez ni mię:

-Będę z tobą w kontakcie, złotko.

Zostawszy sama, Taryn przełączyła klimatyzację, by możliwie szybko pozbyć się zapachu perfum przyjaciółki.

-Dzięki Bogu - mruknęła ze złością. - Ona jest bezna-
dziejna! Muszę się pilnować, żeby nie stać się podobną do
niej.

Nadia prowadziła życie, jakie ona sama niegdyś wiodła,
tyle tylko, że doprowadzone do ostatecznych granic. Jej egzysten-
cja była bezcelowa i nudna; każde spotkanie z nią przypominało
Taryn to, czego z całych sił chciałyby uniknąć.

Usiadła i zaczęła zastanawiać się nad zadaniem domo-
wym - pracą na temat ulubionych musicali i powodów, dla
których szczególnie przypadły jej do gustu. Wybrała „Car-
rousel”, „Brigadoon”, „South Pacific”, „My Fair Lady”
i „Gypsy”. Choć nie widziała oryginalnych przedstawień,
to powtórki bardzo jej się podobały. Nagle uświadomiła so-
bie, że do teatru chodziła zawsze z Wesleyem.

Zmuszając się do skupienia na teraźniejszości, wyjęła
maszynę i powoli zaczęła pisać. Ukończyła pierwszy szkic,
przeczytała go dokładnie, usunęła zbędne fragmenty i po-
prawiła resztę, wreszcie jeszcze raz przepisała wszystko na
czysto.

Odsunęła krzesło i obróciła się. Była zadowolona z sie-
bie; wypracowanie wydawało jej się bardzo dobre. Po ja-
kimś czasie zaczęła jednak zdawać sobie sprawę z tego, że
w niektórych miejscach jej argumentacja żywo odzwier-
ciedlała poglądy Lehrmana. Zaczęła się zastanawiać, co na-
pisze w swojej pracy Josh. Mogła się domyślić, co wybie-
rze: „Hair”, „Grease”, no i oczywiście „Oh! Calcutta!”

Nie mogła jakoś uwierzyć, że mógłby wyrazić swoje po-
glądy przejrzyście i zrozumiale. Spodziewała s.ię, że styl je-
go wypracowania będzie żywo przypominał jego manieri -
niedbały, obrazoburczy i toporny.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Nieomal pod-
skoczyła na krzesło. Podniosła słuchawkę.

-Halo!

-Taryn? Mówi Josh. -Jego głos sprawił, że serce podeszło jej do gardła. Wstrzymała oddech. -Jak postępuje praca nad zadaniem domowym?

-W porządku. -Przelknęła ślinę. -Szczerze mówiąc, właśnie skończyłam. Skąd masz mój numer?

-Jest w książce telefonicznej.

-Ach, tak. To prawda.

-Mam pewien problem - kontynuował. - Moja przyjaciółka, która obiecała przepisać moją pracę na maszynie, musiała wyjść dziś wieczorem. Przyszło mi do głowy, że pewnie piszesz na maszynie i że, być może, znajdziesz czas, żeby przepisać i moją pracę.

Co za bezczelność. Nie tylko ośmielił się do niej zadzwonić, ale jeszcze prosi, żeby przepisać jego tekst na maszynie!

-Oczywiście, zapłacę ci za to według obowiązujących stawek. Każdemu przyda się gotówka.

-Nie sądzę, bym...

-Może jednak przepiszę to ręcznie - westchnął przygnębiony.

-No dobrze, tym razem przepiszę twoją pracę - zgodziła się. - Nie chcę jednak, byś w jakikolwiek sposób stał się ode mnie zależny. Będziesz musiał dogadać się z przyjaciółką. Jest teraz dziesięć po piątej. Chciałabym się zdrzemnąć, bo nie spałam zbyt długo zeszłej nocy.

-Rozumiem, też niepokoiłem się o zajęcia. Czy siódma trzydzieści ci odpowiada?

-W porządku. Wiesz, gdzie mieszkam.

-Tak, wiem, gdzie mieszkasz - powtórzył ochryplym głosem, przy czym udało mu się nadać jej słowom nieco odmienne znaczenie. - Do zobaczenia, Taryn. Dziękuję.

Siedziała dłuższą chwilę ze słuchawką w mocno zaciśniętej dłoni, wsłuchując się w jednostajny sygnał. „Jak to się dziwnie wszystko układa” - pomyślała uśmiechając się.

Dwie godziny później stała przed oknem, z trudem hamując ogarniające ją zniecierpliwienie. Spojrzała na chromowany szklany zegar. Była siódma czterdzieści pięć. Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Dlaczego go jeszcze nie ma? Ustalili, że przyjdzie o siódmej trzydzieści!

Włożyła na siebie długi ciemnobłękitny kaftan z syjamskiego jedwabiu, wmawiając sobie, że wybrała go, by czuć się swobodnie. Czyż jednak jego kolor nie uwydatniał błękitu jej oczu? Czy nie kontrastował cudownie z jej smagłą skórą? Powiedziała sobie również, że spotkanie dotyczy będzie wyłącznie spraw związanych z kursem. Wspomniał o zapłaceniu jej, zdecydowała więc, że przyjmie pieniądze. Dlaczego jednak otworzyła barek? Powiedziała sobie, że upora się jak najszybciej z przepisywaniem i wyprosi go możliwie najgrzeczniej. Dlaczego więc przygotowała zakąski? Na stoliku koktajlowym ułożyła trójkątne plasterki sera, a obok miniaturowy bochenek chrupiącego chleba.

Co się z nim dzieje? Dlaczego jeszcze nie przyszedł? Zegar wybił ósmą. Spóźnił się. Właśnie miała zamiar zamknąć barek, sprzątnąć zakąski i przebrać się w dżinsy, gdy zadzwonił telefon. Niemal natychmiast podniosła słuchawkę i rzuciła ostro:

-Spóźniasz się!

-Spóźniam się? Na co? - zapytał Wesley.

-Wesley! Tak mi przykro! Myślałam, że to kto inny.

Oczekuję właśnie... kogoś z kursu teatralnego.

-Jestem w mieście, Taryn. Pomyślałem, że moglibyśmy się spotkać.

-Dziś wieczorem? Nie, Wesley. Dziś nie mogę.

-Chciałem po prostu zobaczyć twoje nowe mieszkanie.

Wobec tego może innym razem. Domyślam się, że Nadia była dziś u ciebie?

-Owszem, odwiedziła mnie.

-Nie wiem, co ci powiedziała, Taryn u, ale...

Na dole zabrzmiał dzwonek.

-Wesley, właśnie przyszedł ten kolega. Muszę iść. Przepraszam cię.

-Kolega? Chodzisz na kurs z jakimś mężczyzną?

-Mężczyźni również są słuchaczami kursu, Wesley. Zadzwoń do mnie później, zgoda?

-W porządku. Aha, jeszcze jedno - wygrałem na wyścigach.

-Naprawdę? Gratulacje! - odparła, ganiąc siebie w myśli za obojętny ton.

Pożegnali się. Nareszcie mogła pobiec do drzwi. Patrząc w umieszczone w nich jednostronne lustro, czekała na pojawienie się gościa.

Wysiadł wreszcie z windy. Miał na sobie ciemnogranywy blezer, białe drelichowe spodnie i czerwoną koszulę polo, w rękę trzymał dużą torbę. Stał na środku korytarza i zaczął coś pisać na boku torby, stopą wybijając rytm.

-To kompletny szaleniec! - mruknęła. - Zaprosiłam do domu szaleńca, a on w dodatku się spóźnia.

Otworzyła gwałtownie drzwi.

-Panie Hammond... -zaczęła groźnie.

Niecierpliwym gestem nakazał jej milczenie. Czekwała zdumiona, przyglądając mu się z rosnącą niecierpliwością. Wreszcie uniósł głowę.

-Spóźniłem się. Musiałem zrobić zakupy. -Wskazał na papierową torbę. - Mam w głowie melodię i jeśli jej nie zapiszę od razu, to potem może być za późno. Pewnie sama dobrze o tym wiesz. Jesteś przecież pisarką. - Wręczył jej torbę. - Piwo. Pomyślałem, że nie masz. Jest odrobinę ciepłe, ale jeśli twoja lodówka działa...

-Dlaczego miałyby nie działać? - zapytała zirytowana.

-U tej mojej przyjaciółki... U niej na przykład nie działa. Używa lodówki jako schowka na płyty - wyjaśnił spokojnie i powiódł wzrokiem po jej ubraniu.

-Niepotrzebnie się przebierałaś...

-Niepotrzebnie się przebierałaś - zaczęli równocześnie i wybuchnęli śmiechem.

-Naprawdę przykro mi, że się spóźniłem - powiedział.

-W porządku - odrzekła. - Wejdz.

Przeszedł się po poddaszu, rozglądając się ciekawie. Cały czas kiwał głową i z entuzjazmem rzucał oderwane słowa:

-Wspaniale... miło... pięknie...

- No i co o tym wszystkim myślisz? - zapytała, podając mu piwo w wysokiej szklance.

-Moja pani, trzeba przyznać, że ma pani trochę gustu.

To mieszkanie można by pokazać w jednym z tych magazynów zajmujących się urządzeniem wnętrz. Przebywanie w nim poprawia mi nastrój.

Poczuła przypływ zadowolenia. Jego słowa były przeciwieństwem komentarzy Nadii.

-Czy chciałabyś posłuchać melodii? Tej, przez którą się spóźniłem?

Oczywiście, bardzo chętnie.

Co zrobiłaś z torbą?

O Boże, zapomniałam! Wyrzuciłam ją do śmieci.

Pobiegła do kuchni i zaczęła grzebać w kubie na śmieci, szukając pomiętej torby. Znalazła ją wreszcie i zaczęła wygładzać na stole.

-W porządku! - usłyszała za plecami. Był tak blisko, że czuła jego oddech na ramieniu. - Mmm, ładnie pachniesz.

Odsunęła się. Uśmiechnął się zażenowany i rzekł:

-Mam tylko zasadniczy schemat melodii. Nie zdążyłem tego dopracować.

Wrócili do pokoju. Zdjął marynarkę i usiadł przy fortepianie. Koszulka opinała jego muskularny tors. Pomyślała, że dziwnie wygląda, gdy siedzi tak pochylony nad klawiaturą. Z taką sylwetką bardziej pasowałby do układania siana na polu czy czegoś w tym rodzaju.

-Nie bądź zbyt krytyczna. Będziesz musiała wyobrazić sobie całą aranżację.

Słuchała w napięciu niepokojącej, zmysłowej melodii. Gdy skończył, zwrócił się do niej z niemyim pytaniem w oczach.

-Cudowne. Trochę smutne — powiedziała.

-Takie miało być. To taka smętna piosenka miłosna. Zastanawiałem się nad tym, czy nie dodać jakiegoś rockowego tła. Posłuchaj. - Zaczął grać. - Dodałoby to mocy, zdecydowanie. W przeciwnym razie całe to melodramatyczne przesłanie będzie wątle, trochę niedorzeczne. Co o tym sądzisz? Wybaczysz mi ten rockowy akcent?

-Tak - zgodziła się niechętnie. - Dodaje siły tej melodii.

-Popracuję nad tym, a ty przepiszesz moją pracę.

Siadła więc za biurkiem i zaczęła pisać. Od czasu do czasu robiła przerwę, by posłuchać brzdąkania na fortepianie; Josh szukał właściwych dźwięków. Pół godziny później praca była przepisana. Przeczytała ją raz jeszcze i stwierdziła, że jest doskonała; jego argumentacja była bardzo przekonująca. Jego ulubionymi musicalami okazały się „Hair”, „Jesus Christ Superstar”, „Evita”, „Cabaret” oraz „Gypsy”. Uśmiechnęła się do siebie - przynajmniej jeden musical podobał się im obojgu. Może wcale nie różnili się tak bardzo?

Przyglądała się, jak pracuje przy fortepianie, z jednym ołówkiem zatkniętym za ucho, drugim ściśniętym w zębach. Wstała i podeszła, stając za jego plecami.

-Jeszcze nie udało mi się tego wygładzić, myślę jednak, że mam wreszcie niezły początek. Usiądź koło mnie. Ja będę grał melodię, a ty spróbuj dokładać akordy.

Ławeczka nie była zbyt szeroka. Gdy usiadła, ich ciała zetknęły się ze sobą. Poczowała, że rumieniec oblewa jej policzki. Zaczęła grać, by odwrócić jego uwagę. Po kilku nie-

udanych próbach udało im się wreszcie poprawnie zagrać. Spojrzała na niego i krzyknęła:

-To wspaniałe! Trzeba jeszcze tylko dobrego tekstu.

-Możę zostawić to u ciebie. Może miałybyś ochotę nad tym popracować?

-Jestem zbyt zajęta swoimi sprawami, Josh. Naprawdę.

Dlaczego to powiedziała? Z największą przyjemnością popracowałyby nad tą piosenką. Jeśliby jednak się zgodziła, oznaczałoby to wytworzenie dalszych więzi, a tego wołała uniknąć.

Nagle wstała zakłopotana bliskością jego ciała.

-Skończyłam przepisywać twoją pracę. Bardzo dobrze się ją czyta. Zgadzą się nawet w jednym przypadku; oboje lubimy „Gypsy”. Zaskoczyło mnie to, że nie omówiłeś „Och! Calcutta!”; tyle tam nagości!

Uśmiechnął się.

-Uwielbiam nagie ciała, ale nie na scenie. Ile jestem ci winien?

Potrząsnęła głową. Spojrział na nią uważnie.

-Słuchaj, może byśmy tak wyszli na drinka? W Soho jest sporo miłych klubów.

-Musiałabym się przebrać. - Nagle podejrzliwie przyjrzała się jego twarzy. -To dlatego tak się wystroiłeś? Żebyśmy mogli gdzieś wyskoczyć?

Z uśmiechem skinął głową.

-Byłeś pewien, że nie odmówię? Tak bardzo wierzyłeś w swój urok osobisty?

-Każda odpowiedź brzmiałaby nieskromnie. Ale czy ty sama nie jesteś pewna swojego uroku?

Nie odpowiedziała.

-Jesteś bardzo piękna, Taryn. Nie lubisz komplementów? - Przynął się do niej. - A może tak wielu ludzi powtarzało ci je, że cię to nudzi?

-Przepraszam. Po prostu nigdy nie wiedziałam, jak na

coś takiego reagować - odparła pospiesznie, zaskoczona własną szczerością.

-Dlaczego nie mogłabyś po prostu podziękować?

-Dziękuję, Josh. A teraz, jeśli mi wybaczysz, pójdę się przebrać. Zajmie mi to chwilę. Może w tym czasie przeczytasz moją pracę?

Kilka minut później wyszła z łazienki, ubrana w morelową sukienkę z cieniutkimi ramiączkami i głębokim dekoltem. Jej ramię otaczała szeroka złota opaska.

Josh gwizdnał z podziwu.

-Słuchaj, naprawdę mógłbym o tobie napisać piosenkę!

-Daj już spokój z piosenką. Jak ci się podoba moje wypracowanie?

-Mogłem się domyślić, co wybierzesz. Argumentacja jest bardzo rzeczowa. Stary Lehrman powinien być z tego bardzo zadowolony. Dokąd idziemy?

-Niedaleko stąd jest miła knajpka, „Oberon V. Nazwa pochodzi ze „Snu nocy letniej” Szekspira.

-Co tam jest? Dyskoteka?

-Wszystko po trochu: bar, restauracja, jest też miejsce do tańca. Grają przeróżne rzeczy.

-Często tam bywasz?

-Byłam raz.

-Z kim?

-Mam taką przyjaciółkę - zaśmiała się. - Zabrała mnie tam.

Zauważyła lekką zmianę w wyrazie jego twarzy. Ulga? Zadowolenie? Prawdopodobnie jedno i drugie.

Bar znajdował się na Broome Street w budynku, który niegdyś spełniał rolę magazynu. Gdy dzielnica zmieniła nieco charakter, najwyższe piętra przeznaczono na mieszkalne poddasze, a pierwsze dwa wynajęto różnym sklepom i klubom. Po obu stronach wejścia do „Oberon's” rosły zalane betonem i pomalowane na białą drzewa. Ich górne

gałęzie splatały się nad wejściem i nad chodnikiem jak baldachim, u dołu zwisały drobne migoczące żaróweczki.

Hostessa zaprowadziła ich do niewielkiego stolika z widokiem na zatłoczony parkiet. Kilkanaście par wirowało w gorących rytmach muzyki. Tapety z białymi drzewami przywodziły na myśl widok przed wejściem do lokalu; całość sprawiała wrażenie zaczarowanego ogrodu.

Taryn zamówiła wino, Josh szkoceką z lodem. Drinki podano niemalże natychmiast. Podniósł szklanekę, przyglądając się z uwagą swojej towarzysze.

-Czy wiesz, że wszyscy mężczyźni patrzą na ciebie?
Zarumieniła się.

-Chyba naprawdę nie zdajesz sobie sprawy ze swojej urody. Może zresztą właśnie to jest w tobie takie cudowne.

Jego niewyszukane komplementy powoli zaczynały ją żenować. Czuła się lepiej w towarzystwie mężczyzn, których znała w Hudson Valley. Mężczyzn, którzy z komplementów i pochlebstw stworzyli prawdziwą sztukę.

-Porozmawiajmy trochę o tobie, Josh. Opowiedz mi o swoim życiu.

Pociągnął łyk szkocekij. Milczał przez moment, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

-Zawsze wierzyłem, że wszystko w życiu musi mi się udać - zaczął wreszcie. - Wyglądało na to, że potrafię odnieść sukces w każdej dziedzinie. Jestem jedynakiem. Urodziłem się i wychowałem w Północnej Karolinie. Gdy zacząłem się rozwożeniem gazet, wygrałem zegarek i tytuł kolportera roku. W szkole byłem jednym z najlepszych graczy w koszykówkę, na balu w gimnazjum zostałem partnerem najpiękniejszej dziewczyny. W college'u też mi się świetnie powodziło. Otrzymałem stypendium sportowe i poszedłem na studia w Chapel Hill. Ukończyłem je bez najmniejszych problemów.

Potem postanowiłem, że zrobię magisterium w zakresie

kompozycji. To wszystko naprawdę nie było mi potrzebne. Chodziłem do college'u, ucząc się czułem się bezpieczny. Pozwoliło mi to na jakiś czas oddalić widmo prawdziwego życia.

Taryn była zdumiona jego opowieścią.

-Nie wiedziałam, że skończyłeś college.

Uśmiechnął się gorzko.

-Myślałaś pewnie, że nie ukończyłem nawet szkoły średniej, prawda?

Odwrociła się, mając nadzieję, że Josh nie dojrzy wyrazu jej twarzy.

-Na pewno pisałeś melodie do różnych uniwersyteckich przedstawień - powiedziała.

-W Chapel Hill robiłem za kogoś w rodzaju George'a Gershwina. Wydział dramatyczny wystawił kilka oryginalnych musicali, opartych na mojej muzyce. Nie był to Broadway, ale stałem się sławny. Lokalna prasa, mnóstwo ogólnikowych pochwał. Teksty też były nie najgorsze. Możesz mi wierzyć lub nie, ale zastanawiałem się nawet nad doktoratem - tak bardzo bałem się wyjścia na świat.

-Dobrze to rozumiem - odrzekła. - Uczelnia może być bardzo przytulną pułapką.

-Jest wiele pułapek - uśmiechnął się. - Rodzina, szkoła, organizacje społeczne. Można w nich czuć się znakomicie, ale strasznie trudno jest się z nich wydostać.

Nie chciała mówić o oczywistych konsekwencjach, wpływających z takiej postawy.

-Co robiłeś po ukończeniu studiów?

-Jedyną pracą, do jakiej się nadawałem, było nauczanie albo gra w klubach nocnych. Pojechałem więc na południe i włączyłem się w okolicach Miami Beach, zarabiając graniem w prestiżowych lokalach. Ciągłe jednak nie widziałem przed sobą żadnego celu. Trzy lata temu ostatecznie zdecydowałem się na przeprowadzkę do Nowego Jorku.

Znowu pracowałem w klubie. Wyglądało na to, że do końca życia będę grał melodie innych ludzi i wdychał dym z cudzych papierosów. Postanowiłem, że trzeba zrobić następny krok, zapisałem się więc na kurs Lehrmana i mam nadzieję, z tego samego powodu znalazłem się tutaj.

Postanowiła pominąć jego ostatnią uwagę milczeniem. Po chwili dodał jeszcze:

-Chciałbym napisać muzykę do przedstawienia, które odniosłoby prawdziwy sukces. To moje największe pragnienie.

-A więc - uniosła w górę kieliszek - za spełnienie naszych marzeń!

-Kto wie, może uda nam się wspólnie coś osiągnąć? - dorzucił.

-Razem czy osobno, co za różnica - rzekła Taryn obojętnie. - Wszystko jedno, dopóki układa się tak, jak tego chcesz.

Muzyka zmieniła się. Z głośników popłynęła wolna romantyczna melodia. Młodsze pary opuszczały parkiet, wracając sznurkiem do swoich drinków i posiłków. Josh wstał.

-Wygląda na to, że to coś dla nas, dojrzałych ludzi.

Wyciągnął do niej rękę. Wstała również. Migające światła zalały ich ciepłym blaskiem, a pulsujący rytm obudził w niej zmysłową energię. Josh objął ją w tali i ruszyli na parkiet.

Przez moment zastanawiała się, jakim jest tancerzem, czy uda im się wzajemnie przewidzieć zachowanie partnera. Tego jednego jej brakowało od czasu, gdy rozstała się z Wesleyem. Tańczyło im się razem cudownie, zupełnie tak, jakby ich stopy unosiły się lekko w powietrzu i same prowadziły przez najbardziej zawiłe figury.

Josh położył rękę na jej nagim ramieniu. Zadrżała. Jego dłoń była tak ciepła, jakby właśnie wrócił ze słonecznej plaży. Bijący od niego intensywny męski zapach przypominał

jej aromat palonych jesienią liści. Trzymał ją mocno, a ona, ku własnemu zaskoczeniu, poddawała się jego woli.

Zaczęli tańczyć, spleceni w zmysłowym uścisku.

-Bardzo dobrze tańczysz - szepnęła, przytulając ją mocno.

Poczuła, że musi rozchylić wargi, by móc swobodnie oddychać. Obejmowała go, wdychając jego zapach, rozkoszując się nim. Jego palce przesuwaly się teraz w górę i w dół w delikatnym zagłębieniu jej pleców, ich biodra stykały się ze sobą coraz mocniej.

Mimo chłodu panującego w pomieszczeniu na jej skroniach pojawiły się drobne kropelki potu. Josh poruszał lekko głową i jej rozchylone wargi musnęły jego policzek.

Zaczęło jej się kręcić w głowie. Musiała otworzyć oczy, by sprawdzić, czy nadal znajduje się na parkiecie, w restauracji. Światła wirowały, sala obracała się wokół niej, a podłoga przechylała się w niewytłumaczalny sposób. Przez moment wydawało jej się, że zemdleje. Czowała oddech Joshua, palący jej twarz. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

Próbowała się wyrwać, trzymał ją jednak bardzo mocno. Zachowywał się stanowczo, zbyt poufale. Miała wrażenie, że lada chwila zostaną upomnieni przez nauczyciela tańca ze szkoły średniej, przyzwoitkę z college'u, dyrektorkę klubu - za to, że tańczą zbyt blisko siebie. Nikt ich jednak nie upomniął, a on nadal trzymał ją tak, jakby nie zamierzał pozwolić jej odejść.

„Tak dłużej być nie może - powiedziała sobie. - Pozwalam mu nad sobą zapanować”. Znowu spróbowała wyrwać się z jego uścisku.

-Nie - rzekł. - Spójrz mi prosto w oczy, Taryn. Nie mrugaj powiekami. - Ich twarze znalazły się niemal tak blisko siebie, jak ciała. - Po prostu patrz mi w oczy.

Jej serce biło w zwariowanym tempie. W jego orzecho-

wych oczach widziała swoje własne odbicie, usiane plamkami światła - bursztynowymi, błękitnymi i fioletowymi.

-Mój Boże - szepnął. - Jesteś taka piękna.

Zaniemówiła, słysząc, że wypowiada na głos jej własną, niepewną jeszcze myśl, dotyczącą jego samego. Nie potrafiła wykrztusić nawet prostego „dziękuję”. Znowu przymknęła oczy. Całował jej powieki, brwi i rzęsy, delikatnie uniół jej twarz. Poczowała, że jej usta rozchylają się.

Próbowała się opanować, ale nie potrafiła. Ciepło jego dotyku, siła jego ramion, bliskość jego muskularnego ciała - wszystko to sprawiło, że zaczęły ją przenikać gwałtowne dreszcze. Muskał wargami jej usta, przysuwał się i odsuwał, trzymając ją miękko, ale wkrótce jego pocałunki nabrały stanowczości. Językiem rozchylił jej wargi. Ogarnęła ją gorączka. Nagle oderwał się od niej, zwalniając uścisk.

-Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłaś. Dziękuję za przepisanie mojej pracy... za wszystko.

Zgubiła rytm, lecz Josh szybko to skorygował. Muzyka znowu zmieniła charakter. Z głośników zaczął dochodzić potężny, pulsujący, dziki łomot perkusji. Twarze tańczących zlały się w wielobarwną plamę. Miała wrażenie, że kręci się coraz szybciej i wyżej, unosząc się nad głowami innych ludzi. Światła eksplodowały kosmicznym bogactwem barw. Czowała się tak, jakby ona i Josh byli dwiema stapiającymi się ze sobą gwiazdami, których blask na wieki rozjaśniać będzie niebios.

Muzyka nagle ucichła. Taryn odzyskała głos; odezwały się wyrzuty sumienia.

-Chciałabym już iść do domu.

Na twarzy Josha pojawił się uśmiech.

-Tak, chodźmy już.

Miała nadzieję, że nie uznał jej słów za zaproszenie. Wyszli na ulicę. Nagłe zderzenie z żarem nocy sprawiło,

że z trudem złapali oddech. Ruszyli w stronę jej domu. Powietrze było ciężkie. Czuli się tak, jakby brnęli w gęstej mazi.

-Mam nadzieję, że masz w domu klimatyzację —powiedziała.

Potrząsnął przecząco głową.

-Nie, nie mogę sobie na to pozwolić - rzekł szybko. - Budynek, w którym mieszkam, ma przestarzałą instalację elektryczną i klimatyzacja popaliłaby korki. Kupiłem sobie kilka wentylatorów. Skutek jest prawie taki sam.

Skręcili za róg. Przy samym domu Taryn zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech. Przetarła szyję chusteczką. Czowała, jak jej łagodny puls zmienia się w bolesne dudnienie. Właśnie otworzyła usta, by coś powiedzieć, gdy po przeciwnej stronie ulicy zauważyła biały samochód, stojący w świetle latarni. Cień za kierownicą poruszył się lekko. Natychmiast rozpoznała Wesleya. Spojrzała na Josha, nieświadomego walki, jaka rozgorzała nagle w jej wnętrzu. Obok przemknęło jakieś auto; reflektory rozjaśniły na moment jasne włosy Wesleya i jego subtelny profil. W myślach porównała ich obu. Wesley, łagodny i wyrafinowany, był ucieleśnieniem dostatniego trybu życia, jaki dotąd prowadziła. Josh, szorstki i bezpośredni, zwiastował zmianę - zagrożenie wyznaczonych przez nią zasad. Gdy doszli do wejścia, odwróciła się do niego i wyciągnęła rękę.

-To był bardzo miły wieczór, Josh.

Zdumiony wpatrywał się w jej twarz.

-Twoją pracę przyniosę ci jutro, na zajęcia - powiedziała szybko. - Później może pójdziemy na kawę, a może nawet zjemy wspólnie lunch. - Próbowwała się roześmiać, ale głos uwiązł jej w gardle. - Oczywiście nie w tej okropnej restauracji ze zdrową żywnością.

-Dobranoc, Taryn - odrzekł ochryplym głosem. Nie podając jej ręki, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem.

Wyjęła klucze i weszła do klatki schodowej. Bała się dać

poznać po sobie, że poznała Wesleya. Wiedziała, że poczuł się zraniony, widząc ją w towarzystwie innego mężczyzny. Nie mogła pozwolić na to, by cierpiał jeszcze bardziej, widząc, jak zaprasza Josha na górę - nabrałby przekonania, że łączy ich coś poważnego. Telefon zadzwonił w tej samej chwili, w której otworzyła drzwi mieszkania.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy podnieść słuchawkę czy pozwolić, by wiadomość nagrała się na taśmę automatycznej sekretarki.

-Halo?

-Taryn? Tu Wesley. Wiem, że nie dzwonię zbyt późno, bo próbowałem skontaktować się z tobą wcześniej, ale cię nie było. Jestem na dole. Czy mógłbym wejść? Chciałbym się z tobą zobaczyć.

-W porządku, Wesley, ale tylko na chwilę. Jutro rano mam zajęcia.

Usiadła na sofie. Dlaczego miała takie poczucie winy? Nie powinna czuć się zobowiązana do czegokolwiek! Do licha! Podjęła już przecież decyzję. Nie było powrotu - ani do Wesleya, ani do życia, które nauczyła się nienawidzić. Rozejrzała się wokół. „Jestem tu - powiedziała sobie -? na swoich własnych śmieciach. Udało mi się zmienić bieg mojego życia. Nikt, nikt nie zmusi mnie do tego, bym znowu zmieniła decyzję!”

Gdy jednak zadzwieczał dzwonek na dole, przez jej umysł zaczęły przebiegać przelotne obrazy, niewyraźne jak źle wywołane fotografie. Ona i Wesley ze splecionymi dłońmi, biegnący brzegiem oceanu, ich smukłe, opalone ciała, ich włosy mokre od morskiej wody, skóra połyskująca od olejku do opalania; kilka lat później wchodzą razem do klubu, ona w pierwszej sukience o tak śmiałym dekolcie, on w nieskazitelnie białej marynarce i czarnych spodniach z szerokim pasem, powietrze jest ciężkie od zapachu gardenii. Były to ferie zimowe, spędzane w ośrodku narciarskim w Vermont; kufle gorącego rumu z masłem, trzaskające og-

nisko, wiatr gwizdający w kominie - i pocałunki, namiętne do nieprzytomności.

Nacisnęła przycisk, zamknęła oczy i oparła się o ścianę. Jeszcze jedno wspomnienie, boleśniesz niż poprzednie: to pierwszy wspólny weekend w hotelu Plaża. Zaraz po zaręczynach - oboje nerwowi, ostrożni, grzeczni, odwlekający położenie się do łóżka aż do trzeciej nad ranem, kiedy w telewizji skończył się stary film, a potem poznający czułość pierwszego zbliżenia. Jakże to wszystko różniło się od jej marzeń!

Dzwonek do drzwi przerwał te wspomnienia. Otworzyła. Za progiem stał Wesley. Jego włosy były dłuższe i odrobinę jaśniejsze niż niegdyś. Opalony był na brąz. Objęli się. W jego ramionach poczuła się dziwnie bezpieczna. Emanujący od niego spokój ukoił jej wzburzone uczucia i nerwy.

Żadne z nich nie odezwało się dotąd ani słowem. Poprowadziła go do sofy. Usiadł i spojrzał na nią wyczekująco.

-Napijesz się czegoś? - zapytała.

-Nie, dziękuję - odparł. Spojrzał na oświetlone zakamarki poddasza. - I...i jest czarująco, Taryn! - stwierdził z wyraźnym zamiarem przypodobania się jej za wszelką cenę.

Dziękuję.

-Chodź, usiądź koło mnie. Nie zachowuj się jak nieznajoma. Usadowiła się na krześle stojącym przed sofą i uśmiechnęła się smutno.

Jesteś szczęśliwa, Taryn? Naprawdę szczęśliwa? - W jego głosie pojawiła się nuta wątplenia.

-Jestem na najlepszej drodze do tego.

-Tęsknię za tobą. Wszyscy za tobą tęsknimy.

-Nie mogę wrócić, Wesley. Przynajmniej nie teraz.

-A później?

-Nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Teraz jestem tutaj i robię to, co chcę robić.

-Nigdy tego wcześniej nie mówiłem, Taryn, ale podziwiam twój talent, nawet jeśli z tego powodu odchodzisz ode mnie. Czy twój kurs... czy to jest dobry kurs?

-O, tak.

-Poznajesz nowych ludzi?

-Tak. Dziś przepisałam na maszynie pracę jednego z moich znajomych. Nie chciałam przyjąć pieniędzy, więc zaprosił mnie na drinka do lokalu za rogiem.

Cisza zawisła między nimi jak kurtyna. Wreszcie Wesley powiedział:

-Widziałem cię.

-Wiem - odparła bez namysłu.

Wstał.

-No cóż, muszę jechać. Droga do Valley zajmie mi sporo czasu. Chciałem się po prostu przekonać, czy wszystko w porządku, czy dobrze ci idzie. No i widzę, że tak - dodał bez wyrazu. - Jeśli już o to chodzi, to przyjechałem tu, mając nadzieję, że nie wszystko ci się układa. Ale teraz, gdy się już z tobą spotkałem, wiem, że tak, jak jest, jest dobrze. - Położył rękę na jej ramieniu i rzekł z wymuszoną swobodą: - Jeśli coś będzie nie w porządku, znajdę się w pobliżu, by pomóc ci się pozbierać.

Ujęła jego rękę i pocałowała ją. Jej oczy zaszyły mgłą.

-Dziękuję ci, Wesley - rzekła łamiącym się głosem.

-Nie odprowadzaj mnie na dół.

Została sama. Bolesnie odczuwała każdą mijającą chwilę. Czuła, że dawno zapomniane winy, prawdziwe czy wyimaginowane, znowu otaczają ją niby całun.

-Nie! - krzyknęła. Wstała, podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Nie pozwoli się zniszczyć Wesleyowi. Niech się martwi sam o siebie. Zaszła już za daleko; powrót był niemożliwy. Usunęła ze swojego świata wszystkie zbędne elementy, wszystko to, co ją krępowało i tłumilo. Nie miała zamiaru pozwolić, by wspomnienia zatrzymały jej

spokój. Jej życie będzie wyglądało tak, jak sama je sobie ułoży. I bez względu na to, czy się jej powiedzie czy nie, będzie to wyłącznie jej życie.

Rozdział IV

Taryn wiedziała, że spóźni się na zajęcia. Zbyt wiele czasu zajęło jej picie kawy, układanie włosów, robienie makijażu. Poza tym zmieniała trzykrotnie ubranie. Gdy wreszcie wyszła na ulicę, była prawie dziesiąta. Niebo było zachmurzone, powietrze ciężkie od wilgoci miało się wrażenie, że nad miastem rozciągnięto mokry koc. Tu i ówdzie, wyglądając zza budynków, oblepiając drzewa jak duchy, unosząc się nad ziemią, zalegały kłęby mokrej mgły. Szary, smętny dzień odpowiadał jej nastrojowi. Przebiegła parę kroków, lecz kierowca nie zauważył jej. Na przejażdżkę metrem było stanowczo za gorąco. Łamiąc postanowienie o ograniczeniu wydatków, zatrzymała taksówkę. Kierowca zahamował z piskiem kół, ledwie unikając zderzenia z dwoma innymi samochodami.

- Bank Street, proszę. Tylko szybko!

Taksówka ruszyła, lawirując między pojazdami. Taryn opadła na siedzenie i przymknęła oczy. W jej myślach natychmiast pojawił się Josh. Przypomniała sobie cudowne ciepło jego ciała, wprawę, z jaką tańczył, dotyk jego warg. Miał na nią stanowczo zbyt duży wpływ. Budził w niej uczucia, których wołała nie analizować zbyt dokładnie. Nie mieli przecież ze sobą nic wspólnego... z wyjątkiem takich samych marzeń. Zdawała sobie sprawę, że każdy człowiek, bez względu na to, kim jest, pragnie odnieść sukces tak jak

ona. Mimo wszystko wydawało jej się bardzo dziwne, że ktoś tak całkowicie od niej różny pragnie dokładnie tego samego. Dręczyło ją to, że człowiek jego pokroju usiłuje wkraść się w świat jej snów o sukcesie. Musi za wszelką cenę o nim zapomnieć.

Ale obraz Josha nie znikał, a szeptane przez niego słowa odbiły się echem w jej pamięci. Zrozumiała, że wyrzucenie go z myśli nie będzie takie proste, i poczuła się nieswojo.

Taksówka pędziła ulicami, a ona przypomniła sobie swoją ostatnią wizytę w domu rodziców, w Hudson Yalley. Pojechała tam na prośbę ojca. Matka nie miała z tym nic wspólnego. Chłodna i nieprzenikniona, jak zwykle nadal nie mogła pogodzić się z decyzją córki. Nigdy nie wybaczyła jej, że jest taka wysoka i piękna i że nie chciała prowadzić życia, jakie ona sama uważała za właściwe.

To wspomnienie wciąż bolało. Taryn zadrżała. Matka mówiła o jej decyzji w taki sposób, jakby była chorobą, którą ściągnęła na siebie dobrowolnie.

-Naprawdę nie mogę zrozumieć, czym ty się kierujesz, wydając tyle pieniędzy na kupno poddasza w jakiejś podejranej dzielnicy Nowego Jorku. Samotne życie w tym mieście nie jest bezpieczne. A do tego ten kurs! Kobieta w twoim wieku, bawiąca się w układanie rymów! To naprawdę dziecinada! Jak długo zamierzasz dawać Wesleyowi czekać? Ja na jego miejscu już dawno straciłabym cierpliwość. A poza tym - czy nie jesteś już odrobinę za stara na gwałtowne dojrzewanie?

Ojciec przyszedł jej wtedy z pomocą.

-Ty naprawdę nie rozumiesz, Caroline! Taryn nie chce poślubić Wesleya. Żyjemy w dwudziestym wieku, moja droga. Rodziny nie podpisują już kontraktów ślubnych. Taryn ma prawo zatroszczyć się o swoją karierę. Myślę, że jedynym grzechem na tym świecie jest marnowanie swego talentu, a ona ma talent.

Jej ojciec był wysokim, przystojnym i najbardziej wyro-

zumiałym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Nigdy nie pozostał bierny, gdy działa jej się krzywda. Kochała go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Była zadowolona, gdy weekend dobiegł końca. Minie wiele czasu, nim znowu tam pojedzie. Niech przyjadą do miasta, niech spotkają się z nią, ale u niej. Poddasze - jej dom - dodawało jej sił i Taryn czuła, że w swym nowym otoczeniu może stawić czoła każdemu, nawet matce.

-Jesteśmy na miejscu, proszę pani - rzekł kierowca.

-Słucham?

-Powiedziałem, że jesteśmy już na miejscu. Zajęło to nam dwanaście minut - uśmiechnął się. - Nieźle, prawda?

-Znakomicie - odparła, dając mu suty napiwek. Wyszła i pobiegła w stronę wysokiego budynku z czerwonej cegły. Wbrew wszystkiemu, o czym myślała, wbrew wszelkim dawanym sobie przyrzeczeniom czuła, że z niecierpliwością czeka na spotkanie z Joshem.

Zastanawiała się, czy miejsce koło niego będzie wolne. Otworzyła drzwi. Jej spojrzenie pobiegło natychmiast w kierunku krzesła - jej krzesła. Było puste, ale Josh nie siedział obok. Szybko przebiegła wzrokiem pomieszczenie i serce zamarło jej w piersi. Siedział w ostatnim rzędzie. Spojrzała na niego pytająco, lecz on ostentacyjnie odwrócił głowę.

-Tak się cieszę, że udało się pani zdążyć, panno Tremayne. - Głos profesora Lehrmana zabarwiony był sarkazmem. - Wygląda pani na przestraszoną.

Mruknęła coś na usprawiedliwienie i szybko zajęła miejsce.

-Na czym to ja skończyłem? Ach, tak! Wasza pisemna praca domowa... - uśmiechnął się do zebranych. - Pozwoliłem sobie... nie, raczej dałem sobie przywilej rozdzielenia państwa - na muzyków i autorów tekstów. Stwierdzą państwo zapewne, że mój podział niekoniecznie zgadza się

z waszymi upodobaniami. Wynika on raczej z moich prze-
czuć, dotyczących państwa wspólnej pracy. Państwa zadani-
em. .. - teatralnie zawiesił głos - będzie napisanie dla mnie
utworu rozpoczynającego musical. Oczekuję od państwa
również wykonania tego utworu.

Wśród zebranych rozległy się stłumione szepty.

-Listę nazwisk znajdują państwo na tablicy. Możecie się
z nią zapoznać po zajęciach. - Uniósł do góry rękę, po-
wstrzymując protesty. — Proszę nie narzekać! Pomagam
państwu ostro ruszyć z miejsca. Do poniedziałku żadnych
zajęć nie będzie. Muszę wyjechać na konferencję poświęco-
ną sprawom sztuki. Mają państwo mnóstwo czasu na to, by
ołsnąć mnie swym talentem. Czy są jakieś pytania?

-Czy moglibyśmy napisać coś nowego do przedstawi-
enia, które już cieszy się powodzeniem? - zapytała młoda
kobieta z ostatniego rzędu.

Lehrman uśmiechnął się.

-To bardzo ambitne zadanie. Czy zamierza pani popra-
wić Rodgersa i Hammersteina? Jeśli czuje się pani na si-
łach, to nie mam nic przeciwko temu.

Następne pytanie zadał Josh.

-A co by pan powiedział na utwór otwierający muzycz-
ną rewiew, panie Lehrman?

-Jeśli tylko ma pan na to ochotę, panie Hammond...

Przyznam, że jest to całkiem dobry pomysł. Jeśli nie ma już
więcej pytań, to zbiorę państwa prace i resztę czasu spędzi-
my analizując wstępne utwory z różnych przedstawień.

Zajęcia dobiegły końca. Lehrman, odśpiewawszy kawa-
łek kolejnego musicalu, zniknął za zasłoną, a jego słucha-
cze pobiegli szybko do tablicy ogłoszeń i stłoczyli się wo-
ków widniejącej na niej listy.

Taryn stanęła z boku, czekając, aż pod tablicą zrobi się

luźniej. Josh również czekał cierpliwie, trzymając się z dala od niej.

Rzuciła mu nieśmiały uśmiech. Tym razem nie odwrócił się, lecz jego twarz nadal pozbawiona była wyrazu - zachowywał się tak, jakby jej w ogóle nie dostrzegął.

„Dobrze — pomyślała — nie mam zamiaru mu się narzucać”. Co on sobie właściwie wyobrażał? Nie miała przecież obowiązku zapraszać go do siebie! Zresztą, gdyby nawet to zrobiła, prawdopodobnie źle by to zrozumiał. Przyzwyczyił się do kobiet, które wskakują facetowi do łóżka po kilku usłyszanych od niego marnych komplementach. Cóż, ona nie będzie jego kolejną zagorzałą wielbicielką.

Odwróciła się i zaczęła udawać, że szuka czegoś w torebce. Gdy podniosła wreszcie wzrok, zobaczyła, że wszyscy odeszli. Został tylko Josh. Wpatrywał się z napięciem w kartkę z nazwiskami. Nie miał zadowolonej miny. Wreszcie odsunął się od tablicy, ustępując jej miejsca.

-Znaleźliśmy się w jednej parze - rzekł bezbarwnie. W jego głosie próżno było szukać oznak radości.

Taryn spojrzała na listę, potem na niego.

-Nic z tego nie będzie - rzekła. - Przecież my nigdy... to znaczy, nasze gusta są tak odmienne...

-Mam podobne zdanie - odpowiedział. Jego spojrzenie było twarde jak kamień.

-To oburzające - kontynuowała Taryn. - Nie chciałym, by cała moja praca poszła na marne... - Wypowiedziawszy te słowa, poczuła, że krew napływa jej do twarzy.

-Twoja praca? - Josh nie ukrywał irytacji. - A co z moją? Przez chwilę spoglądali na siebie nienawistnie. Potem

Taryn ruszyła w kierunku drzwi.

-Musimy go złapać i nakłonić do zmiany! Poszedł za nią i zatrzymał ją, łapiąc za rękę.

-Nie możemy tego zrobić! Może jednak spróbujemy

coś razem skomponować? Znasz to powiedzenie: nic nie ryzykujesz..

-Nasza współpraca nie doprowadzi donikąd. To śmieszne! Ja nie potrafię cieszyć się rockiem, a ty - lekki uśmiech pojawił się na jej twarzy - wiedeńskim walcem.

Wybuchnął tak zaraźliwym śmiechem, że nie mogła oprzeć się chęci zawtórowania mu.

-Ten drań jest naprawdę perfidny! -wykrzyknął.

-Pokażmy mu, na co nas stać - zaproponowała z nagłą determinacją w głosie. - Naprawdę pokażmy mu, na co nas stać!

-Wszystko, czego nam trzeba, to odrobina wyrozumiałości - powiedział.

-Do dziś- rzekła w zamyśleniu - pisałam wyłącznie do szuflady.

-To może stanowić pewne utrudnienie — zauważył. — Wiem, ponieważ robiłem to samo.

-Nie miała zamiaru w ogóle poruszać tego tematu, lecz słowa wydostały się z jej ust, nim zdążyła je przemyśleć.

-Bardzo mi przykro, że wczoraj zachowałam się w ten sposób.

Nie, nie! To ja byłem zbyt natarczywy - zaprzeczył szybko. - Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Ograniczymy naszą znajomość do spraw związanych z kursem.

Westchnęła. Nie miała pewności, czy to właśnie chciała od niego usłyszeć.

-Tak - dodał jeszcze. - Pokażemy Lehrmanowi, że potrafimy pracować razem bez względu na to, jakie są nasze muzyczne gusta.

Wyszli z budynku i wolnym krokiem ruszyli w kierunku Hudson River, dyskutując na temat różnych pomysłów, dotyczących czekającej ich pracy. Słońce rozproszyło już mgłę, a lekka bryza, nadciągająca od strony rzeki, przywitała ich swym łagodnym oddechem.

Skapana w blasku słonecznych promieni rzeka błyszczała, jakby była pokryta diamentami. Mewy z piórami wyłoczonymi słońcem zniżały się i wzbijały nad taflą wody. Niektóre z nich przysiadły na pobliskich palach.

Taryn przerwała milczenie.

-Mam pewien pomysł. Co byś powiedział na kawałek o samotnym kowboju, składającym hołd światłu dnia? Pierwszy wers mógłby brzmieć na przykład tak: - „O, cóż za piękny ranek...”

-Nie, nie - to nie to. Przyszło mi do głowy, że przedstawienie mogłoby się zaczynać na scenie pełnej dzieciaków. Jedno z nich śpiewałoby piskliwym głosem: „Pozwólcie państwo, że was rozbawię”.

Roześmieli się.

-Cytowanie „Oklahomy” albo „Gypsy” nic nam nie da.

-Boże, cóż za zadanie! Utwór otwierający nie istniejący musical!

-Pamiętasz, o co pytałem Lehrmana na zajęciach? Moglibyśmy napisać utwór rozpoczynający rewie. Jakaś głupia piosenkę. Na przykład na scenę wychodzi grupa dziewcząt i śpiewa: „To my, dziewczęta z chóru, to dla was przedstawienie, bijecie nam brawo, choć bliskie zakończenie”.

-Pozwól, że ja napiszę tekst - upomniała go Taryn. - Chciałbyś, by nasza piosenka była w stylu Cole Portera? - Zaczęła coś notować. - Może to trochę ryzykowne.

-Masz jakiś pomysł?

-Nic takiego, o czym moglibyśmy teraz porozmawiać. Zadzwonię do ciebie później, gdy już nad tym zapanuję.

-W porządku, będę czekał. Pamiętaj, to ma być dynamiczne i pełne życia, tak żebym mógł wykombinować odpowiednią muzykę.

Uśmiechnęła się.

-Wiesz co, Josh? Nigdy dotąd nikt nie narzucał mi takich ograniczeń. To jest prawdziwe wyzwanie!

-Na tym właśnie polega pisanie na potrzeby teatru. Pisarz przedstawia ci pewną sytuację, pewną scenę i mówi: „Spójrz, tu właśnie potrzebuję odpowiedniej piosenki”. Wszystko musi się mieścić w pewnych ramach. Nie można w środku burzy umieścić piosenki o słońcu.

-Rozumiem. Przypuszczam wobec tego, że pan Lehman mimo wszystko wie, co robi.

Odprowadził ją do rogu Bleecker Street i Dziesiątej Ulicy i tam się rozstali. Gdzieś w środku czuła się odrobinę rozczarowana tym, że nie zechciał odprowadzić jej do domu. Tak jednak było lepiej... a może nie?

Z wyrazem odrazy na twarzy odepchnęła od siebie słownik rymów. Nigdy nie potrafiła zrobić z niego dobrego użytku. Poza tym ilekroć po niego sięgała, miała wrażenie, że jest nieuczciwa. Jej biurko zavalone było papierami, każdy arkusik został starannie oznaczony, ale skutki jej wysiłków były jak dotąd nad wyraz mizernie. Ze złością rzuciła pisak i mruknęła:

-Początek rewii? Dobrze sobie. Kilka nedorzeczných i jałowych tekstów! - Nagle ponury wyraz jej twarzy ustąpił miejsca niedowierzaniu.

Powtórzyła ostatnie zdanie i nogą zaczęła wystukiwać rytm. Chwyliła czysty arkusz papieru, podniosła pisak i zaczęła notować: „Początek rewii? Dobrze sobie! Smyczkowy kwartet i... ociężyła sopran”. Klasnęła w dłoń.

-Coś podobnego! Dzięki ci, muzo! Oby tylko tak dalej. Pracowała jeszcze przez niemal dwie godziny, aż wreszcie ułożyła przyzwoitą, jej zdaniem, zwrotkę.. Gdy skończyła, przeczytała jeszcze raz całość. Tekst z pewnością był niezły, aż prosił się o melodię. Ruszyła w kierunku fortepianu, lecz nagle zatrzymała się w pół kroku.

-Nie, nie mogę. To robota Josha. Trudno jej było zdecydować się, czy taka forma współpracy

jest odpowiednia. Nie przywykła do dzielenia się z kimś myślami, natchnieniem. Być może jednak tego właśnie brakowało jej kompozycjom. Podeszła do telefonu i wykręciła numer. Po czwartym sygnale Josh podniósł słuchawkę.

-Josh? Taryn z tej strony. Myślę, że mam coś interesującego. Taka piosenka-wyliczanka.

-To znaczy?

-No, po prostu lista niedorzeczności, które nasze przedstawienie ma do zaoferowania. Ciekawe, co by było, gdyby ktoś to kiedyś zechciał wystawić.

-Nie trzymaj mnie w napięciu, Taryn. Jak to brzmi? Przeczytaj mi!

-W tej chwili to niemożliwe. Jestem zbyt zażenowana.

-Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy?

-No dobrze, więc słuchaj. - Chrząknęła i odważnie przeczytała tekst. Skończyła i zapytała niepewnie:

-No? Co o tym myślisz? Nie próbuj mnie oszukiwać, mów!

-To świetne! Możesz być spokojna, znam się na tym. Zapadło milczenie. Po chwili zapytał ostrożnie:

-Czy teraz moglibyśmy już popracować razem?

-Razem? - powtórzyła.

Nagle zaniepokoiło ją znaczenie tego słowa. Nie będzie już pracować sama. Nieustannie będzie musiała się z kimś porozumiewać. A co, jeśli ten ktoś - Josh - nie spełni jej oczekiwań?

-Powie ci coś, Taryn. Przyjdę do ciebie wieczorem. Zrobię zakupy i przygotuję kolację. Co ty na to? To znaczy, zaproponowałbym ci oczywiście wizytę u mnie, ale u ciebie jest więcej miejsca, lepszy fortepian, no i masz klimatyzację.

-Oczywiście, oczywiście. Nie mam nic przeciwko temu - odparła z udaną beztrąską. - Im szybciej się do tego zabierzemy, tym szybciej skończymy.

-Czy masz papier nutowy?
-Wystarczy. Mam też ostre ołówki, kawę, herbatę i wino. Doskonale. A zatem do zobaczenia o siódmej... partnerko. Odłożył słuchawkę. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w telefon.

-„Partnerka” - powtórzyła ze złością. - Jakie on ma prawo zwracać się do mnie w ten sposób? To tylko praca nad wspólnym zadaniem. Nic zobowiązującego.

Pochyliła się nad tekstem. Wróciła do swego schludnego, uporządkowanego świata. Tu czuła się bezpiecznie.

Rozdział V

-Dziś skorzystamy z przepisów kuchni włoskiej - obwieścił Josh, rozpakowując zakupy. - Fettuccini Alfredo, sałatka arugula i - uniósł w górę olbrzymią butelkę wina - białe włoskie wino... słowem, odświętnie. Widzę, że ubrałaś się stosownie.

Taryn miała na sobie koszulkę w biało-czerwona kratę i obcisłe dzinsy.

Pomyślałeś o wszystkim. Może ci w czymś pomóc?

Pozwól mi tylko zabrać się do pracy. Kawał dobrej roboty mamy już za sobą. Twoje teksty są zgrabne i dowcipne. - Udał zmartwienie. - Teraz tylko trzeba do tego skomponować równie udaną muzykę.

Czy mam cię tu zostawić samego, czy potrzebujesz towarzystwa?

Jego oczy rozbliły.

- Bezwzględnie potrzebuję towarzystwa.

Zachodzące słońce skryło się za zasłoną ciemnych chmur, przysunęła więc do fortepianu lampę i włączyła ją. Josh usiadł na ławeczce, rozluźnił swe długie palce i przebiegł nimi po klawiszach.

-Wspaniały fortepian - rzekł.

-Ojciec ofiarował mi go zaraz po przeprowadzce. Wie, jak mi sprawić przyjemność.

-Fortepian ożywia wygląd mieszkania - powiedział, po czym nagle zmienił temat. - Kochasz ojca, prawda?

-Dlaczego tak myślisz?

-Twoje oczy rozjaśniają się, gdy o nim mówisz, twój głos staje się miękki. Jesteś jedynaczką, prawda?

Skinęła głową.

-Czy z matką jesteś równie blisko?

-Nie, niezupełnie. A ty?

-Myślę, że tak. Jestem bardzo przywiązany do obojga rodziców. Dzwonię do nich dwa razy w tygodniu. Cały czas mieszkają tam, gdzie się urodziłem, w starym, dobrym Souttiport w Północnej Karolinie. Kiedyś zabiorę cię tam ze sobą. Spodobałyby się im.

Spojrzała na niego w zamyśleniu. Czasami bardzo przypominał małego chłopca - pełen powagi i entuzjazmu we wszystkim, co robił. W równym stopniu cieszył się kolacją, fortepianem i jej obecnością. W jej świetle okazywanie entuzjazmu kojarzyło się ze złym wychowaniem. Wesley, z wyjątkiem żeglarstwa, nie interesował się niczym, o niczym nie rozprawiał z uniesieniem. Powracając myślą do przeszłości, doszła do wniosku, że mimo faktu, iż wyznał jej miłość, zawsze żywił w stosunku do niej uczucia dość ambiwalentne. Bogaci oczekują jednak, że otrzymają wszystko, o czym tylko zamarzą. Pod tym względem Josh przypominał zresztą Wesleya, ale co dziwne, w jego przypadku cecha ta wydawała się czymś pozytywnym. „Bądź ostrożna, Taryn - powiedziała sobie. - Zajmij się muzyką, pisz teksty. Myśl!”

- Gdzie masz papier nutowy?
- Trzymaj. - Podniosła plik arkuszy z fortepianu i podała mu. - To ci powinno wystarczyć.
-Co to? - zapytał, machając nie dokończonym szkicem ostatniej piosenki, nad którą pracowała. - „Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu”.
- Przepraszam. To się tam dostało przez pomyłkę.
- Mogę rzucić okiem? - przeczytał głośno tytuł. - Brzmi nieźle.

- Wolałabym, abyś nie poświęcał temu zbyt wiele uwagi, Josh. Jeszcze tego nie skończyłam, a poza tym muzyka jest do niczego. - Wyrwała mu kartkę z ręki.

- W porządku. Wróćmy zatem do interesów. - Spojrzał na arkusz, który umieścił wcześniej przed sobą na podpórce. - Nienawidzę pustego papieru nutowego. - Używając ostrego ołówka, szybko zapisał tytuł: „Numer wstępny”, potem dodał: „Tekst - Taryn Tremayne, muzyka - Joshua Hammond”. - No, teraz wygląda to znacznie lepiej.

Zapisując podział ról, sprawił, że poczuła się nieswojo. Samo połączenie obu nazwisk na papierze oznaczało jak gdyby jakiś trwały stan -jak podpis pod dokumentem.

-Zostawię cię teraz samego, Josh. Muszę przemyśleć następny refren. Jednocześnie umyję arugulę.

-Potrafisz robić dwie rzeczy naraz? Ja, pracując nad piosenką, nie mogę zajmować się niczym innym.

Wycofała się do kuchni, trzymając w dłoni arkusz z „Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu”. Gorączkowo zaczęła szukać miejsca, w którym mogłaby ukryć szkic przed Joshem. Czułaby się zażenowana, gdyby przeczytał tekst napisany w tak specyficznym stanie ducha. Nie, nie powinien tego czytać. Słowa były zbyt osobiste na to, by je komukolwiek pokazywać - zwłaszcza jemu. Postanowiła ukryć kartkę między lodówką a stołem, w miejscu, gdzie trzymała papierowe torby. Umieściła blok i długopis przy

zlewie tak, by móc na bieżąco zapisywać pomysły, włożyła arugulę do sitka i zaczęła ją czyścić. Myjąc warzywa, próbowała wymyślić początek drugiego refrenu.

Z pokoju zaczęły dopływać do niej przypadkowe dźwięki, które po chwili ułożyły się w coś, co mogło od biedy uchodzić za melodię.

-Podoba mi się to! - zawołała.

-To rock! - odkrzyknął Josh.

-Wiem, że to rock. Nie jest to jednak bezmyślny dyskotekowy łomot. -Wróciła do pokoju. Spojrzał na nią; na jej twarzy malowało się życzliwe zainteresowanie. Mrugnął znacząco.

Dzięki twojemu tekstowi praca jest o wiele łatwiejsza. Mam jednak pytanie. Co byś powiedziała, gdybym umieścił tu pauzę?

Dlaczego?

By podkreślić wymowę ostatniego słowa w tej frazie.

No, nie wiem... - odrzekła, marszcząc bezwiednie czoło.

-Jeśli coś będzie nie tak, wyrzucę to bez wahania - zapewnił.

-Kto zadecyduje, czy coś jest nie tak - ty czy ja?

-Wiem, kiedy to, co robię, nie jest dobre. Nikt nie musi mi tego mówić. - Spojrzał na blok w jej dłoni. - Co to?

-Nowy tekst.

Wyrwał jej brulion z ręki.

-Jeszcze tego nie skończyłam! - zaprotestowała.

Spojrzał i wykrzywił się z dezaprobatą.

-Powiedziałam, że jeszcze tego nie skończyłam.

Uśmiechnął się.

-No właśnie. Musimy ustępować sobie nawzajem.

Przecież żadne z nas nigdy dotąd nie współzawodniczyło z kimś drugim. Uspokójmy się trochę i zostawmy sobie miejsce na pomyłki.

-Zgoda. Musimy trochę powściągnąć swój krytycyzm.

Wskazującym palcem dotknął czubka jej nosa.

-To nie jest w porządku, Taryn. Jesteś i piękna, i utalentowana.

Niewyszukany komplement wprowadził ją w zakłopotanie. Josh wrócił do klawiatury.

-Powiniennem, przynieść kapelusz, w którym trzymam natchnienie. Zawsze go wkładam, gdy komponuję.

-Co to takiego?

-Mam całą kolekcję kapeluszy; fedorę, derby... nawet czapkę rybacką. Używam ich, by zapobiec wrywaniu sobie włosów z głowy, gdy wpadam we frustrację.

-Zdaje się, że mam coś dla ciebie. - Pobiegnęła do łazienki. Musiała przejrzeć kilka szuflad, nim odnalazła to, czego szukała - brązową tweedową czapkę. Ukrywając ją za plecami, w podskokach wróciła do pokoju.

-Proszę - rzekła, podając ją towarzyszowi. - Zawsze była na mnie za duża.

Josh włożył ją sobie na głowę, tak że zawadiacko opadała mu na oko.

-Świetnie! -stwierdziła. - Możesz ją zatrzymać na pamiątkę naszych pierwszych wspólnych wysiłków.

Podziękował szerokim uśmiechem, a ona poniewczasie zdała sobie sprawę, że jej słowa oznaczały, iż dopuszczała możliwość dalszej współpracy. Wydawało jej się, że Josh wyczuł jej niepokój i taktownie zaczął przyglądać się swemu odbiciu w oknie.

-Jest wspaniała! Wyglądam w niej na ulicznego sprzedawcę piosenek. Dziękuję, Taryn. Teraz mogę zabrać się do pracy.

Obramowane świetlikami skrawki granatowego nieba spływały szarymi smugami deszczu. Na stole pozostały już tylko resztki kolacji i dopalające się świece. Zegar delikatnym tykaniem odmierzał noc.

Zachowywali się jak pogrążeni w transie. Wszystko, co

działo się tego wieczora, rządziło się jakimiś nadnaturalnymi prawami. Świat zewnętrzny zniknął, poza poddaszem wszystko było nierzeczywiste. Dla Taryn istniał tylko Josh i ich wspólna praca.

Siedzieli obok siebie przy pianinie i śpiewali swoje dzieło — on barytonem, ona altem. W utworze pojawiło się jeszcze kilka pauz; również frazowanie uległo korzystnej przemianie - efekt komiczny stał się dzięki temu pełniejszy. Josh ciągle miał na głowie ofiarowaną mu przez nią czapkę, lecz daszek opadał mu teraz na kark. Ona założyła kosmyki włosów za uszy i związała je tasiemką. Skończyli śpiewać, wybuchnęli śmiechem i zaczęli bić sobie brawo.

-No to mamy przebój! - oświadczył.

-To jest naprawdę niezłe -przyznała.

-Mimo rockowego rytmu?

-Właśnie dzięki niemu - uśmiechnęła się do niego.

Pochylił się w jej kierunku, a ona pospiesznie wstała.

-Uczcijmy to. W lodówce mam szampana - proponowała nerwowo. — Oooo, już prawie druga — rzuciła, przechodząc koło zegara. - Pracowaliśmy przez siedem godzin.

Wyjęła z lodówki szampana kupionego zaraz po wprowadzeniu się do tego mieszkania. Przyszło jej do głowy, że szkoda byłoby wypić go samotnie. Nagle zatrzymała się. Co ona właściwie robi? Josh na pewno nie lubi szampana. Może wolałby napić się piwa?

No cóż, nie miała piwa w domu, a tego szampana trzymała na specjalną okazję. Właśnie taką jak ta.

Wyplukała dwa nigdy dotąd nie używane kieliszki i wróciła do pokoju. Josh spojrzął na nią i uśmiechnął się ciepło. Poczuli się głupio - zdała sobie sprawę, że zachowuje się zbyt protekcyjnie. Usiadła na sofie w bezpiecznej odległości od niego i pozwoliła mu zająć się butelką. Korek

głośno strzelił w sufit. Gdy szampan zaczął się przelewać, szybko podsunęła kieliszki.

-Widzę, że masz wprawę...

-Gdy byłam dzieckiem, w Hudson Valley, sprzedawaliśmy na ulicy szampana zamiast oranżady - rzekła z udaną powagą.

Podniósł kieliszek do góry.

-Za twoje teksty!

Uśmiechnęła się zaskoczona.

-Za twoją muzykę!

- I - dodał, jeszcze raz trącając jej kieliszek - za dalszą współpracę.

Zawahała się, patrząc na niego ponad brzegiem uniesionego do ust kieliszka.

-Tak, za dalszą współpracę.

Opróżnili kieliszki. Gdy napełniła je znowu złocistym płynem, zauważyła, że Josh przysuwa się do niej.

-A teraz poważnie, Taryn - zaczął z przejściem. - Powiedziałem ci już, że mam całą walizkę kompozycji. Pozwól, że ci je pokażę. Dobrze nam się współpracuje. Do końca sierpnia klub jest zamknięty, mam więc dużo czasu.

-Wyrzucili cię z pracy? - zapytała, celowo nie nawiązując do jego propozycji.

-Mam wolne aż do Labor Day*, a potem... kto wie? Jeśli uda nam się sprzedać jakąś piosenkę, to nie będę musiał tam wracać.

-Jedna piosenka to jeszcze nie sukces - ostrzegła go.

-Wystarczy. Naturalnie musi to być dobra piosenka.

Coś, co się będzie dobrze sprzedawać, coś,, o co walczyć będą gwiazdy.

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

** Labor Day - amerykańskie święto pracy, obchodzone w pierwszy poniedziałek sierpnia.*

-To mało prawdopodobne. Taki błyskawiczny sukces to bajka ze starych filmów, nic więcej.

Josh nie dał się zbić z tropu.

-To może się zdarzyć! Odpowiedz mi, czy się zgadzasz. Spróbujemy?

-Dlaczego nie? - odrzekła po namyśle. - Ale co będzie, gdy nasze pierwsze dzieło nie przypadnie profesorowi do gustu?

-Na pewno mu się spodoba!

-Nawet jeśli tak będzie, to może nas rozdzielić - zauważyła sceptycznie.

-Porozmawiamy o tym, trochę mu pochlelimy, powiemy mu, że jego wyczucie nie zawiodło...

-Może jednak poczekamy i przekonamy się, czy spodoba mu się nasza piosenka?

-Jestem pewien, że mu się spodoba. On ma dobry gust. Zaczęła nucić cicho.

-Nie mogę zapomnieć tej melodii. Naprawdę wpada w ucho. Gdyby to była część przedstawienia, publiczność zachowywałaby się podobnie jak ja.

-Dziękuję. Myślę, że to cudowne uczucie słyszeć, jak ludzie nucą coś, co samemu się napisało. Nie sądzę, by mogło mnie cokolwiek uszczęśliwić do czasu, gdy cały świat zacznie śpiewać moje piosenki.

-Co znaczy, że chcesz być bogaty - stwierdziła.

Była ciekawa, czy zależy mu na pieniądzach. Czy mogłyby one wpłynąć na jego zachowanie, czy stałby się parweniuszem w drogim garniturze z pięknym samochodem, z „szykownym” apartamentem?

-Sądzę, że jedno wiąże się z drugim, ale nie zależy mi specjalnie na pieniądzach. Naprawdę nie. Chciałbym słyszeć moją muzykę w radiu albo trafić przypadkowo do jakiegoś klubu, w którym ktoś śpiewałby moje utwory. Ty pewnie czujesz to samo. Na pewno wiesz, co mam na myśli.

-Tak, tak marzę o tym. Żeby obcy ludzie podziwiali mój talent.

Łagodnie dotknął jej policzka.

-Wiesz, masz najdoskonalszą cerę, jaką kiedykolwiek widziałem. Twoja skóra jest gładka jak aksamit. Aż trudno w to uwierzyć.

-Nigdy nie miałam z nią żadnych kłopotów - odparła wesoło, szybko odsuwając się od jego dłoni, której dotyk zaczął wywierać na nią dziwny, nieokreślony wpływ. - Dość szampana? - zapytała pośpiesznie.

! -Tak, proszę. , nchńiic (sop) i Szazakim i j60.f .40 (1)D(0) i j(6)

w oczy - tak było bezpieczniej. Z uwagą wpatrywała się w grę cieni na jego twarzy.

-Wiem, o czym teraz myślisz - rzekł po chwili. - Że nie powinniśmy zbyt się zaprzyjaźniać, bo może to źle wpłynąć na naszą pracę.

Skinęła głową.

-Tak właśnie myślę. A ty?

Zmiana na jego twarzy była niemal niedostrzegalna, za-uważała jednak, że jego oczy ciemnieją i nabierają niepokojącej głębi. Wokół jego ust pojawiły się drobne zmarszczki, a krew odpłynęła z policzków.

-Nie - stwierdził wreszcie. - Nie zgadzam się z tobą. Oboje jesteśmy dorośli, i sądzę, że wiemy, czego chcemy.

Nie miała wątpliwości, do czego on zmierza. Oblizła wyschnięte nagle wargi. Nie potrafiła odpowiedzieć mu nic sensownego. Z trudem zebrała myśli.

-Trochę na to za wcześnie - rzekła wreszcie ledwie słyszalnym głosem. - Zbyt krótko się znamy. Możemy popełnić jakąś niewybaczalną pomyłkę. Słusznie powiedziałaś, że na razie wszystko idzie dobrze. Nie pozwólmy niczemu tego zakłócić. - W miarę jak opuszczała ją odwaga, jej słowa stawały się coraz mniej wyraźne.

Splotła palce obu rąk i zaczęła je wyginać w nerwowym napięciu. Po chwili zaproponowała nieco śmieiej:

-Może dokończymy szampana?

-Jasne - odrzekł z goryczą. - Przecież mieliśmy coś uczcić.

-Josh, proszę!

-Przepraszam, ale nie przywykłem do tego, by ktoś mnie odrzucał.

Poczuła, że ścisza jej się gardło. Dlaczego jest zawsze taki konkretny? Dlaczego stawia wszystko na ostrzu noża? Oczywiście, przywykł do łatwiejszych kobiet, takich, które mniej troszczyły się o swoją reputację. Nie wiedząc, jak

rozładować napiętą atmosferę, naląła resztę szampana do kieliszków. Wychylił swój jedynym haustem.

-Zrobiło się późno - stwierdził wstając. - Chyba już pójdę. Wstała również. Josh oparł ręce na jej ramionach i spojrział jej prosto w oczy.

-Czy jest ktoś jeszcze? - zapytał nagle.

Głośno przełknęła ślinę.

-Nie, Josh, nie ma nikogo.

Opuściła głowę tak, by nie mógł widzieć jej twarzy, domyślić się, że nie jest całkiem szczerą. Poczuli się winni, jakby zdradzała Wesleya i wspomnienia ich... miłości. Miłości? To słowo tak dziwnie nie pasowało do ich związku. Kojarzyły się z nim raczej pełne ekstazy noce, uniesienia, namiętności. Tak jednak nigdy nie było - przynajmniej nie dla niej.

-Wezmę nasze arcydzieło ze sobą, popracuję jeszcze nad nim trochę, a potem zrobię kopię dla Lehrmana - rzekł ze sztucznym ożywieniem, próbując załagodzić napięcie.

Taryn spojrzała w stronę okna.

-Ciągłe pada. Przyniosę ci parasol.

-Nie, nie kłopotz się. Zawsze je gubię.

-Przemokniesz.

-Złapię taksówkę.

-Kolacja była wspaniała, Josh. - Zmusiła się do uśmiechu. - Będiesz dla kogoś cudownym...

-Mężem? Tak. Mówiono mi to już niejednokrotnie. Przeważnie jednak nie miało to nic wspólnego z moimi umiejętnościami kulinarnymi.

Poczuli, że rumieni się zażenowana jego aluzją. Zdecydowała jednak, że rozstanie będzie proste i szybkie.

-Porozmawiamy jutro? Może znajdziesz czas, żeby pokazać mi twoją walizkę piosenek?

-Dobrze - odparł ponuro. - Mamy przecież ze sobą współpracować, prawda?

Wyszedł na korytarz i podszedł do windy szybkim, zdecydowanym krokiem. Taryn postanowiła zostać w mieszkaniu.

-Dobranoc, Josh! -zawołała za nim. Nie odpowiedział. Wchodząc do windy, pomachał jej tylko na pożegnanie. Powała zamknęła drzwi i zasunęła blokadę. Rozległ się pusty, złowieszczy szczeł zamka. Nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zabrała się do sprzątania ze stołu. Ułożyła talerzyki na tacce i zatrzymała się na moment, zasluchana w szum deszczu uderzającego o szyby. Nagle błyskawica rozdarła niebo, grzmot wstrząsnął domem. Burza rozszalała się na dobre. Otworzyła okno i wychyliła się, by spojrzeć na ulicę. Jej twarz i włosy w mgnieniu oka stały się mokre. Czekala chwilę, ale nie przejechał żaden samochód. W taką pogodę szanse na złapanie taksówki równały się zeru.

Szybkim krokiem poszła do pokoju, chwyciła duży parasol i wybiegła z mieszkania. Czekanie na windę ciągnęło się w nieskończoność. Zjechała wreszcie na parter, szybko przebiegła przez hall i stanęła na progu drzwi wejściowych. Otworzyła ogromny parasol, by schronić się przed potokami wody. Spoglądając w lewo i w prawo, wpatrywała się w mrok, usiłując odnaleźć Josha. Ulica wydawała się zupełnie pusta. Zamierzała już wrócić, gdy nagle dostrzegła go. Stał niedaleko, ukryty we wnętrzu drzwi jakiegoś domu.

-Josh! - Podbiegła do niego, zapomniawszy o potwornym deszczu i pokrytych kałużami chodnikach. - Nigdy nie złapiesz taksówki! Chodź ze mną. Prześpisz się na sofie.

-Nie, dziękuję! - odrzyknął bez zastanowienia.

Wsunęła się pod daszek i przechyliła parasol, by osłonić go przed ulewnym deszczem.

-Nie bądź uparty, Josh. Przemokłeś do suchej nitki. Chodź ze mną, proszę!

Niespodziewanie przysunął się do niej. W pierwszej chwili miała ochotę wyskoczyć w deszcz, nie potrafiła jednak oderwać wzroku od jego źrenic. Stała jak sparaliżowa-

na. Miał najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała u mężczyzny.

Mimo parasola deszcz tak ich zmoczył, że ubrania oblepiły ich ciała niby całun. Zaczęła drzeć z zimna. Z ust unosiły się obłoczki pary.

„To śmieszne - pomyślała. - Stoję tu w środku nocy, w czasie burzy, próbując przekonać upartego faceta, żeby przyszedł do mnie do domu! Przecież to zupełnie nie ma sensu!”

Josh rozchylił wargi tak, że widziała różowy koniec jego języka. Podszedł bliżej, tak blisko, że wystarczyło lekko się pochylić, by ich ciała zetknęły się ze sobą. Czy przysunie się jeszcze bliżej? Czy zaryzykuje pogardliwą odprawę?

Przysunął się.

Wiatr szarpał jej parasolem. Przez moment miała wrażenie, że zdmuchnie ją z chodnika, że wirując uniesie się w powietrze. Wtedy Josh ją dotknął. Ciepło jego palców zaskoczyło ją. Zaczęła się cofać, ale on chwycił ją za ramiona.

-Wróć z tobą, Taryn, ale nie będę spał na sofie.

Brutalnie przywarł wargami do jej ust. Potem odebrał jej parasol i objąwszy ją w talii, pociągnął za sobą.

W mieszkaniu zaczął zrzucać przemoczone ubranie, a ona, przerażona i podniecona zarazem, gorączkowo szukała jakiegoś zajęcia, by opanować ogarniający ją niepokój.

-Przyniosę ręczniki - rzekła wreszcie i poszła do łazienki.

Sięgając do szafki po stos puszystych ręczników, dostrzegła swoje odbicie w lustrze. Jej włosy zwisały ciemnymi strąkami, po pozbawionej makijażu twarzy spływały krople deszczu. Wpatrywała się w siebie, jak gdyby nie mogła się rozpoznać.

-Taryn, pospiesz się, marznę!

Porzuciła przyprawiające ją o zawrót głowy rozmyślenia i wróciła do pokoju. Przystanąła. Serce zamarło jej w piersi.

Josh, nagi, stał tyłem do niej, wymachując ramionami, by się rozgrzać. Nagość Wesleya nigdy tak na nią nie podziałała.

Josh miał wspaniałe ciało. Wypukłe mięśnie rzeźbiły jego plecy; talię miał wąską, pośladki, na których dostrzegła wyraźne wgłębienia jędrne, a uda i łydki - smukłe i twarde.

Trzymaj! - zawołała, rzuciwszy mu ręcznik pozornie niedbałym ruchem. Odwrócił się w samą porę i chwycił go w locie. Uśmiechał się, wolno owijając go sobie wokół bioder. Wyglądało na to, że bawi go jej zażenowanie.

-Zdejmij ubranie - rzekł spokojnie. Było to raczej zaproszenie niż rozkaz.

Odwróciła się i rozpięła guziki mokrej koszuli. Zsunęła ją z ramion, przez chwilę przytrzymała na wysokości łokci, po czym pozwoliła jej opaść na podłogę. Ściągając dzinsy, usłyszała jego westchnienie. Rozbieranie się przed nim podnieciło ją jeszcze bardziej i wkrótce całe jej ciało płonęło z żądzy. Spojrzała przez ramię. Wpatrywał się w jej nogi. Świadoma, że obserwuje każdy jej ruch, zaczęła wycierać ręcznikiem włosy.

Westchnął znowu. Mimo szumu deszczu słyszała jego ciężki, głęboki oddech. Wyłączyła światło - zostały tylko migocące świece. Cały pokój wypełniła różowa poświata. Strużki wody, spływające po szybach, rzucały na ściany i sufit tajemnicze cienie. Wstrzymała oddech, czekając na jego ruch. Nie trwało to długo. Podeszedł do niej szybko, bezszelestnie.

Zatrzymał się tuż za nią, ogrzewając jej ramiona swoim oddechem. Uniósł jej ręce w górę, położył dłonie na pierśsiach i wyszeptał jej imię, przeciągając je jak początek modlitwy. Objął ją ramionami, zamknął w potężnym uścisku i uniósł jej włosy, zaczął całować jedwabistą skórę na karku. Poczwała, że jej nerwy napinają się do ostatecznych granic, a puls wali z niesamowitą szybkością. Odwróciła się

i zaczęła całować go zapamiętane, mocno przyciskając usta do jego ust.

Ujął ją za rękę i poprowadził do łóżka. Był jak w transie. Położył się i delikatnie skłonił ją, by zrobiła to samo. Wahała się przez moment, zastanawiając się, jak łatwo jej obawy ustąpiły miejsca pożądaniu. Położyła się ostrożnie obok niego, zdając sobie sprawę, że od tej chwili nie ma już odwrotu.

Wolno pieścił palcami jej ciało, badał każdy punkt, każdy zakątek. Jego dotyk, jednocześnie delikatny i zdecydowany, jego czułe pieszczoty sprawiły, że zapragnęła go jeszcze bardziej. Przyszło jej do głowy, że oto sama zachowuje się jak te kobiety, które tak często krytykowała.

Wkrótce jednak nie była już zdolna myśleć o czymkolwiek. Josh całował jej twarz, szyję i piersi, jego usta zostawiały wilgotne ścieżki w miejscach, które wcześniej odwiedziły badawcze dłonie. Żar, który ją ogarniał, stawał się trudny do zniesienia. Wznosiła się na wyżyny podniecenia, jakiego nie doznała nigdy dotąd, ekstaza przeplatała się jednak z lękiem. Uwolnioną namiętność mąciła obawa, że Josh obudzi w niej coś, nad czym nie zdoła zapanować.

Pomieszczenie wypełniały jakieś dziwne dźwięki. Zdała sobie sprawę, że to z jej ust wydobywają się nabrzmiałe rozkoszą okrzyki. Josh znalazł się teraz nad nią. Przez chwilę przyglądał jej się, a wyraz jego twarzy upewnił ją, że jest tak, jak być powinno. Potem ich ciała połączyły się. Wartki potok porwał ich poza granice zmysłów, poza czas. Było już za późno, by się cofnąć. Poza nimi nie istniało już nic.

Rozdział VI

Pierwszą myślą, jaka jej przyszła do głowy, było to, że fizyczne spełnienie nie jest w stanie zmienić poglądów na życie. Przytulając się mocniej do śpiącego Josha, przypomniała sobie minioną noc. Ciepło, intymność, podniecenie - słowa, które dotąd były dla niej tylko słowami, stały się

o nowy wymiar. Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół w niemym zachwycie.

Niebo za ramą świetlika wyglądało tak samo... może było odrobinę bardziej błękitne. Gardenia nadal zajmowała swe miejsce koło szafy, choć teraz zdawała się nasycać powietrze upajającą wonią. „Przyznaj, że wszystko się zmieniło — mówiła do siebie — nawet ty sama...”

Nagle ogarnął ją lęk. Jak zachowa się Josh? Czy będzie inny, tak jak Wesley? Czy będzie żył romantycznymi uniesieniami minionej nocy? A może nic go nie będzie obchodzić? Słyszała, że mężczyźni często tak właśnie zachowują się rano. Ale sposób, w jaki się kochali - tak, to właściwe słowo, kochanie się, nie seks - był dla niej czymś absolutnie olśniewającym. Z Wesleyem było dobrze, przyjaźnie, słodko, ale - zdecydowanie nie olśniewająco. Z Joshem doszło do czegoś więcej niż do zwykłego, cielesnego kontaktu. Pamiętała dobrze to uczucie całkowitego zatracenia.

-Obudziłaś się już?

Serce jej zamarło. Była pewna, że tak się stało, bo kiedy Josh dotknął jej piersi, poczuła, że zaczyna bić znowu. Miała nieprzeparte wrażenie, że on czyta w jej myślach. Na jej policzki wystąpił rumieniec. Postanowiła udawać śpiącą.

-Częściowo... -wymruczała.

-Więc dzień dobry... moja cudowna!

-Cudowna? Zapomniałaś już, jak mam na imię?

-O niczym nie zapomniałem - odparł, całując jej powieki. - O niczym - powtórzył, przebiegając dłonią po jej pośladkach i przyciągając ją bliżej.

Nagle włączył się budzik i z głośnika popłynęła melodia „Moon River”, wypełniając ciszę.

-Przepraszam, że to nie rock - rzekła, chcąc go sprowokować.

-Rock nie jest dobry z samego rana - uśmiechnął się. - A przynajmniej nie rock z budzika.

Zaczęli przekomarzać się i łaskotać, tarzając się po łóżku. Śmiejąc się spadli wreszcie na biały włochaty dywan.

-Znowu widzę gwiazdy -jęknęła. - Może byśmy wypili trochę kawy? Idź się wykapać, ja wstawię kawę i... przyjdę do ciebie - dokończyła zdumiona własną śmiałością.

Wstał, śmiejąc się ciągle. Wyciągnął rękę, by pomóc jej się podnieść.

-Trudno zlekceważyć taką propozycję.

Dwadzieścia minut później wyszli spod prysznic, ciągle śmiejąc się i przekomarzając. Josh uderzył ją w pośladki wilgotnym ręcznikiem, który pozostawił wyraźny ślad. Piśnieła, zaskoczona i przerażona. Chwytał ją w tali i uniósł, by pocałować czerwone miejsce.

-Teraz powinno być lepiej - oświadczył.

Porzucając na chwilę swe zabiegi, wyprostował się i wciągnął nosem powietrze.

-Wiesz, nic chyba nie jest w stanie dorównać aromatu świeżo zaparzonej kawy.

-Nic? - powtórzyła, mrużąc oczy.

Roześmiał się i postawił ją na podłodze.

-Cóż, może i nie mam racji... Ale rano... Wyłącznie kawa!

-Sam nie parzysz sobie kawy?

-W moim piecyku działa tylko jeden palnik. Gotuję wo-

dę i robię sobie kawę rozpuszczalną. Niestety, nie cierpię surrogatów. - Mówiąc to, szedł za nią do kuchni.

Taryn nałala dwie filiżanki kawy.

-Co chcesz na śniadanie? Jajecznica na szynce? A może coś lżejszego?

-Raczej coś lżejszego.

Przygotowała rogaliki, słodkie masło i sałatkę owocową, a potem siedli przy stole i jedli w ciszy, spoglądając na siebie i od czasu do czasu przerywając posiłek pocałunkami i pieszczotami.

-Czy my wczoraj nie napisaliśmy wspaniałej piosenki?

- zapytał, gdy skończyli posiłek.

-Zdaje się, że tak.

Przytulił ją do siebie i rzekł:

-Więc chodź, zaśpiewamy ją jeszcze raz.

Podeszli do fortepianu i usiedli na ławeczce. Bliskość jego ciała nie wywoływała już w niej zażenowania - przeciwnie, czuła się mile podniecona. Josh zaczął grać, a jej cośię nagle przypomniało.

-Zaczekaj - podbiegła do szafy, poszperała w niej i wróciła z tamburynem.

-Świetnie! - zawołał.

Pasja muzyczna zajęła miejsce erotycznego zauroczenia. Zaczęli śpiewać; Taryn akcentowała rytm uderzaniem w tamburyn. Piosenka brzmiała znacznie lepiej niż minionego wieczoru.

Nagle dzwonek do drzwi wejściowych przerwał ich improwizowany występ.

-Nikogo nie oczekuję - stwierdziła, unosząc się z ławeczki. Podniosła słuchawkę domofonu. - Kto tam?

-Dostawa - oznajmił ktoś ochryplym głosem.

Spojrzeli na siebie, zdając sobie sprawę, że ciągle są nadzy.

-Chyba powinniśmy się ubrać - zauważyła z zalem w głosie.

-Też tak myślę - odpowiedział.

Włożyła wyjęte z szafy spodenki i bawełnianą koszulkę. Josh w tym czasie zajęty był naciąganiem dżinsów, które skurczyły się najwyraźniej na skutek przemoczenia.

-Myślę, że powinniśmy je wyprasować - stwierdziła.

-Nie warto. Pomięte ubrania są teraz w modzie.

-Wygląda na to, że twoje ubrania nie tylko się pomięły, ale i skurczyły - zauważyła, wygładzając palcami jego koszulę.

-Odrobinę. Następnym razem będę musiał wysuszyć je na wieszaku. Nie mogę dopiąć ostatniego guzika.

Dzwonek zadzwonił znowu, poszła więc do drzwi, przygotowując miły uśmiech, jakim witała zazwyczaj urzędników, sklepikarzy i chłopców przywożących towar. Otworzyła - i uśmiech spłynął z jej twarzy jak masło z gorącego ziemniaka.

-Nadia?!

-Ot, drobny podstęp, moja droga - rzekła Nadia, zniżając głos. - Dostawa - powtórzyła. - Trochę jak Gertruda Stein, prawda? - W ręku trzymała paczkę owiniętą w lśniący biały papier, ozdobiony fiołkami. - Oto podarek do nowego mieszkania. Chciałam zrobić ci niespodziankę. Byłam dziś rano w Bonwifs i znalazłam to w sklepie z pamiątkami. Przy okazji skorzystałam z usług fryzjera. - Potrząsnęła swymi srebrnymi włosami, czekając na słowa zachwyty. - Nic nie mówisz? Nie podoba ci się?

Włosy Nadii poddane zostały ondulacji w modne obecnie fale, jej makijaż był agresywny -ostro zaznaczone brwi, róż przypominający siniaki i ciemnoczerwona, niemal czar-na szminka. Taryn była zdania, że nowy stylzupełnie przyjaciółce nie pasuje, ale nie odważyła się jej tego powiedzieć.

-Bardzo szykownie.

-Nie zaprosisz mnie do środka, kochanie?

-Przepraszam, zachowuję się niegrzecznie - powiedział-

ła to tonem, który miał zasugerować, że Nadia sama nie zachowała się odpowiednio, przychodząc bez uprzedzenia. Niestety, subtelna aluzja, jak zwykle, nie dotarła do niej.

Wpuściła swego gościa i przyglądała się ciekawie, chcąc dostrzec reakcję przyjaciółki na widok Josha. Oczywiście Nadii zmieniły się w szparki, błysnęły w nich figlarne iskierki.

-Ach... ach... aaach! - Postąpiła krok do przodu z wyciągniętą ręką. - Pan jest kolegą Taryn z kursu, prawda? Nazywam się Nadia Deering, jestem najlepszą przyjaciółką Taryn.

-Joshua Hammond - rzekł Josh, potrząsając zdecydowanie jej ręką.

-Joshua Hammond! - powtórzyła Nadia, przeżuując słowa jak twardy cukierek. Swoboda Josha przypadła jej najwyraźniej do gustu. Szybkim krokiem podeszła do sofy i usiadła, przybierając wystudiowaną pozycję - nogę założyła na nogę, łokcie oparła na kolanach, a dłońmi ujęła twarz, starając się jednak nie naruszyć makijażu. Taryn była pewna, że widziała tę pozę na okładce jakiegoś magazynu.

-Josh i ja pracowaliśmy nad piosenką - pośpieszyła z wyjaśnieniem, choć w chwilę potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie miałyby się przed kimkolwiek usprawiedliwiać. - Właśnie zjedliśmy śniadanie - dodała śmiało. - Chciałabyś coś zjeść albo napić się czegoś?

-Pracowaliście tak wczesnym rankiem? To zdumiewające! - Nadia odwróciła się do Josha. - Pan pewnie mieszka gdzieś w sąsiedztwie, panie Hammond?

-Proszę mi mówić Josh. Nie, tak naprawdę to...

-Zasiedział się trochę - przerwała mu Taryn. - Pracowaliśmy do późna w nocy. Potem zerwała się burza, nie mógł złapać taksówki i...

Nadia mrugnęła okiem. Poza tym jej twarz ani drgnęła.

-Zawsze jesteś taka gościnna, kochanie?

Taryn otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz Josh wstał.

-Czas już na mnie - powiedział - nie będę przeszkadzał w rozmowie z... - zawiesił głos.

-Nadia Deering - powtórzyła Nadia. - Nie wypada tak zjeść i zaraz wychodzić - zamruczała, spoglądając na niego z błyskiem w oczach.

Josh podniósł z fortepianu arkusz papieru z zapisem nutowym i spojrzał na Taryn.

-Dziwne, wczoraj się nie zmoczył - rzekł, po czym odwrócił się do Nadii. - Miło mi było panią poznać.

-Tak, mnie również - uśmiechnęła się.

-Wybacz mi, Nadiu, odprowadzę Josha do windy.

Gdy znaleźli się na korytarzu, Taryn rzekła:

-Tak mi przykro, Josh!

-To nie ma znaczenia. I tak nie chciałem siedzieć u ciebie zbyt długo, przeszkadzałbym tylko. - Odgarnął jej z czoła kosmyk włosów. Pod wpływem jego dotyku jej twarz się rozpozogodziła. - To twoja najlepsza przyjaciółka? Nie wydaje mi się, abyście miały ze sobą wiele wspólnego.

-Kiedyś może i tak było - odrzekła, nagle zamyślona. - Szkoda. Na szczęście to ja się zmieniłam. Nadia jest wciąż taka sama.

-To prawdziwy drapieżnik. Nie chciałbym jej spotkać ciemną nocą. Cieszę się, że nie jesteś taka jak ona.

-Dzięki Bogu... - rzekła machinalnie.

Nadjechała winda. Przytrzymał drzwi stopą, po czym chwycił jej twarz w dłonie i pocałował ją mocno w usta. - Dziękuję za kolację i współpracę - pocałował ją znowu - przy fortepianie... i w łóżku.

Tym razem zareagowała na tę bezpośrednią uwagę z nie ukrywaną przyjemnością. Po chwili, prostując ramiona, wracała już do mieszkania. Ledwie zdążyła wejść, Nadia odezwała się:

-Nie otworzyłaś mojego prezentu.

Posłusznie rozwiązała fioletowe wstążki i rozerwała opakowanie. W strzępach papieru leżał ozdobny ceramiczny wazon. Ujęła go delikatnie.

-Jest przepiękny! Zwłaszcza ten bambusowy wzór. Będzie tu cudownie pasować. - Położyła prezent, podbiegła do przyjaciółki i uściskała ją serdecznie. - Czasem potrafisz być taka słodka! Taka jak w Colle'u.

Nadia rozpromieniła się.

-Bardzo się cieszę, że ci się podoba. Gdzie chcesz go postawić?

Podniosła wazon i zaczęła szukać odpowiedniego miejsca. Wreszcie umieściła go na kredensie.

-Co powiesz na to?

-Doskonale! - Mówiąc to, Nadia spojrzała na niezastłane łóżko. - Być może powinnam znaleźć sobie nowego kochanka, Taryn. Tak jak ty.

-Miałam w życiu tylko jednego kochanka, Nadiu. Wesleya. Co będzie z Joshem, tego nie wiem.

-Nie zamierzam cię krytykować, kochanie. Nie można żyć wyłącznie natchnieniem. A on jest przystojny w pewien szorstki sposób.

-Jest również bardzo miły. Zupełnie nie taki, jaki może się wydawać po pierwszym spotkaniu. - Taryn była zdumiona swymi własnymi słowami. Zdała sobie sprawę, jakie można wyciągnąć z nich wnioski. Rozmowa z Nadią uświadomiła jej, że jeszcze całkiem niedawno nie patrzyłaby na kogoś takiego jak Josh inaczej, jak tylko z niechęcią.

Nadia usiadła na łóżku i zapaliła papierosa ze złotym ustnikiem.

-Ostatnio dość często spotykam się z Wesleyem - zaczęła ostrożnie.

-Naprawdę?

-Czy to wszystko, co masz na ten temat do powiedzenia?

-Czego ode mnie oczekujesz? Wesley jest wolny. Może robić, co zechce.

-Dojrzałe podejście do sprawy - stwierdziła Nadia, wypuszczając dym nosem. - Z radością zrezygnowałabym z moich alimentów, gdyby Wesley poprosił mnie, żebym za niego wyszła. - Mówiąc to, przypatrywała się przyjaciółce, najwyraźniej oczekując jakiejś reakcji.

-Nie kochasz go przecież.

-Nie, ale myślę, że mogłabym. Jesteśmy do siebie bardzo podobni. Jesteśmy ulepieni dokładnie z tej samej gliny. Sądzę, że moglibyśmy być ze sobą szczęśliwi.

Taryn bezmyślnie przekładała drobne przedmioty leżące na wieku skrzyni. Zastanawiała się, czy Wesley i Nadia już przypadkiem ze sobą nie sypiają. Nie zdarzyło się, by Nadia „dość często” spotykała się z mężczyzną i nie sypiała z nim. Wesley był z pewnością świetną partią - zamożny, przystojny, dobry kompan...

Odegnęła od siebie te myśli. Nie miała żadnego powodu, by być zazdrosną. Jeśli to jednak nie jest zazdrość, to co właściwie teraz czuje? Nagle zdała sobie sprawę, że Nadia mówi do niej.

-Przepraszam, możesz powtórzyć? Zamyśliłam się.

-Powiedziałaś, że jedyny problem z Wesleyem - to ty. On ciągle ciebie kocha, Taryn. - Głos Nadii złagodniał. - Naprawdę powinnaś do niego wrócić. Kobieta nie powinna żądać niczego więcej.

Taryn spojrzała na przyjaciółkę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Nadia zaczęła prostować fałdy swej sukienki tak, jakby przygotowywała się do pozwania. Taryn pomyślała, że właściwie nigdy nie widziała jej nieprzygotowanej do natychmiastowej sesji fotograficznej. Zastanowiła się, czy po spędzeniu nocy w ramionach kochanka również bu-

dzi się z doskonałą fryzurą i uśmiechem na twarzy. „Najprawdopodobniej nastawia jakiś budzący tylko ją budzik i wstaje wcześniej, by uczesać włosy, zrobić sobie makijaż i skropić się perfumami przed powrotem do łóżka” - pomyślała ze złośliwością, która zdumiała ją samą.

-Tu nie chodzi tylko o powrót do Wesleya - rzekła ci cho. - Oznaczałoby to powrót do dawnego trybu życia. Mam nadzieję, że to, co mówię, nie jest dla ciebie obraźliwe, ale to nie dla mnie. Już nie.

Nadia wstała.

-Nie czuję się urażona, Taryn. Tak naprawdę, to ci zazdroszczę. Potrafisz doskonale dbać o własne interesy. Akt samoobrony - oto, czym jest twoje nowe życie. Gdybym miała choć odrobinę talentu, spróbowałabym otrząsnąć się z przekleństwa „Hudson Valley”. - Na jej wargach pojawił się nieznaczny uśmiech. — A może nie. Nie potrafię nic robić. Właściwie w moim środowisku jest mi bardzo dobrze. Bezpiecznie i wygodnie, tak jak Wesleyowi. Oboje jesteśmy tchórzami. Po prostu para pozbawionych wyobraźni tchórzy. Myślę, że jego przywiązanie do ciebie to również rodzaj tchórzostwa. Dlatego nie posłam z nim jeszcze do łóżka. Tak, dostrzegłam teraz wyraz zaskoczenia na twojej twarzy. Pomyślałam, że z Wesleyem spróbuję innego sposobu. Być może z czasem uda mi się skłonić go do zmiany poglądów na mój temat. Może stanę się dla niego czymś więcej niż tylko jeszcze jednym bezdusznym produktem naszego środowiska.

-Życzę ci powodzenia, Nadiu. Naprawdę.

-Nadia uśmiechnęła się ciepłym, łagodnym uśmiechem. W tej chwili wyglądała naprawdę pięknie.

-Wiem o tym, Taryn. Zawsze jesteś szczerą. To właśnie najbardziej w tobie podziwiam. Jedyne prawdziwy kwiat, kwitnący w naszej dolinie sztuczności. No, muszę już iść. Jestem umówiona na lunch z Sylwią i Melindą. Cały czas

spędzimy jedząc sałatki, pijąc perriera i obgadując naszych byłych mężów. Można to przewidzieć.

Taryn odprowadziła ją do drzwi.

-Pozdrów je ode mnie i powiedz im, że będę z nimi w kontakcie - powiedziała, uściskawszy przyjaciółkę. - I dziękuję za wspaniały prezent.

Nadia dotknęła palcem jej policzka.

-Wyglądasz na szczęśliwą, Taryn. Naprawdę szczęśliwą. Znacznie lepiej się w tym wygląda niż w nowym makijażu czy fryzurze. Pa! Następnym razem postaram się uprzedzić cię o swojej wizycie. Obiecuję.

Taryn zamknęła za nią drzwi i poszła pościelić łóżko. Stała przed lustrzanymi drzwiami swojej szafy i zaczęła przyglądać się sobie, przechylając się do przodu, niemal dotykając twarzą lustro. Tak, rzeczywiście. Wyglądała inaczej. Mogło się wydawać, że coś rozświetla ją od środka. Jej oczy sprawiały wrażenie większych, jaśniejszych, a źrenice lśniły jak błękitne kryształki lodu. Jej nieskazitelnie gładka skóra nabrała ciepłego, słonecznego blasku. Kąciki ust były lekko uniesione, co nadawało jej twarzy wyraz zadowolenia. Wyciągnęła rękę, by dotknąć koniuszka nosa.

-Wyglądasz na szczęśliwą - rzekła do swego odbicia.

Zrozumiała nagle, że słowo to nabrało całkiem nowego znaczenia i zaskoczona zaczęła się nim delektować. Miała dom, miała pracę, a teraz - czy nie za wcześnie o tym myśleć? -miała równieżJoshę. Jak bardzo myliła się stosunku do niego! W końcu to on pozbawił ją wszelkich uprzedzeń. Potrafił patrzeć życiu prosto w twarz, przyjął je takim, jakie jest. Gdy było się już do tego zdolnym, z łatwością można było zrzucić więzy przeszłości i łatwiej przychodziło widzieć wszystko we właściwych proporcjach.

To nagle uczucie szczęścia trocheja zaniepokoiło. Przyzwyczajenie się do takiej nagłej zmiany wymaga jednak odrobiny czasu. Jak bardzo różniło się to wszystko od jej dotychczasowego

życia! Nudna, szablonowa egzystencja stała się przeszłością. Teraz każda chwila niosła ze sobą przecucie nadciągających przeżyć. Przyłożyła policzek do lustra i spojrzała na zmiętą pościel. Szczęście łączyło się jeszcze z czym innym: z nieznacznym, lecz uporczywym lękiem przed jego utratą.

Notes Taryn wypełniały coraz to nowe fantazyjne rysunki - nuty przeplatały się z winoroślą i pączkami róży. Zaniedbała tego i skupiła się na scenie, na której wysilali się jacyś kolejni imitatorzy Rodgersa i Hammersteina. Wysoki mężczyzna i niechlujna gospodyni w średnim wieku prezentowali właśnie swoje mierne zdolności. Fakt, że ani on nie potrafił grać na pianinie, ani ona śpiewać, nie pomógł bynajmniej i tak beznadziejnemu utworowi. Muzyka była staromodna i miała ledwie dostrzegalny arabski rytm. Teksty sztywno trzymały się wzoru AABB, a co gorsza, były banalne i puste.

Gospodyni sfalszowała okropnie. Z tyłu sali, z miejsca, w którym stał Alexander Lehrman, rozległ się donośny jęk. Taryn skrzywiła się i zerknęła na siedzącego obok Josha, który rzucił jej spojrzenie, zdające się mówić: „Widzisz? Poza strachem nie ma się czego bać”.

Na szczęście utwór niebawem dobiegł końca. Grzeczne, lecz wymuszone brawa przerwał Lehrman, który wyszedł na scenę i obwieścił znużonym głosem:

-Wydaje mi się, że został nam już tylko jeden spektakl... - Jego głos nabrał cieplejszej barwy: - Joshua Hammond i Taryn Tremayne! Zakładam, że udało wam się nawiązać owocną współpracę...

Gdy wstawali ze swoich miejsc, Josh ścisnął jej rękę.

-Nie denerwuj się - szepnął. - Musi się udać.

Wyszli na scenę. Josh usiadł przy fortepianie i rozluźnił palce, Taryn przysunęła wysoki stółek bliżej niego i przygotowała tamburyn. Powiodła wzrokiem po twarzach ze-

branych. Wyglądali na zmęczonych wysłuchiowaniem mało oryginalnych piosenek, których w dodatku było o wiele za dużo. Na twarzy Lehrmana natomiast malowało się oczekiwanie, znacznie bardziej pasujące do jego osobowości aniżeli owa bezbarwna maska, jaką nosił przez ostatnie półtorej godziny.

Josh zaczął od słowa wstępnego.

-Postanowiliśmy, że nasz numer będzie skomponowany w stylu muzycznych rewii, popularnych na Broadwayu w latach trzydziestych i czterdziestych.

Dalej ciągnęła Taryn.

-Później, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, tego typu przedstawienia zostały przeniesione do niewielkich klubów w Greenwich Village i East Side. Mamy nadzieję, że udało nam się uchwycić ducha groteski, która obecnie na powrót zdobywa sobie popularność.

Potrząsnęła tamburynem i uderzyła weń dłonią. Josh zaczął pierwsze cztery takty i zaczęli śpiewać:

„Zaczyna się rewia - i cóż ja tu mam?

Ot -smyczkowy kwartet, ociężały sopran,

Kilku akrobatów, piękne hajdawery,

Smutna pantomima w rytmie na cztery.

Minstrela ballada, a hej, a ho-ho,

Cierpiące łabędzie i ozdobne banjo.

Są tu też gitary, stare samochody,

Tamburyny, dzinsy, które wyszły z mody.

Zaczęliśmy właśnie - niech nikt nam nie zaśnie!"

Twarze zebranych ożywiły się. Ludzie wyprostowali się na krzesłach, spojrzenia skupiły się na parze artystów, a stopy zaczęły bezwiednie wybijać rytm. Josh i Taryn zaczęli drugi refren z jeszcze większą werwą. Gdy skończyli, nikt nie chrząknął ani nie bił grzecznościowych braw. Uczestnicy kursu wiwatowali i tupali nogami. Ktoś gwizdał -ostry dźwięk bardziej przywodził na myśl wzywanie taksówki

niż aplauz dla wykonawców. Taryn nie mogła powstrzymać śmiechu, zorientowawszy się, że gwizdże sam Lehrman.

Gdy ucichły oklaski, starszy pan wskoczył na scenę, by ich uściskać. Następnie zwrócił się do publiczności.

-No cóż, moi państwo! Właśnie miałem zamiar oświadczyć, że rezygnuję, prosić was, byście poszli do domu, byście w ogóle zapomnieli o muzyce. Nigdy nie wysłuchałem tylu słabych utworów na raz. Na szczęście nasza młoda para wszystko uratowała. Przedstawili nam jasny, dowcipny tekst, wpadającą w ucho melodię, i ogólnie utwór, który spokojnie mógłby otwierać każdy show. Co się zaś tyczy reszty... Być może nie byli państwo odpowiednio dobrani. Dlatego zamierzam zlecić państwu wykonanie jeszcze jednego zadania. Daję wam na to trzy dni. Tym razem o doborze partnerów mogą państwo zdecydować sami. - Zwrócił się do Josha i Taryn: - Was to nie dotyczy. Zostaniecie razem. - Potem zwrócił się jeszcze raz do słuchaczy: - Chciałbym, by skomponowali państwo „piosenkę pierwszego spotkania” - to znaczy piosenkę ilustrującą scenę pierwszego spotkania młodego mężczyzny z młodą kobietą. Powinna w niej oczywiście pobrzmiwać romantyczna nuta, lecz nie może to być w żadnym wypadku piosenka miłosna. Najlepsze przykłady znajdziecie państwo w „Carousel” i w „Oklahomie!” Czy są jakieś pytania? Nie ma? Pozostawiam wobec tego państwa samych, byście mieli sposobność właściwego dobrania się w pary!

Mrugnął okiem w kierunku stojącej na scenie pary i wyszedł w sposób jeszcze bardziej udratyzowany niż zwykle.

Wśród zebranych wybuchła prawdziwa burza. Wszyscy zaczęli się wzajemnie wypytywać i umawiać. Josh i Taryn wymknęły się z sali. W hallu Josh roześmiał się.

A nie mówiłem? Teraz mi chyba ufasz?

Nie chodziło o zaufanie, Josh. Chodziło o mnie. Nie czułam się pewnie. Tak czy owak, ten sukces wymaga od-

powiedniej oprawy, a ja mam pewien pomysł. Urządzmy u mnie kolację i zaprosimy na nią Lehrmana, jeżeli naturalnie będzie miał czas. I Didi. Będzie dla niego doskonałą towarzyszką. Dziś jest poniedziałek. Nie sądzę, by grała gdzieś wieczorem. Co o tym sądzisz?

-Doskonały pomysł! Sama jednak musisz zapytać profesora o zgodę, ja mam umówione przesłuchanie. Pamiętasz chyba o tym? Muszę pędzić. Zadzwoń do ciebie później i uzgodnimy, co mam przynieść.

Pocałował ją szybko i pędem ruszył na dół po schodach.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął w jaskrawej plamie słonecznego światła zalewającego ulicę. Nie mogła w to wszystko uwierzyć: w entuzjazm słuchaczy, pochwałę profesora i w niecierpliwość, z jaką czekała na dalszą współpracę z Joshem. Kochany, wspaniały Josh!

Nagle, jak zbłąkana gąsienica, przeszedł po jej plecach dreszcz. Czy to ostrzeżenie, by nie czuła się zbyt szczęśliwa? Zły znak na przyszłość?

Otrząsnęła się i pomaszerowała do biura Lehrmana. Lekko zapukała do drzwi.

Stary profesor spojrzął na nią zza stosu wypracowań i uśmiechnął się.

-Ach, to ty, Taryn. Czy przyjmiesz jeszcze raz moje gratulacje? - Pchnął krzesło do tyłu i odłożył na bok swój czerwony długopis.

-Dziękuję, profesorze. Jest pan naprawdę bardzo uprzejmy.

-Uprzejmość nie ma tu nic do rzeczy. Cóż mógłbym dla ciebie zrobić?

-Josh... to znaczy pan Hammond i ja mamy zamiar zorganizować uroczystą kolację z okazji naszego sukcesu... sukcesu naszej piosenki. W związku z tym chciałam pana zapytać, czy znalazłby pan czas, by nam towarzyszyć?

-Oczywiście, moja droga. Wieczorem mam zwykle sporo czasu. Z największą przyjemnością przyjdę.

-Zapiszę tutaj mój adres - rzekła Taryn. - Czy jest coś, czego pan nie jada?

-Jadam absolutnie wszystko. O której godzinie mógłbym zaszczyścić państwa swoją obecnością?

-Czy ósma odpowiada panu?

-Oczywiście! Czy pracujecie z panem Hammondem jeszcze nad czymś?

-Próbowałam dopasować moje teksty do kilku melodii Joshua.

-Wysłuchałbym ich z ogromną przyjemnością. - Ujął Taryn za rękę. - Stworzyliście bardzo udany duet, moja droga. Weź sobie moje słowa do serca, nigdy się w tych sprawach nie mylę. Efekty pracy tych tumanów były oczywiście do przewidzenia. Ludzi utalentowanych jest z każdym rokiem mniej. No cóż, czego innego można się spodziewać? Oni wszyscy wychowali się na American Bandstand, a nie na najlepszych przedstawieniach Broadwayu. Piszcie wspólnie dalej. Gdy uda się wam skomponować coś podobnie dobrego, użyję moich wpływów, by wasze piosenki dotarły do ludzi, którzy coś znaczą.

Taryn nie wierzyła własnym uszom.

-Och, profesorze, to byłoby naprawdę cudownie!

-Biorąc pod uwagę fakt, że mam się zjawić na tej uroczystej kolacji, możesz mi mówić Alex.

-W porządku, Alex. A zatem, do zobaczenia wieczorem. Muszę zrobić zakupy i pomyśleć o czymś, co usatysfakcjonowałoby wasze żołądki.

-Moja droga, z twoich rąk przyjmę wszystko.

Usiadła przy stoliku ulicznej kawiarenki na Sheridan Square i popijając wolno mrożoną kawę cappucino, przyglądała się życiu miasta. Trójka francuskich marynarzy prze-

chadzała się opodal. Dostrzegli ją i zaczęli się poszturchiwać, pogwizdując głośno. Zajął się lekturą listy towarów, które chciała kupić, mając nadzieję, że sobie pójdą. Gdy uniosła głowę, już ich nie było, na ich miejscu pojawił się jednak stary żebrak. Miał na sobie zniszczone ubranie, na którym było jeszcze widać ślady minionej świetności. Jego spojrzenie skupiło się na Taryn. Szybkim krokiem podszedł do ligustrowego żywopłotu i stanął przy niej. Sięgnęła do torebki, znalazła pięciodolarowy banknot i wręczyła go mężczyźnie. Wziął go, podziękował jej uśmiechem, po czym pokuśtykał w dół ulicy.

To wydarzenie zastanowiło ją. Czy zachowałaby się tak kilka dni temu? Do tej pory żebracy byli dla niej odrażający i starała się ich w ogóle nie dostrzegać.

Otrząsnąwszy się z tych myśli, zerknęła na zegarek. Znowu spojrzała na ulicę. Tłum sunął nieprzerwanie. Turyści, kobiety z wypakowanymi torbami, młodzi mężczyźni w skórze - nie kończący się wielobarwny strumień ludzi. Didi jednak ciągle nie było. Po nieudanej wizycie w restauracji ze zdrową żywnością tym razem umówiły się w dobrze sobie znanym miejscu.

Zaczęła się już niepokoić, gdy wreszcie przy krawężniku zatrzymała się taksówka i Didi wysiadła z niej. Widać było, że dzięki surowej diecie zrzuciła kilka kilogramów. Jej włosy, poddane ostatnio trwałej ondulacji, otaczały głowę czarnymi kędziorami. Wyglądała teraz dużo lepiej. Podeszła szybkim krokiem i usiadła przy stoliku.

-Tak mi przykro, Taryn! Utknęłam po drodze w korku. Jak powiodła się prezentacja piosenki?

-Cudownie - rzekła Taryn, po czym pokrótce opisała reakcję słuchaczy i komentarze Lehrmana. - A propos, czy miałabyś dziś czas na proszoną kolację? Nie pracujesz w poniedziałki, prawda?

-W pewnym sensie tak, w pewnym sensie nie. A co, powiada się uroczystość z okazji sukcesu piosenki?

-Coś w tym stylu. Profesor Lehrman... Alex - też przyjdzie.

-Alex? Cóż, najwyższy czas trochę sobie pofolgować. Zjem całą masę czekolady. Kelner! Kawę mocną proszę!

-Dieta naprawdę ci służy, Didi. Wyglądasz wspaniale.

-Ty również. Czy ta kolacja ma na celu wyłącznie uczczenie udanej współpracy, czy może coś więcej? Mów, proszę cię, mów!

-Chyba boję się o tym mówić. Nie chciałabym zapeścić, rozumiesz.

Twarz Didi rozpromieniła się.

-Mam przez to rozumieć, że wasza współpraca objęła również inne, poza muzyką, dziedziny życia?

Taryn skinęła głową.

-No, nie musisz nic dodawać. Widzę przecież, jak wyglądasz. Josh od razu mi się spodobał.

-To ciekawe - zastanowiła się Taryn - ale mnie nie przypadł do gustu. Nigdy już nie będę nikogo oceniać na pierwszy rzut oka. Och, Didi, czy ty masz pojęcie, jak cudownie mi się z nim współpracuje? Ile on mi dodaje odwagi! Powinnam była zacząć życie na własną rękę zaraz po opuszczeniu Bennington. Niestety, skusiła mnie wygoda i bezpieczeństwo domu.

-To się zdarza - zauważyła Didi. - Zawsze jest trudno przeciąć pepowinę.

-Przyłączyłam się do tamtego towarzystwa z prawdziwym zapałem. Brałam udział w każdym bezsensownym spotkaniu.

-Miałś przynajmniej Wesleya. To ci trochę pomogło.

-Niezupełnie. Wesley pomógł mi tylko na jakiś czas odłożyć konfrontację z rzeczywistością. Wszystkie te lata upłynęły pod znakiem przyjęć. Byłam coraz starsza i wszystko, co robiłam, było pozbawione znaczenia.

-I dlatego przyjęłaś oświadczyzny Wesleya.

-Zrobiłam to z tchórzostwa. Po prostu uległam presji rodziny.

-Dałaś się zamknąć w złotej klatce.

-To prawda. Wyglądało na to, że nigdy nie zdołam się z niej wydostać. W dalszym ciągu nie wiem, jak do tego doszło, ale jakoś udało mi się zebrać dość odwagi, by wszystko odwołać. To było wybawienie. Wiedziałam, że w takich okolicznościach nie mogę dłużej pozostawać w domu.

-Potem wyjechałaś do Nowego Jorku i zapisałaś się do Julliard.

-Tak, i oto tu jestem.

-No i świetnie - podsumowała przyjaciółka. - To doskonałe miejsce. Wszystko jeszcze przed tobą, Taryn.

-Od niedawna wydaje mi się, że osiągnęłam już strasznie dużo.

Didi uśmiechnęła się ze zrozumieniem i spojrzała łąkomiem na tackę z ciastkami.

-Co przygotowujesz na kolację?

Taryn rzuciła okiem na trzymaną w ręku listę.

Pomyślałam, że pójde do Balducciego i kupię chleb i ser, a potem na Fulton Street po frutti di mare. Myślę, że zacznę od Coquilles Saint-Jacques a la Parisienne.

-A cóż to jest?

-Małże z grzybami w białym sosie winnym. Jako główne danie podam pieczoną rybę ze szpinakowym nadzieniem, a do tego sałatkę z endywii i ziemniaki z pietruszką. No i co ty na to?

-Palce lizać. A co na deser?

-Może czekolada. Mousse au chocolat.

-Mus czekoladowy? Taryn, jesteś po prostu wspaniała! Powiedz mi, jak ty się właściwie nauczyłaś gotować w tym twoim środowisku?

-Mówiłam ci już, że mieliśmy francuskiego kucharza. Gdy zaręczyłam się z Wesleyem, pomyślałam, że byłoby

dobrze umieć przyrządzić coś poza rozpuszczalną kawą. Marcel był bardzo cierpliwy. Powiedział, że mam naturalne zdolności do sztuki kulinarnej.

- Jeśli o mnie chodzi, to robię doskonale masło orzechowe i sandwicze ogórkowe - poinformowała Didi. - To są jednak granice moich umiejętności. Gdy wyjdę za mąż... będę zamawiać gotowe dania w restauracji!

Taryn poprosiła o rachunek. Następnie dziewczyny, szczęśliwe jak nastolatki, udały się po zakupy.

Rozdział VII

Taryn wróciła do domu po drugiej. Trzymając w zębach listy, zmagła się z zamkami i zasuwami. Weszła wreszcie do środka i natychmiast zaczęła rozpakowywać zakupy. Ceny różnych produktów ciągle stanowiły dla niej spore zaskoczenie. Mieszkając z rodzicami, nigdy ich nie dostrzegła.

Gdy rozpakowała już wszystko, a papierowe torby ułożyła starannie we wnęce między stołem a lodówką, zauważyła, że arkusz z piosenką, którą sama skomponowała, nie leży na zwykłym miejscu.

- Do licha! - mruknęła. - Co ja mogłam z nim zrobić? Może niechący wyrzuciła ją ze śmieciami? Jeszcze raz przeszukała wszystkie zakamarki, ale piosenki nigdzie nie znalazła.

- No cóż, muszę się z tym pogodzić - westchnęła. - Po prostu nie ma jej i już!

Z jednej strony utrata piosenki przyniosła jej ulgę. Oznaczała jakby ostateczne zerwanie z Wesleyem. Z drugiej jed-

nak strony ogarnął ją żal. To był naprawdę dobry tekst. Podeszła do biurka, chwyciła długopis, kartkę papieru i zaczęła pisać. Zaczęła od pierwszej linijki - „Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu” - potem zatrzymała się. Za nic nie mogła przypomnieć sobie drugiego wersu. Zmrużyła oczy w napięciu; oprócz przypadkowych skojarzeń nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Niewiarygodne! Zazwyczaj pamiętała doskonale wszystkie swoje teksty. Potrafiła nawet recytować wiersze, które napisała jako dziecko.

-Obawiam się, że nasz związek utknął w martwym punkcie, Wesley.

Rzuciła długopis. Może przypomni sobie później. Teraz ma na głowie dość innych rzeczy.

Poszła z powrotem do kuchni i zajęła się przygotowywaniem kolacji. Włożyła fartuszek i otworzyła książkę kucharską na stronie, gdzie podany był przepis na mus czekoladowy. Przygotowała wszystkie składniki i właśnie uniosła pierwsze jajko, by rozbić je o brzeg miseczki, gdy zadzwonił telefon.

-Halo...? Didi? Właśnie zaczynam robić mus czekoladowy!

-Już cieknie mi ślinka. Co byś powiedziała na to, byśmy włożyły dziś na siebie coś ekstra?

-Dlaczego nie? Ostatecznie to nie byle jaka okazja. Wiesz co, Didi? Przydarzyło mi się coś bardzo dziwnego. Pamiętasz, mówiłam ci o tej piosence, którą napisałam po zerwaniu z Wesleyem. Otóż wydaje mi się, że wyrzuciłam ją przypadkowo do śmieci.

-Przy - pad - ko - wo? - powtórzyła, przeciągając sylaby, Didi.

-Naprawdę! Muzyka nie była wiele warta, ale pomyślałam, że odtworzę przy najmniej tekst. Okazuje się jednak, że nic nie pamiętam.

-Myślę, że to ma swoją wymowę, moja droga.

-Może masz rację. No cóż, chyba wróćę do pianki, w przeciwnym razie będziesz musiała zadowolić się figami... przestań krzyczeć! Do zobaczenia o ósmej.

Uporała się z pianką, rozlała ją delikatnie do ozdobnych kryształowych pucharków i ustawiła je w lodówce. Jeszcze raz spróbowała przypomnieć sobie tekst piosenki - na próżno. Co dziwniejsze, nie potrafiła nawet odtworzyć sobie w myślach obrazu Wesleya. To, co widziała, było tylko nie mogącymi połączyć się w całość szczegółami: blond czupryna, błękitne oczy, przyklejony do ust grzeczny uśmiech, gładkie policzki, słaby zarost nastolatka. Ze zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami. Chyba kompletnie straciła rozum!

Znowu zadzwonił telefon.

-Nigdy tego nie skończę - mruknęła, marszcząc brwi. Irytacja ustąpiła, gdy z drugiej strony usłyszała głos Josha.

-Ach, to ty! Miałam nadzieję, że zadzwonisz. Jak poszło przesłuchanie?

-Mamy tę reklamę!

-Strasznie się cieszę... ale co to znaczy „mamy”?

-Zagrałem im nasz kawałek. Moja muzyka dość im się podobała, ale ostatecznie o wszystkim przesądził twój tekst. Co ty na to? Pomożesz mi to napisać? Zanim odpowiesz, pozwól, że przedstawię ci szczegóły. Chodzi o utwór dla sieci restauracji w New Jersey. Niezbyt wysokiej klasy, obawiam się. - Na chwilę zamilkł. - To ma być disco.

-Disco! Żartujesz chyba!

-Wiedziałem, że nie będziesz chciała mi pomóc.

-Ależ, Josh, oczywiście, że ci pomogę! Ile ci zapłacą?

-Równy pięćset dolarów.

-Za taką forszę mogę napisać nawet jakieś restauracyjne ple-ple. Jak się nazywa ta sieć?

-„Yummy Inn”.

-Straszna nazwa, Josh! To brzmi jak jakiś relikwiarz

sześćdziesiątych. Jak sklep z cukierkami albo coś takiego. Mam nadzieję, że nie podadzą do wiadomości naszych nazwisk?

-Nie bój się - uspokoił ją. - Reklamy są zawsze anonimowe.

-Nie martw się. Pomogę ci. Myślałam po prostu, że na początek zajmiemy się czymś... hm, z większą klasą. No cóż, pieniądz to pieniądz.

-A więc wieczorem zapowiada się podwójna uroczyść. Co przygotujesz?

-Frutti di mare.

-Przyniosę wino. - Zamilkł na chwilę. - Nie mogę się wprost doczekać.

-Ani ja... Do zobaczenia.

Odwiesiła słuchawkę i skrzywiła się. Yummy Inn! Disco! Co by na to powiedziała jej matka?

Włączyła radio i nastawiła stację nadającą muzykę disco. Przygotowując małże, zauważyła, że mimowolnie wybija nogą rytm. Od czasu do czasu przerywała pracę, by napisać coś w notesie. Nim potrawa była gotowa, zdążyła zapisać kilka stron. Potem zabrała się do przygotowania szpinakowego nadzienia do ryby, obrała ziemniaki i przygotowała sałatkę.

Przez następne czterdzieści pięć minut porządkowała mieszkanie. Uporawszy się z tym, uznała, że należy jej się chwila odpoczynku. Zrobiła sobie filiżankę herbaty i razem z notesem zaniosiła ją na biurko. Usiadła wygodnie i zajęła się przeglądaniem poczty.

Dwa z trzech listów nadeszły ze szkół, w których ubiegała się o posadę. Trzeci zaadresowany był niemal nieczytelnym pismem ojca. W rogu widniał jego adres: „Terrance Tremayne, Hotel Excelsior, Waszyngton”. Z niecierpliwością rozdarła kopertę. Na biurko wysunął się czek, wypisany

przez ojca na jej nazwisko. Suma nie została wpisana. Zabrała się do czytania listu.

„Najdroższa Taryn.

Jestem w Waszyngtonie. Nie odwiedzę cię - pomyślałem, że może czek ci to jakoś wynagrodzi. Proszę, przyjmij te pieniądze. Masz przecież wydatki - mieszkanie, kurs. Życie w Nowym Jorku jest o wiele kosztowniejsze niż w Hudson Valley.

Wiem, że masz swoją dumę, i sądzę, że wiem, skąd i po kim ją odziedziczyłaś, ale dumą nie napełnisz sobie lodówki ani szafy. Wobec tego umówmy się, że nie będziemy używać tego słowa, dobrze? Minie pewnie jeszcze trochę czasu, nim zaczniesz pisać przeboje, a Twoje pieniądze z depozytu babci nie starczą ci na długo. Dlatego wypisz sobie sumę, jaka jest Ci potrzebna, i użyj jej mądrze - albo nawet głupio! I tak będę cię kochał. Uważaj na siebie.

Tatus

P.S. Mama nie musi o tym wiedzieć."

Odwróciła czek i położyła go na stole.

- Nie mogę go przyjąć, tato - mruknęła. - Czy nie rozumiesz, że muszę być zdana na własne siły? - Wiedziała, że nie może go odesłać; poczulby się urażony. Nie mogła jednak zostawić czeku in blanco tak po prostu na stole. Przerdarła go na pół, a potem jeszcze raz na pół. Szybko zapoznała się z treścią pozostałych dwóch listów. Oba przyszły z prywatnych szkół, oba dziękowały za zainteresowanie i informowały, że na razie nie potrzebują nauczyciela muzyki. Gdyby jednak zechciała przyjść na rozmowę kwalifikacyjną...

Dopiła herbatę i zanotowała na kartce numery telefonów, by nie zapomnieć umówić się na wspomniane rozmowy. Martwiła się, że nadchodzi jesień, oszczędności topnieją,

a ona ciągle nie ma pracy. Odrzuciła szybko te nieprzyjemne myśli. Znajdzie coś. Musi coś znaleźć. Perspektywa zarobienia pięciuset dolarów za napisanie melodii do reklamy stała się nagle atrakcyjna.

Postawiła na stole naczynia, które kupowała okazyjnie, dbając, by były jak najtańsze. Obok siebie stanęły kieliszki do wina z bakaratowego kryształu, talerze z białej glinki, ciężkie ozdobne sztuce, otrzymane od babci, podkładki i serwetki w pepitkę. Przyniesiony przez Nadię wazon, ustawiony na środku stołu, uzupełniał wystrój. Taryn z uznaniem przyjrzała się zastawionemu stołowi. Powinna była kupić kwiaty. Świeże kwiaty były jednak zbyt drogie, postanowiła się więc bez nich obejść. Wyobraziła sobie, co powiedziałyby na to jej matka: „Nie sądzisz chyba, że uda ci się bezkarnie gościć profesora Lehrmana z tym przypadkowym zestawem naczyń na stole! W dodatku bez kwiatów! Taryn!”

Zadowolona z siebie i swych osiągnięć, mruknęła:

-Do licha, mamó! Odtąd będę robiła wszystko tak, jak ja to uznaję za właściwe.

Miała kłopoty. Zamek błyskawiczny w sukience znowu się zablokował. Przekrzywiając go na różne strony, wreszcie udało jej się go ruszyć i porządnie zapiąć. Potem zabrała się za swe kasztanowe włosy - energicznie je przeczesala i delikatnie ułożyła. Użyła większej ilości kosmetyków niż zazwyczaj; jej skóra lśniła teraz od jasnego pudru. Po użyciu niebieskiego i srebrnego cienia jej duże błękitne oczy robiły wrażenie jeszcze większych i błękitniejszych. Kości policzkowe podkreśliła karminowym różem, a usta z wprawą pomalowała lśniącą bursztynową szminką. Z wyjątkiem pary złotych kolczyków w kształcie półksiężyców nie nałożyła żadnej biżuterii. Zrobiła kilka kroków do tyłu i przyjrzała się sobie w lustrze.

-Wyglądasz znośnie - oświadczyła.

Sukienka miała już kilka lat. Uszyta była z metalicznego

szafonu o brązowym odcieniu; miała wysoki karczek, luźne rękawy i rozporek do połowy uda. Kupiła ją kiedyś, wybierając się z Wesleyem na jakiś bal dobroczynny, i od tamtego czasu nigdy jej nie włożyła.

Zapięła paseczki butów i wyprostowała się. Raz jeszcze przyjrzała się sobie z lustrze. Znow wyobraziła sobie, że matka stoi za nią, przygląda się jej i mówi: „Oryginalny Halston do kolacji w takiej norze! Trochę pretensjonalne, zgadzasz się chyba ze mną, Taryn?”

-Odejdź, mamó -szepnęła i obraz rodzicielki rozplynęła się w powietrzu.

Znalazła w radiu stację grającą muzykę pop, wypełniła wiaderko lodem i wniosła zakąski. Właśnie zapalała świeczki na stoliku, gdy zadzwieczał dzwonek. Otworzyła drzwi i stanęła twarzą w twarz z Joshem, który z miejsca zaczął się usprawiedliwiać.

Przepraszam, że się nie spóźniłem. Wiem, że w Nowym Jorku nigdy nie przychodzi się na czas, pomyślałem jednak, że może trzeba będzie pomóc ci przy zapinaniu zamka...

-Masz chyba telepatyczne zdolności! Rzeczywiście miałam z tym problemy, ale ostatecznie poradziłam sobie bez niczyjej pomocy.

Zrobił rozczarowaną minę.

-Przyniosłem dwie butelki francuskiego wina. Jest doskonałe z rybą. A to... - Podał jej bukiet zapakowany w zielony papier.

-Pomyślałeś o wszystkim! Właśnie zaczęłam żałować, że nie kupiłam kwiatów. - Rozdarła opakowanie. - Stokrotki! Cudownie!

Gdy wstawiała wino do lodówki, przyszła jej do głowy myśl, że Wesley kupiłby najprawdopodobniej inny bukiet - taki trochę na pokaz, kosztowny i nieco sztuczny, na przykład strelacje. Szybko włożyła stokrotki do wazonu, podzi-

wiając ich piękną prostotę. Ustawiając je na stole, zauważyła, że Josh oparł się o drzwi i ciekawie jej się przygląda.

Dlaczego nie siadasz?

Nie mogę sobie jakoś poradzić z twoją urodą. To bardzo piękna suknia. Jest nowa?

W jego błyszczących orzechowych oczach dostrzegła nieklamany podziw i jej serce zabiło z ożywieniem.

-Nie, mam ją już jakiś czas - odparła obojętnie. - Ty również wyglądasz świetnie.

Josh miał na sobie białą lnianą marynarkę, spodnie w paseczki i białą koszulę oraz doskonale dopasowany do spodni jedwabny krawat.

Miała zamiar poprawić ułożenie kwiatów, lecz chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Dotknęła napiętych mięśni jego ramion i poczuła przyjemny dreszcz podniecenia. Przytknęła usta do jego ucha i szepnęła:

-Dziękuję za kwiaty.

Rozchylonymi wargami musnął jej włosy, po czym zsunął się w dół, ku szyi. Westchnęła, gdy jego gorący oddech wkrađł się za kołnierz, a koniuszek języka zaczął lekko pieścić jej skórę. Oparła się na niego. Do jej świadomości docierał tylko dotyk jego dłoni, trzymających ją w talii. Jego ręka osunęła się na biodro - przyciągnął ją jeszcze silniej ku sobie. Pragnęła rozplynać się w jego ramionach.

-Wszystko wygląda tak doskonale... Mieszkanie, stół, ty sama... Czy ty też jesteś doskonała, Taryn? - wymruczał niskim głosem.

-Tak usiłowano mnie wychować, mam jednak nadzieję, że nie jestem - zdołała wykrztusić z siebie.

Jego dłonie i usta zburzyły jej spokój.

-Ciągłe szukam w tobie jakiejś skazy. Może dokładniejsze badanie pomoże mi coś znaleźć... - Dłonią ujął jej pierś. Zapragnęła, by dzielące ich ubrania zniknęły w jakiś cudowny sposób. Josh szarpnął zamek. Poczowała, że rozpina

sukienkę, obnażając jej plecy i ramiona, i nagle wróciła do rzeczywistości.

- Goście będą tu lada chwila - zaprotestowała bez przekonania.

- Czy uważasz, że już za późno, by wszystko odwołać?
- zapytała, obejmując przez stanik jej biust.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Niechętnie zaczął zapinać sukienkę. Zanim jednak to zrobił, pochylił głowę i złożył zmysłowy pocałunek w zagłębieniu między jej piersiami.

W miarę jak szeleszczący materiał odcinał ją od ciepła jego palców i warg, czuła coraz większe rozgoryczenie. Bezwiednie zacisnęła palce na jego karku.

Tym razem Josh, gwałtownie nabierając powietrza, odebrał je od swego ciała i przytrzymał na odległość wyciągniętej ręki. Obrócił ją, zapiął do końca zamek i poklepał po plecach przyjacielsko, gestem całkowicie pozbawionym erotyzmu.

- A więc twierdzisz, że nie jesteś doskonała. Cieszę się, że tak myślisz.

Wyraz jej twarzy uległ gwałtownej zmianie. Spojrzała na niego kpiąco. Josh uśmiechnął się i szepnął:

- Później dokończę. - Po czym udał, że chce rzucić się na nią.

- Josh!

- No cóż, gdybyś była naprawdę doskonała, nie potrafiłabyś napisać tekstu do tej głupiej reklamówki - dodał na pozór logicznie.

Zirytowała ją nagle jego zdolność szybkiego opanowywania się, choć wiedziała, że powinna raczej być mu za to wdzięczna. Postanowiła skierować rozmowę na temat ich wspólnej pracy.

- Całe popołudnie słuchałam muzyki disco - oświadczyła. - Jedyne pomysły, jaki przyszedł mi do głowy to: „Przyjdź ze swym brzuszkiem do Yummy Inn”.

-To rzeczywiście beznadziejne. Na pewno przypadnie im do gustu!

-Naprawdę tak uważasz?

-Naprawdę - odpowiedział, kładąc ręce na jej ramionach. Pocałował ją delikatnie i powściągliwie. Poczła się rozczarowana, jednak po chwili upomniała się w myśli za to uczucie.

-Może pozwolisz mi zostać na noc? Popracujemy nad tym razem.

W tej chwili rozległ się dzwonek.

-Może... - odrzekła, mając nadzieję, że jej głos zabrzmiał wystarczająco obojętnie, po czym poszła otworzyć drzwi.

Didi z profesorem przyszli dokładnie o tej samej porze, oboje z podarunkami.

-Poznaliśmy się w windzie - rzekła Didi, podając Taryn pudełko. - Sabra! - wyjaśniła. - Izraelski likier z pomarańczy.

Lehrman wręczył Taryn swoje pudełko.

-Franangelico - włoski likier z ziół, jagód i dzikich orzechów laskowych.

-Dziękuję wam bardzo! - ucieszyła się Taryn. - Zapowiada się naprawdę piękna uroczystość. Didi, bardzo ci do twarzy w szkarłacie. Wejdźcie, wejdźcie. Josh już przyszedł.

Gdy goście przywitali się już z Joshem, pokazała profesorowi poddasze, a następnie zajęła się sporządzeniem drinków. Lehrman wniósł toast, gdy tylko otrzymał swój kieliszek.

-Za naszych wspaniałych, utalentowanych gospodarzy! Niech wspólna praca wyniesie ich jak najszybciej na wyżyny powodzenia!

-Tak! Tak! Wypijmy za ich zdrowie! - zawołała Didi,

podnosząc swą wódkę z tonikiem. - Uwielbiam pić z każdej okazji - dodała rozpromieniona.

Profesor i Didi usiedli na sofie, Taryn zaś i Josh - na ławeczce przy fortepianie. Taryn przepięła do Josha, uśmiechając się i patrząc mu w oczy, a on przysunął się do niej. Miała wrażenie, że dotyk jego uda parzy ją przez sukienkę.

-Nasze zdrowie - szepnęła.

„Tak właśnie powinno wyglądać życie - pomyślała, gdy wszyscy rozgadali się już na dobre. - Wieczór spędzany w domu w gronie dobrych przyjaciół, z ukochanym przy boku". Nie przypominała sobie, by jakiegokolwiek przyjęcie sprawiło jej tyle przyjemności. Gośćmi w Hudson Valley byli zawsze ci, którzy „powinni” zostać zaproszeni - nigdy nie było niespodzianek. Przypatrując się swoim dzisiejszym gościom, pomyślała, że wzięwszy pod uwagę wszystkie przygotowania i wydatki, tamte spotkania były bardzo nudne. Tutaj nie było służących w uniformach, chodzących delikatnie po puszystych dywanach i rozdających kieliszki z szampanem (ona sama przygotowywała wówczas drinki); dźwięki wynajętej orkiestry nie przebijały się przez paplaninę gości - radio zupełnie wystarczało. Rozmowy nie koncentrowały się na giełdzie, hodowli koni czy jesiennych kotylionach. Prowadzili żywą wymianę zdań, płynącą z autentycznego zainteresowania codziennymi sprawami przyjaciół.

Powoli zdała sobie sprawę, że to Josh jest duszą towarzystwa. Jego ciepły, mocny głos roznosił się po poddaszu, pieszcząc jej ciało, napełniając jej duszę wdzięcznością. Przeszedł ją dreszcz. Siłą woli skoncentrowała się ponownie na teraźniejszości.

-Udało nam się dostać zlecenie na tę reklamę - mówił Josh - w większym stopniu dzięki talentowi Taryn aniżeli mojej muzyce - uśmiechnął się. - Byłem zdecydowanie nie w formie. Skwar zrobił swoje.

-Na pewno nie jest to nic ważnego, ale ostatecznie chodzi o pieniądze - dorzuciła Taryn.

-Jeśli o mnie chodzi, myślę, że to fantastyczna okazja - oświadczył Lehrman. - Nie ma znaczenia, czy jest to dyskotekowa kakofonia czy wysokiej jakości partytura. Chodzi o to, że macie pracę, piszecie muzykę i zrobiliście dobry początek. Między nami mówiąc, zawsze byłem zdania, że w reklamach można spotkać sporo dobrej muzyki i dowcipnych tekstów.

-Profesor ma rację - rzekła Didi. - Dobrze zrobiona reklama otworzy przed wami wiele drzwi. Jeszcze się przekonacie. Poza tym bardzo się cieszę, że robicie muzykę dla „Yummy Inn”; można powiedzieć, że dorastałam w jednej z ich restauracji. Moja matka nienawidziła gotować. Dawała nam pieniądze na posiłki i jadalśmy w „Yummy Inn” niemal codziennie. Miałam chyba piętnaście lat, gdy uświadomiłam sobie, że żywność nie rośnie w styropianowych pojemnikach.

Taryn przygotowała następną kolejkę drinków. Gdy usiadła, profesor mówił właśnie do Josha:

Didi nie słyszała jeszcze waszego rewiowego numeru. Może zaśpiewalibyście go dla nas? Z przyjemnością wysłuchałbym go raz jeszcze.

-Proszę, zaśpiewajcie go! - rzekła Didi błagalnym głosem, tak że nie mieli innego wyjścia, jak ulec jej prośbie. Gdy skończyli, profesor i Didi nagrodzili ich rześzystymi oklaskami.

-Powinniście napisać całe przedstawienie! - Didi była zachwycona. - Czy macie jeszcze coś w zanadrzu?

-Mamy parę piosenek - przyznał Josh z ociąganiem. - Taryn dołączyła swoje teksty do kilku moich utworów. Musimy jeszcze nad nimi popracować, myślę jednak, że moglibyśmy je wypróbować w waszej obecności, po kolacji.

W kuchni rozległ się dzwonek czasomierza. Taryn wstała.

-Służba informuje mnie, że pierwsze danie jest już gotowe.

Profesor Lehrman, używając chusteczki, wytarł ze swych warg resztki czekoladowej pianki.

-Sądzę, że był to najlepszy posiłek z kuchni francuskiej, jakim mnie kiedykolwiek poczęstowano - oświadczył. - Oczywiście biorę pod uwagę doświadczenia zebrane podczas pobytu we Francji.

-Z pewnością był smaczniejszy niż oferta „Yummy Inn”-dodała Didi.

Josh wskazał na gospodynię.

-Ta pani robi perfekcyjnie wszystko, za co się tylko zabierze!

Komplement profesora i Didi oraz niewinna aluzja Joshua sprawiły, że na jej twarz wystąpił rumieniec.

-Dziękuję wam wszystkim. Może byśmy przenieśli się do bawialni na drinka?

-Nie zapominaj, że obiecaliście nam mały koncert - rzekł Lehrman, odsuwając krzesło.

Taryn rozlała przyniesione przez gości likiery do przypominających kształtem krople deszczu kieliszków i zaniósła wszystko do pokoju. Didi przywołała ją do siebie i szepnęła:

-Zaraz znikamy. Obiecuję, że wyciągnę stąd profesora, gdy tylko będzie to możliwe.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

Didi wydeła policzki.

-Naprawdę się nie domyślasz? Wysyłacie oboje sygnały tak silne, że odbierają je chyba nawet na przylądku Canaveral.

Taryn zaśmiała się.

-Nie przesadzaj! Nie słyszeliście jeszcze przecież naszych nowych piosenek.

-Zostaniemy tylko po to, by ich wysłuchać. Potem uciekamy. Pozwolimy wam skomponować coś znaczniejszego.

Postawiwszy kieliszki z nie dokończonym likierem na stoliku, gdzie połyskiwały jak kolekcja cennych klejnotów, Josh i Taryn zaczęli grać piosenki, które powstały w wyniku ich kilkudniowej współpracy. Lehrman usiadł na skrajku sofy i słuchał uważnie; Didi, opierając brodę na dłoniach, siedziała na podnóżku przy fortepianie. Jej oczy błyszczały w półmroku.

Trzy piosenki mówiły o różnych stadiach miłości; o zauroczeniu, rozkwicie i o miłości, która przemija. Czwarty utwór, zatytułowany „Blues z windy”, opowiadał o parze młodych zainteresowanych sobą ludzi, którzy spotykają się tylko w windzie swego wieżowca. Są zbyt nieśmiali, by zacząć rozmowę, i w milczeniu rozmyślają jedno o drugim: „Jakie kolory on lubi?” „Czy ona hoduje kwiaty? A może ma psa lub kota?” I, w końcu: „Czy kiedyś będziemy razem? Czy będzie to możliwe?”

Ostatnia piosenka była żartem. Muzyka parodiowała piosenki z lat pięćdziesiątych, lecz temat był zdecydowanie współczesny. Zatytułowali ją „Junk Love”. Opowiadała o dwojgu ludziach, którzy poznali się w barze szybkiej obsługi i zapalali miłością nie tylko do siebie, lecz także do taniego barowego jedzenia.

-Czysty rock z lat pięćdziesiątych! - krzyknęła Didi, gdy skończyli występ. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć!

-Cudowna parodia - oświadczył profesor. - Nigdy nie mogłem się przekonać do tej muzyki, wy jednak oddalście jej sprawiedliwość. A teraz, moi drodzy uczniowie, słuchajcie, co wam powiem. Dajcie mi kopie tych utworów, a ja spróbuję się dowiedzieć, czy z odrobiną mego poparcia nie da się ich przedstawić w odpowiednich miejscach.

Zegar wybił jedenastą.

-Mój Boże, jedenasta! - zawołała Didi. - Rano muszę iść na przesłuchanie. - Ująwszy ramię profesora, dodała szybko:

-Nie chciałabym jechać taksówką sama. Czy zechciałbyś towarzyszyć mi w drodze do centrum?

-Do centrum? Jadę tylko do Waverly Place.

-Dobrze. Wobec tego wysadzę cię tam...

Posłała mu porozumiewawcze spojrzenie. Podziękowali wylewnie za wspólnie spędzony wieczór i nim minęło dziesięć minut, już ich nie było.

Taryn przygasiła światła i wróciła do pokoju. Josh stał przy oknie blisko fortepianu. Idąc ku niemu przez pokój, miała wrażenie, że jest cudownie lekka. Po raz pierwszy poczuła się w jego towarzystwie zupełnie spokojna. Wydawało jej się, że znowu jest nastolatką, wkraczającą w magiczny okres dorastania. Odkrywała samą siebie i odkrywała jego - swą pierwszą, ostatnią, jedyną miłość.

Był kimś nadzwyczajnym w porównaniu z tymi wszystkimi zblazowanymi, wiecznie znudzonymi ludźmi, którymi dotąd była otoczona. Czowała się jak motyl uwolniony z kokonu. To jemu zawdzięczała owo uczucie. W przeciwieństwie do innych mężczyzn nie próbował jej ograniczać. Przeciwnie, zachęcał ją do tego, by wzbijała się na wzburzające w niej dotąd przestrach wyżyny.

Podeszła do niego, stanęła za jego silnymi plecami i przytuliła do nich twarz.

-Uwielbiam ich, ale cieszę się, że w końcu jestem z tobą sam na sam.

Odwrócił się do niej.

-To brzmi jak zachęta, choć z twoich ust nigdy jej jeszcze nie słyszałem - stwierdził, obejmując ją mocno.

Przytuliła policzek do jego twarzy i zamrugała oczami, przy czym jej rzęsy otarły się o jego skórę.

-Hej, łaskoczesz mnie!

-To się nazywa pocałunek motyla - wyjaśniła. -

A przynajmniej tak się to nazywało, gdy byłam w szkole.

Ujął jej twarz w dłonie.

-Zaszliśmy już chyba nieco dalej - zamruczał.
Wpatrywała się w

nagie ciało. Słuchała jego przyspieszonego oddechu. Dłonie wsunęły się pod sukienkę, potem pod figi.

Pieścił jej aksamitne pośladki, a jego usta zsuwały się po jej plecach. Sukienka opadła na podłogę. Wargami muskał jej uda i wrażliwe miejsca na wysokości kolan.

Wzdychała z rozkoszy. Nigdy dotąd nie przeżyła niczego podobnego, nigdy nie doznała tak gwałtownego uczucia przyjemności, ogarniającego każdą cząsteczkę ciała. Nie była przygotowana na takie podrażnienie zmysłów.

Josh przyklęknął, otaczając ramionami jej obnażone nogi. Powoli odwrócił ją do siebie i musnął wargami ciemny trójkąt u szczytu ud. Taryn wyprężyła się i krzyknęła cicho.

Chwyliła go za włosy tak mocno, jakby to było koło ratunkowe. Poczwała, że obejmuje ją w talii i delikatnie przyciąga do siebie. Z twarzą przy twarzy spoczęli w morzu muzyki. Arkusze papieru nutowego szeleściły pod nimi jak suche jesienne liście. Wargami zaczął delikatnie skubać jej usta. Nabrzmiące piersi pragnęły dotyku jego dłoni. Jakby wyczuwając to pragnienie, zaczął łagodnie masować jej jędrne, białe ciało. Otwartą dłonią lekko pocierał sutki, aż rozkwitły namiętną czerwienią. Lewa dłoń zsunęła się z jej piersi i ruszyła w ostrożną wędrówkę po całym ciele.

Wilgotnymi, gorącymi wargami ujął jeden z jej nabrzmiiałych sutków. Nie mogła powstrzymać jęku. Jej ciało przeszedł gwałtowny dreszcz. Ręka Josha odnalazła dolinę pożądania, a dociekliwe palce poczęły delikatnie badać ukryte dotąd sekrety. W rozkoszy napięła mięśnie, przywierając do niego jeszcze mocniej. Początkowo pieścił ją delikatnie, potem coraz mocniej, coraz intensywniej. Świat zawirował jej w oczach - miała wrażenie, że odrywa się od ziemi i leci w przestrzeń.

Nie była zdolna do logicznego myślenia, jej zmysły podporządkowane były tylko jednemu - odczuwaniu rozkoszy. Dostała się we władanie jednego, absolutnego monarchy. To

on był tym monarchą, a jej pozostało tylko podporządkowanie się jego woli.

Gdy odzyskała świadomość, przytuliła się do niego i spojrzała mu w oczy. Były zamknięte; gęste, długie rzęsy rzucały cienie na twarz. Zaczęła go pieścić. Z jego ust dobyło się lekkie, ledwie słyszalne westchnienie. Nie mogła się opanować. Czuła rozkosz, uniesienie i długo oczekiwany smak spełnienia.

Oto mężczyzna, któremu może oddać się bez reszty. Wreszcie spotkała kogoś - komu może powierzyć wszystko - swój talent, uczucia i ciało. Jakże to się różniło od stosunku, jaki łączył ją z Wesleyem! W tej chwili spotkania z nim wydawały się jej jedynie żalonymi spektaklami, pełnymi udawanej miłości, wymuszonej czułości i pozorowanej namiętności. Nawet jeśli jej związek z Joshem nie potrwa długo - natychmiast odrzuciła tę możliwość - to doświadczyła przy nim takiej głębi uczuć, że nigdy nie będzie potrafiła powrócić do męczącej pozy, która niegdyś zdawała się jej sposobem na życie.

Rozdział VIII

Miasto zalała rekordowa fala upałów. Ludzie na ulicach poruszali się ociężale, na ich twarzach malowało się znużenie. Pełną parą pracowali jedynie technicy naprawiający urządzenia klimatyzacyjne. Ich furgonetki stały niemal na każdej przecznicy. Urządzenia poddawały się szybciej niż bohaterki mydlanych oper.

Taryn nalała sobie filiżankę kawy i usiadła przy stole naprzeciw Josha. Josh praktycznie wprowadził się do jej mie-

szkania na dobre; przyniósł ubrania na zmianę i przybory toaletowe. Razem chodzili na zajęcia, dzielili się codziennymi obowiązkami - zakupami, gotowaniem, sprzątaniem - i nieustannie pracowali nad nowymi piosenkami. Kochali się tak często - w każdym nadającym się do tego miejscu w mieszkaniu - że zorientowała się, iż jej życie stało się właściwie nieustannym wyczekiwaniem na seks. Tego ranka jednak Josh zachowywał się wyjątkowo powściągliwie. Spojrzał na nią i rzekł zniecierpliwionym głosem:

-Widzę, że nie zmieniaś zdania.

Potrząsnęła przecząco głową.

-Nie mogę odwołać tego spotkania. To jedyna szansa na otrzymanie stałej pracy, a to przesłuchanie...

W jego oczach błysnął gniew.

-Do licha, Taryn, wiesz dobrze, że powinnaś na nie pójść! „Village Club” to poważna instytucja, a nie jakaś podrzędna knajpa!

-Wiem, wiem - odparła, popijając kawę.

-Alex zadał sobie sporo trudu, by załatwić nam to przesłuchanie! Co sobie pomyśli, gdy tylko jedno z nas się tam zgłosi?

-Poradzisz sobie świetnie sam, Josh. Ostatecznie nie jesteś nowicjuszem. Występ przed przyjaciółmi czy znajomymi z kursu to jedno, a prawdziwe przesłuchanie to drugie. Moja obecność może tylko zaszkodzić, uwierz mi.

-To przedstawienie jest w sam raz dla nas! - Próbując rozładować napięcie, Josh poruszył brwiami niczym Groucho Mara. Któż mógłby się bardziej nadawać do napisania „The Sexes” niż my? Alex powiedział, że przedstawienie ma opowiadać o stosunkach międzyludzkich, a dokładniej o nowej roli mężczyzn i kobiet we współczesnym społeczeństwie. Czy to nie jest temat w sam raz dla nas?

Potrząsnęła głową. Wolałaby, żeby Josh w większym stopniu kierował się rozumem, by był mniej impulsywny.

-To ty jesteś ucieleśnieniem entuzjazmu, ty masz siłę przebicia. Ja byłabym tylko przeszkodą. Udało nam się dopracować kilka utworów i ty sam sprzedasz je najlepiej.

-Nie spodziewałem się usłyszeć tego od ciebie - warknął.

-Posłuchaj mnie. - Czują, że zaraz straci cierpliwość. - To tylko przesłuchanie, nic pewnego. Ja mam rozmowę w Hardwood School. To bardzo dobra prywatna szkoła i pensje są tam, nie muszę chyba dodawać, również bardzo dobre.

-Ty się po prostu boisz, że cię nie przyjmą - rzekł Josh bez ogródek.

-Nieprawda!

-Ależ tak. Taka kobieta, z twoim pochodzeniem i zdolnościami boi się, że jej nie przyjmą do „Village Club”! Trudno mi w to uwierzyć! - Podniósł się i nerwowo poprawił krawat. - Nie możemy w ten sposób zaczynać dnia. Nie walczyliśmy ze sobą. Obojgu nam potrzebne będzie szczęście.

Skinęła głową.

-Przykro mi, Josh. Naprawdę muszę dostać tę posesję - i to szybko. Nie chodzi już o to, czy wierzę w naszą współpracę - po prostu nie wierzę w cuda.

-A powinnaś - odparł łagodnie. - Czy to, że jesteśmy razem, to nie cud? - Pocałował ją delikatnie i ruszył w stronę drzwi.

-Powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze - powiedziała do jego pleców.

Zirytowana i zmartwiona wypila jeszcze jedną filiżankę kawy i zaczęła się ubierać. Włożyła sukienkę z różowej, przejrzystej niemal bawełny. Dla ochrony przed oślepiającym słońcem wzięła najciemniejsze słoneczne okulary i ogromny słomkowy kapelusz z zatkniętym dla ozdoby czerwonym jedwabnym makiem.

Autobus był zatłoczony, a klimatyzacja w nim nie dzia-

łała. Przez pomyłkę wysiadła na złym przystanku. Niespokojnie zerknęła na zegarek i ruszyła w kierunku Gramercy Park, gdzie znajdowała się szkoła. Poczucie winy z powodu Joshua, zatłoczony autobus, zły przystanek i paraliżujący skwar, lejący się z nieba, szybko zniszczyły jej dobry nastrój.

Dwadzieścia minut później do listy zmartwień mogła dodać jeszcze jedno. Rozmowa nie poszła jej tak dobrze, jak się spodziewała. Pani Webster, kobieta ze staropanięństwem wypisanym na twarzy, z miejsca poczuła do niej niechęć. Zupełnie nie zwracała uwagi na znakomite referencje. Stwierdziła, że uroda Taryn jest zbyt wyzywająca na to, by pracować w szkole, w której sześćdziesiąt procent uczniów stanowili dorastający chłopcy. Dała jej do zrozumienia, że odpowiedniejsza dla niej byłaby praca modelki czy też aktorki i pożegnała się chłodno. Co za bezczelność!

Szła Siódmą Aleją, a jej gniew rósł z każdym krokiem. „Jak ona śmie wydawać o mnie takie sądy! - pomyślała. - Zbyt wyzywająca, też coś! Gdybym to ja siedziała po drugiej stronie stolika, zaproponowałabym jej rolę megieiry w elżbietańskiej farsie!" Mimo upału zadrzała, przypominawszy sobie ponurą atmosferę budynku i odpychając dyrektorkę - wszystko to przypomniało jej nagle własną, odległą już przeszłość.

Po pewnym czasie gniew ustąpił miejsca zaniepokojeniu. Musiała wreszcie znaleźć jakąś pracę! Pod żadnym pozorem nie mogła zwrócić się o pomoc do rodziców. Do licha! Poradzi sobie sama, nawet gdyby miała zająć się pakowaniem hamburgerów w „Yummy Inn”!

Poszła w dół Siódmej Alei, w kierunku Greenwich Village. O drugiej miała się tu spotkać z Joshem w swojej ulubionej włoskiej restauracji. Ciekawa była, jak poszło mu przesłuchanie. Miała wyrzuty sumienia, że zostawiła go samego. Stała praca wydawała jej się rano czymś znacznie ważniejszym. Nie bardzo wierzyła w bajki o błyskawicz-

nym sukcesie w dziedzinie show-businessu. Owszem, miała nadzieję, że w końcu znajdą uznanie, lecz dopiero dzięki olbrzymim wysiłkom, włożonym w walkę z przeciwnościami.

Do „Angelo” dotarła przed czasem. Rozgoryczenie, niepokój i poczucie winy otaczały ją jak zapach tanich perfum. Wystrój restauracji był wesoły, choć pospolity. Na pokrytych sztukaterią ścianach wisiały plakaty z biur podróży, wychwalając zalety słonecznej Italii. Biało-czerwone obrusy w kratkę i służące jako świeczniki puste wiklinowe butelki po winie dopełniały wystroju. Mimo pospolitej atmosfery obsługa była miła, jedzenie doskonałe, a ceny umiarkowane.

Kelner rozpoznał ją i uśmiechnął się ciepło na powitanie. Ukłoniła się niezgrabnie i podeszła do stolika. Zamówiła kieliszek białego wina, ale nagle zmieniła zdanie.

-Nie, może nie wino. Poproszę o martini z lodem i z cytryną.

Czekając rozejrzała się po restauracji. Zajęte były tylko trzy z około dwudziestu stolików. Wraz z nadejściem fali upałów wiele restauracji zostało zamkniętych, inne zaś uskarżały się na brak klientów. Przypominało to atmosferę poobiedniego odpoczynku w krajach tropikalnych. Sierpień w Nowym Jorku był rzeczywiście całomiesięczną sjestą.

Kelner podał zamówione martini. Podniósłszy kieliszek, zauważyła, że drżą jej palce. Pociągnęła łyk. Lodowaty trunk był zaskakująco mocny. Zdążyła wypić go do połowy, gdy w drzwiach restauracji pojawił się Josh. Wydawało się, że szeroki uśmiech dzieli mu twarz na dwie części. Zdecydowanym krokiem podszedł do jej stolika, pocałował ją w czoło i usiadł. Na jego czole perliły się drobne kropelki potu. Nie próbował nawet ukryć niezwykłego podniecenia.

-Ledwie mogę mówić... poszło absolutnie wspaniale! Czekaj. Muszę zamówić szampana.

-Teraz piję martini, Josh.
Jego uśmiech nieznacznie osłabł.

-No dobrze - rzucił, po czym rzekł do kelnera: - Poproszę karafkę domowego wina. Czerwonego. - Odwrócił się do Taryn. - Jak poszła rozmowa?

-W porządku - odparła rozgoryczona.

Najwyraźniej nie zauważył sarkazmu, z jakim to powiedziała. Kelner przyniósł karafkę i nalał mu odrobinę wina do kieliszka.

-To jedyna znana mi restauracja, w której można dostać domowe wino. - Pociągnął mały łyk i skinął z aprobatą. Kelner dopełnił kieliszek. Josh uniósł go i trącił nim o kieliszek Taryn. Odrobina wina wylała się na serwetę. Przez myśl przemknęło jej wspomnienie. Kucharz, który niegdyś uczył ją gotować, był bardzo przesądny. Mawiał, że rozlane wino zawsze zwiastuje nieszczęście.

-Uważaj - mruknęła. - Spójrz, poplamieś serwetkę.

-A więc kupię nową. Kupię serwety do całej restauracji! Przesłuchanie poszło wspaniale! Mel Howard, właściciel klubu, stwierdził, że nasze piosenki są doskonałe. Doskonałe! Przez tyle lat ciągałem je ze sobą na przesłuchania! Teraz znalazłem wspaniałą współpracownicę i - bingo! Cudownie! Przyszedłem tam przed pierwszą. Howardowi odbijał się jeszcze lunch, jego twarz otaczała chmura dymu z cygara. Nie był zbyt przyjaźnie usposobiony. Pomyślałem, że kłapa. Wyglądał tak, jakby przesłuchiwał debutantów od dziewiątej rano. Za dnia jest tam dosyć ponuro. Krzesła wędrowane na stoły, sprzętaczki zamiatają, rozumiesz. Wdrapałem się więc na scenę i zasiadłem do fortepianu. Żadnego scenicznego oświetlenia, ot, zwyczajne przesłuchanie-jedna naga żarówka na widowni i jedna nad instrumentem. Scena była zakurzona, pusta i jakaś taka... zatrważająca bez ludzi - przerwał opowiadanie i posłał jej swój chłপিący uśmiech.

-Co dalej? - zapytała niecierpliwie.

-Cóż, domyślasz się pewnie, że nie czułem się zbyt swobodnie. Właśnie miałem zacząć, gdy krzyknął, że chce

świeżej kawy. Cierpliwie poczekałem, aż jedna ze sprzątających podała mu ją. Wtedy zacząłem nasz pierwszy kawałek - zaczął głośno śpiewać rozentuzjasmowany.

-Josh, ludzie patrzą! - upomniała go, zirytowana.

-Niech sobie patrzą! Będą mogli opowiadać swoim dzieciom, że kiedyś nas spotkali. Ale do rzeczy. Właśnie kończyłem pierwszą zwrotkę, gdy krzyknął, żebym przestał. Pomyślałem sobie, że to koniec, że strasznie mu to nie przypadło do gustu. Wstał, podszedł do sceny i rzekł przeprasającym tonem: „Przykro mi, panie Hammond, ale trudno mi się skupić”. - Pamiętał moje nazwisko! - „Proszę zacząć jeszcze raz, tym razem ze światłami”. - Usiadł i zgasił cygare. Gdy tylko jakiś facet włączył światła, różowe i bursztynowe, znowu zacząłem - tym razem z większym przekonaniem. Gdy skończyłem, zapytał, czy mam coś więcej. Do licha! Zaśpiewałem wszystko - wszystko! - jedno po drugim. Gdy skończyłem, wszedł na scenę, potrząsnął moją dłońią i zapytał, kto jest autorem tekstów. Był zaskoczony, że jesteś kobietą.

-Doprawdy? - ściągnęła wargi. - No i co się stało później?

-Powiedział, że skontaktuje się z nami.

Rzuciła mu wzgardliwe spojrzenie.

-To wszystko?

Wyglądał na zaskoczonego.

-Zadzwoni, jestem pewien, że zadzwoni! Twój numer też mu dałem - uśmiechnął się - spędzam przecież u ciebie większość czasu. - Dopił wino i zawołał kelnera.

-Nie chcę już martini, Josh - mruknęła.

-A na co miałabyś ochotę? - zapytał życzliwie.

Spojrzała mu w oczy.

-Nie mogę zrozumieć, skąd bierze się swój entuzjazm.

Dlaczego tyle gadasz na ten temat? Więc wysłuchał naszych utworów i powiedział, że zadzwoni. Co z tego? Zawsze

mówią to samo. Nie wiem, skąd tyle radości? Z powodu nic nie znaczącej obietnicy?

Kelner, który opacznie zrozumiał gesty Josha, przyniósł jeszcze jedną porcję martini. Josh poczekał, aż odejdzie, dopiero wtedy zaczął mówić.

-O co ci chodzi, Taryn? Zazwyczaj to ty jesteś pełna optymizmu. No, wypij drinka i zacznij myśleć konstruktywnie. On zadzwoni. Jestem tego pewien. - Uniósł w górę kieliszek. - Za nasz show! Mam nadzieję, że spodoba ci się moja niespodzianka.

Taryn rzuciła mu przenikliwe spojrzenie.

-Nasza nowa piosenka - wyjaśnił.

-Jaka nowa piosenka? - zapytała z ironią. - Czekaleś w nocy, aż zacznę recytować teksty przez sen?

Pociągnął łyk wina.

-Nie gniewaj się na mnie, Taryn - powiedział. - Pamiętasz naszą pierwszą wspólną kolację? Pamiętasz tamtą piosenkę, której nie chciałaś mi pokazać?

-„Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu!”

-Powiedziałaś, że muzyka, którą ułożyłaś, jest bardzo kiepska. Pamiętasz, zabrałaś mi kartkę i zaniosałaś do kuchni. A więc powiem ci, że tytuł bardzo mi się spodobał. Następnego ranka, gdy poszedłem dolać sobie kawy, dostrzegłem ją zatknietą między stół a lodówkę, tam gdzie trzymasz papierowe torby, no i - wruszył ramionami - wziąłem ją stamtąd.

Taryn wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

-Zabrałaś moją piosenkę?!

-Pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę. Zmieniłem odrobinę tekst, dodałem nową melodię no i, tak myślę, jest to mój najlepszy utwór.

-To był bardzo osobisty utwór, Josh. Bardzo intymny. Dotyczył mnie i bliskiej mi osoby.

-Powiedziałaś mi przecież, że nikogo nie masz-odparł niepewnym głosem.

-Teraz nie, ale kiedyś... - Z trudem hamowała gniew. - O mały włos nie wyszłam za niego za męża.

Spuścił głowę i zatopił spojrzenie w pustym kieliszku.

-Rozumiem.

-Nic nie rozumiesz! - zaprzeczyła z pasją. Nie mogła opanować przytłaczającego ją poczucia frustracji. - Nic cię to nie obchodzi! Zachowałeś się jak mały złodziejasek! Wszedłeś tam, gdzie cię nikt nie potrzebował, czy tego nie widzisz?

-Kto to jest? - zapytał spokojnie.

-Ktoś, z kim przyjaźnię się od dziecka - odparła. - Nie to jest jednak najważniejsze. Nie miałeś prawa zabierać mojej własności! Nie mieszkamy razem, ale nawet gdyby tak było, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by szperać w twoich szufladach. Moja matka mimo wszystko miała rację. Nie da się ukryć swego pochodzenia.

-Nie przypisuj mi jakiegś wątpliwej pozycji społecznej, Taryn! Nie zaglądałem do twoich szuflad. Mówisz tak, jakbym popełnił jakąś zbrodnię. Ta cholerna piosenka leżała na wierzchu, wciśnięta między stare papierowe torby! Myślałem, że mój pomysł spodoba ci się, że będzie to dla ciebie miła niespodzianka. Naprawdę przykro mi, jeśli cierpisz z mego powodu. Nie miałem nic złego na myśli. Do diabła! Dlaczego ty ciągle usiłujesz dać mi do zrozumienia, że jestem jakimś wykolejonym prostakiem? Jesteś zawsze taka dystygowana, tak łatwo przychodzi ci sądzić ludzi - na jakiej podstawie? Rodzina, pieniądze, kosztowna edukacja, beztroski styl życia -myślisz, że to cię do tego upoważnia?! Posłuchaj no, moja księżniczko z Hudson Valley. Twoje pochodzenie nie daje ci żadnych nadzwyczajnych praw! Mój talent i gust są warte tyle co twoje - a może nawet więcej, bo ciężko pracowałem, żeby do czegoś dojść. Zstąp już z tego piedestału; musisz czuć się tam bardzo samotna. Twoje

kaprysy są trudne do zniesienia! Najpierw akceptujesz mnie, potem odrzucasz. Do licha! Nie chcę twojej akceptacji, chcę twojej miłości! - W geście rozpaczy przeczesał palcami włosy. - Ta piosenka zdobyła uznanie Mela Howarda. Wiem o tym. Gdy wszedł na scenę, jego twarz błyszczała jak bożonarodzeniowe drzewko. Rozumiesz? - Spojrzał na nią pytająco. - Nawet mnie nie słuchasz! - poskarżył się. Oczy Taryn zapłonęły gniewem.

-Tego już za wiele, Josh - rzekła, odsuwając krzesło od stołu. — Naprawdę za wiele. Zagrałeś moją piosenkę nieznamemu?

-Naszą piosenkę - poprawił ją szorstko. - Jeśli jednak sprawia ci to taką przykrość... proszę, oto twoja piosenka - otworzył teczkę i podał jej obie wersje utworu. - Myślę jednak, że przesadzasz.

-Czyżby? - odparła chłodno. Wepchnęła obie kartki do torebki i wstała. - No cóż, to tylko twoje zdanie. - Rzuciła pieniądze na stół i wybiegła z restauracji. Za rogiem mruknęła: - Do diabła z tym oszczędzaniem. Taksówka!

Rozdział IX

Przerwa w zajęciach była jej wyraźnie nie na rękę. Rozglądała się po mieszkaniu w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby jej zapomnieć o Joshu. Zaczęła ustawiać książki na półkach, szeregować je stosownie do rozmiarów i tematu, ale szybko dała temu spokój.

- Kogo ja chcę oszukać? Ciągle o nim myślę, ciągle! - mówiła sama do siebie.

Każdą cząstką ciała pragnęła dotyku jego dłoni, brzmie-

nia jego głosu. Brak jej było nawet kłótni z nim. Nie, nie kłótni! To były raczej dyskusje, przynajmniej tak wolała myśleć. Wiedziała, że wtedy, w restauracji, posunęła się za daleko. Ta uwaga o pochodzeniu, cała ta niedorzeczna paplanina o tym, co wolno, a czego nie! Jego intencje były dobre, to oczywiste. Zawsze tak było. Zawsze starał się być miły i taktowny.

Tak bardzo pragnęła jego dotyku, że sama objęła się ramionami. To nie było to samo. Ujęła dłońmi piersi. To nie to!

Zadzwoił telefon.

„Josh” - pomyślała z nadzieją i pobiegła do biurka.

-Halo - rzekła zdyszana. - A, to ty, Nadiu.

-Jesteś rozczarowana, kochanie? Oczekujesz kogoś?

-Nie, po prostu brak mi tchu. Właśnie sprzątałam. Co u ciebie słychać?

-Wszystko dobrze. A u ciebie?

-Wporządku. Czy nadal... hm, czy nadal spotykasz się z Wesleyem?

-Mam nadgodziny. Nie mam czasu. A co z tobą i Joshem?

-Świetnie - skłamała. - Praca idzie nam po prostu bajecznie. Dwa dni temu mieliśmy przesłuchanie w „Village Club”. Chodzi o rewię muzyczną. Nasze piosenki zrobiły ogromne wrażenie na właścicielu, Melu Howardzie.

-Wrażenie jest bardzo ważne, kochanie, ale czy podpisaliście kontrakt?

-Jeszcze nie, mam jednak nadzieję, że wszystko się ułoży. Spektakl nosi tytuł „The Sexes” i ma opowiadać o stosunkach, jakie panują obecnie między mężczyznami i kobietami.

-O ironio! - skomentowała Nadia z wyraźnym sarkazmem w głosie.

Tak, to naprawdę zabawne - przyznała Taryn z wymu-

szonym rozbawieniem. - Przepraszam cię, ale muszę już kończyć. Właśnie przygotowuję posiłek.

-Kiedy się spotkamy, kochanie?

-Niech tylko przejdzie ta fala upałów. Umówimy się na lunch. Trzymaj się i pozdrów ode mnie Wesleya. Do zobaczenia.

Odwiesiła słuchawkę i poczuła się jeszcze bardziej osamotniona i przygnębiona. Może powinna pojechać na kilka dni do domu, przeczekać upały? Z tęsknotą pomyślała o basenie, klubie, o przyjęciach, kieliszkach wychylanych na werandzie z Tomem Collinsem. Wyjazd oznaczałby jednak przyznanie się do porażki. Musiała pozostać w mieście i stawić czoło swoim problemom. Będzie musiała zaliczyć jeszcze kilka rozmów kwalifikacyjnych, może podejmie pracę nad nową reklamówką. Potem znowu zajęcia, a poza tym... musi zostać, bo może zadzwoni Josh. Zaczęła przechadzać się po poddaszu, zaciskając i rozluźniając pięści. Nagle zatrzymała się przed lustrem i rzuciła sobie nienawistne spojrzenie. Była spięta, nie wyglądała zbyt dobrze. Poczowała, że musi wyjść bez względu na upał panujący na zewnątrz.

Pospiesznie naciągnęła szorty w kolorze khaki i lekką pomarańczową bluzkę, na głowę nałożyła baseballową czapkę. Nagle przypomniała sobie słowa Josha: „Gdy komponuję, zawsze wkładam czapkę. W ten sposób nie wyrwam sobie włosów z głowy, gdy wpadnę we frustrację”. Frustracja!

Wychodząc włączyła automatyczną sekretarkę. W ten sposób, jeśli ktoś zadzwoni - chodziło oczywiście o Josha - ona dowie się o tym.

Na zewnątrz było jak w saunie. Chodniki były wyludnione, a pojazdy poruszały się wolniej niż zwykle. Jakiś samochód z przegrzanym silnikiem utknął na środku drogi. Taryn szła w cieniu budynków. Skręciła i minęła klub, w któ-

rym tańczyła z Joshem. Na drzwiach wisiała tabliczka: „Zamknięte na czas upałów”.

-Nic dziwnego - mruknęła do siebie.

Godzinę później wracała już z zakupami do domu. Szukając w torebce klucza, usłyszała telefon. Ledwie zdążyła otworzyć drzwi i podnieść słuchawkę. Za chwilę włączyła-by się automatyczna sekretarka.

-Słucham? - rzekła bez tchu.

Gdy rozmówca przedstawił się, torba z zakupami wypadła jej z rąk na podłogę.

-Mel Howard? -wykrztusiła. - Nie, pana Hammonda niestety nie ma. Nazywam się Taryn Tremayne, współpracuję z nim.

-Wobec tego powiem to pani, panno Tremayne. Doszedłem do wniosku, że powinniście państwo napisać dla mnie tę rewiew. Czy moglibyście przyjść tutaj jutro o pierwszej? I jeszcze jedno, proszę przyprowadzić swego agenta.

Taryn nie wierzyła własnym uszom.

-Przyjdziemy, panie Howard. Dziękuję, dziękuję bardzo!

Właściciel klubu odłożył słuchawkę, a ona dalej kurczowo ścisnęła swoją w dłoni. Oparła się ciężko o ścianę.

-Nie do wiary - szepnęła. - Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają!

Ciągle na pół przytomna podniosła z podłogi torebkę i zakupy. Nagle uświadomiła sobie, że Josh o niczym nie wie. Będzie musiała jakoś się z nim skontaktować! Podbiegła do telefonu i wykręciła jego numer. Czekala nerwowo, bębniąc palcami po biurku. Telefon zadzwonił dziesięć razy, nim zrezygnowana odłożyła słuchawkę!

Gdzie on jest? Powiedział przecież, że będzie czekał na telefon od Mela Howarda! Dlaczego nie ma go w domu? Odnalazła numer Lehrmana i wykręciła go. Profesor odezwał się niemal natychmiast.

-Halo, Alex? Tu Taryn. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Nie wiesz, co się dzieje z Joshem?

-Nie, moja droga. Czy stało się coś złego?

-Wręcz przeciwnie, stało się coś cudownego! Zadzwo nił właśnie twój przyjaciel, Mel Howard, i zgadnij, czego się dowiedziałam?

Profesor roześmiał się.

-Pewnie chce, byście napisali dla niego rewię?

-Właśnie! Czy to nie wspaniale? Mamy się z nim spotkać jutro o pierwszej w jego klubie. Chce, żebyśmy przyszli z agentem. Obawiam się tylko, że Josh go nie ma.

-Może ja mógłbym zostać waszym agentem, Taryn? Znam się na podpisywaniu kontraktów, a poza tym, chętnie spotkałbym się z Melem.

-Jesteś naprawdę cudowny. Bądź w klubie Howarda jutro o pierwszej. Postaram się jakoś dotrzeć do Josha. Bardzo ci dziękuję. Do widzenia!

Odłożywszy słuchawkę, postanowiła zadzwonić do rodziców i kilku przyjaciół, by podzielić się z nimi radosną nowiną, ale szybko zmieniła zdanie. A jeśli nic z tego nie wyjdzie? Lepiej będzie poczekać na podpisanie kontraktu. Za wszelką cenę chciała uniknąć złościwości matki, których musiałaby wysłuchać, gdyby porozumienie nie zostało sfinalizowane. Wykręciła numer Josha. Nikt się nie zgłaszał. Zirytowana rzuciła słuchawkę.

Resztę popołudnia i wieczór spędziła w zawieszeniu. Z jednej strony była zaniepokojona tym, że nie może skontaktować się z Joshem, z drugiej - ciągle nie mogła uwierzyć, że Howard rzeczywiście chce ich zaangażować. Około dziewiątej trzydzieści przyszło jej do głowy, że Josh celowo nie odbiera telefonu, ponieważ nie chce z nią rozmawiać. Postanowiła pójść do niego, tłumacząc sobie, że jeśli tego nie zrobi, Josh nie dowie się o jutrzejszym spotkaniu.

Dochodziło wpół do jedenastej, gdy dotarła wreszcie na Trzynastą Ulicę. Przyglądając się ponuremu budynkowi z żółtej cegły, uświadomiła sobie nagle, że w ciągu tych kilku tygodni ich znajomości nigdy nie była u niego w mieszkaniu. Otworzyła drzwi i stojąc w niewielkim przedsionku, spojrzała na listę nazwisk. No dobrze, ale co dalej? Obawiała się, że jeśli zadzwoni, Josh może jej nie wpuścić.

Uratowało ją dwoje młodych ludzi, którzy właśnie nadeszli. Było widać na pierwszy rzut oka, że są w sobie do szaleństwa zakochani. Uśmiechnęli się do niej, a młody człowiek otworzył wewnętrzne drzwi i szannanckim gestem przepuścił ją przed sobą.

„Pewnie mieszkają razem” - pomyślała z czymś w rodzaju zazdrości.

Podziękowała mu i weszła do hallu, urządzonego w stylu art deco. Ozdoby były jednak tanie, a wystrój pozbawiony smaku. Ściany, sufit i drewniane elementy ozdobne pomalowane były na jaskrawożółty kolor. Winda była niska i ciasna - doskonale miejsce do rozbudzenia klaustrofobii. Nacisnęła przycisk i pojechała wolno w górę. Myśl b rychłym spotkaniu z Joshem wprawiła ją w zdenerwowanie. Po tym, co zaszło między nimi w restauracji, może ją wyrzucić mimo dobrych wiadomości, jakie miała dla niego. Była tak spięta, że nie mogła powstrzymać okrzyku, gdy winda stanęła i drzwi otworzyły się z jękiem.

Wystrój korytarza różnił się od tandetnych ozdób z parteru. Ściany miały czekoladowy kolor, wisały na nich plakaty teatralne w miedzianopodobnych oprawach. Na piętrze znajdowały się tylko dwa mieszkania - drzwi do obu były otwarte. Taryn podeszła do tych, które znajdowały się bliżej. Zajrzała do środka i jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Jednopokojowe mieszkanie mogło być ilustracją do jakiejś apokaliptycznej wizji.

Duży stół, stojący pośrodku pokoju, zarzucony był brudnymi naczyniami, puszkami, pojemnikami, ubraniami i po-

zóbkłymi gazetami. Między tym wszystkim stał biały plastikowy głośnik. Początkowo wydawało jej się, że głośnik oblepiony jest owadami. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że to, co widzi, jest kolekcją sztucznych rzeź, przyklepionych do ścianek urządzenia. Zlew i stół stojący w małej kuchni zawalone były brudnymi garnkami, patelniami, starymi tygodnikami i pustymi butelkami. Wśród całego tego rozgardiaszu siedział brązowy kot i spoglądał na nią znudzonym wzrokiem. Stojący w pokoju pod ścianą niechlujnie pościelony tapczan uginał się pod ciężarem rozrzuconych ubrań. Wiele elementów garderoby wisiało na bezładnie pobijanych w pomarszczone ściany gwoździach. Zdjęcia gwiazd rocka wypełniały niemal całą wolną przestrzeń na ścianach, kilka wisiało nawet nad oknami.

Radio umieszczone było w przedziwnej pozycji, na skraj płaskiej skrzyni podróżnej, której najwyraźniej używano jako stolika do kawy i podręcznej półki. Drugi głośnik stał na lodówce, owinięty kablem. Drzwi lodówki były otwarte, a na jej półkach znajdowały się... płyty!

„Mam taką przyjaciółkę... w swojej lodówce trzyma płyty”.

Taryn westchnęła z ulgą - i ze smutkiem. To nie było mieszkanie Josha. Spojrzała w kierunku drugich otwartych drzwi, znajdujących się w odległym końcu korytarza. Niestety, pomieszczenie nie było oświetlone i nic nie mogła w nim dostrzec. Wróciła do pierwszego mieszkania. Z łazienki tanecznym krokiem wychodziła właśnie młoda kobieta, ubrana w czarny biustonosz i skąpe majteczki oraz buty na bardzo wysokim obcasie. Grzywę blond włosów podtrzymywały słuchawki walkmana. Jej ładna twarz była przesadnie umalowana; wystające kości policzkowe podkreślał intensywny róż, a pełne wargi błyszczały niczym jaszkrawy neon. Taryn raz jeszcze spojrzała w kierunku drugiego mieszkania i zdała sobie sprawę, że kobietę tę muszą łączyć z Joshem dość zażyłe kontakty.

Nieznajoma żywo poruszała się po pokoju, podnosząc

różne części garderoby, przyglądając się im uważnie, odrzucając je i przechodząc do innych. Po dłuższej chwili dostrzegła stojącą w drzwiach Taryn i uśmiechnęła się do niej.

-Cześć! - Jej niski głos przypominał zmysłowy szept Marilyn Monroe. Wydobyła spod poduszki kolorową sukienkę i przytrzymała ją przed sobą, przyglądając się jej krytycznie.

-Co o tym myślisz? Czy to się nadaje do „Mudd Club”?

Taryn odpowiedziała, że nie wie, co to jest „Mudd Club”.

-Co?! - krzyknęła dziewczyna. Zdała sobie sprawę, że ma na uszach słuchawki i zdjęła je pospiesznie. - Przepraszam. Czasem o tym zapominam.

-Szukam Josha, Josha Hammonda.

-A, Josha! - odparła dziewczyna. - Mieszka na końcu korytarza.

Taryn zmusiła się do uśmiechu.

-Drzwi są otwarte, ale nie wygląda na to, by ktoś był w środku. - Jeszcze raz przyjrzała się mieszkaniu dziewczyny, jakby oczekiwała, że Josh w cudowny sposób wynurzy się z jakiegoś zakamarka.

-To prawda. Obiecałam mu, że będę odbierać telefony. Jestem jego... jak by to powiedzieć... automatyczną sekretarką, rozumiesz...

-Cały dzień usiłowałam się dodzwonić... - rzekła Taryn zdumiona.

Dziewczyna skrzywiła się i zaskoczona rozejrzała się po pokoju.

-Tak mi przykro! Zapomniałam przynieść jego aparat. Ma jedenastometrowy kabel, miałam go trzymać u siebie.

-Czy on wróci dzisiaj?

-Nie, kima dziś w klubie.

-Przepraszam?

-Chodzi o ten upał. Josh nie znosi go tak dobrze jak ja,

dlatego noce spędza na kanapie w gabinecie swojego szefa. Tam jest klimatyzacja, rozumiesz.

Taryn zastanowiła się, jak ta dziewczyna może żyć w nieznalnym zaduchu, panującym w jej mieszkaniu - okna były zamknięte, nigdzie nie było wentylatora.

-Ty jesteś Taryn, prawda? Tak, to ty, jestem pewna. Josh ciągle o tobie mówi. Opisał cię całkiem dokładnie.

Taryn skinęła głową.

-A ty jesteś...?

-Happy.

Na twarzy Taryn pojawiło się zdziwienie.

-Tak mi na imię - Happy. Nie sądzę, by Josh mówił ci coś o mnie. Nie miał zresztą powodu. Może zostawisz wiadomość? Chodźmy do jego mieszkania, na pewno znajdzie się tam jakaś kartka papieru.

Taryn ruszyła za dziewczyną, przyglądając się jej kształtnym, falującym zmysłowo biodrom. Przez moment zastanawiała się, czy Happy i Josh kiedykolwiek spali ze sobą, a jeśli tak, to co ona teraz czuje. Zazdrość? Niechęć? Czy nie wyczuła wyniosłości w jej zachowaniu?

Dziewczyna nieświadomie nawiązała do jej myśli.

-Nigdy ze sobą nie chodziliśmy, wiesz? Jesteśmy po prostu dobrymi sąsiadami. - Włączyła światło i zaczęła rozplątywać telefoniczny kabel.

Spodziewając się najgorszego, Taryn była mile zaskoczona - kawalerka Joshua wyglądała całkiem atrakcyjnie. Ściany i sufit były jasnobeżowe, na podłodze leżał czekoladowy dywanik. Mebli nie było zbyt wiele - sofa obita brązową skórą, dębowy stół z okrągłym blatem, dwa krzesła i, oczywiście, fortepian. Obok instrumentu stał stojak z kolekcją kapeluszy. Wśród nich Taryn rozpoznała swój podarek - wzięła go do ręki i przycisnęła do piersi.

-Miło tu, prawda? - rzekła Happy. -Josh zawsze czepia

się mojego mieszkania, ale ja nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić. Nie nadają się do prowadzenia domu.

Taryn nie odpowiedziała. Przeszła na drugą stronę pokoju i usiadła na sofie. Poczwała nagle, że łyzy napływają jej do oczu.

-Możesz iść do niego - zaproponowała Happy. - Nie jest jeszcze tak późno. Pewnie pije piwo i brzdąka na fortepianie.

Taryn wstała i odłożyła kapelusz.

-Dziękuję, chyba rzeczywiście tak zrobię.

Wyszła na korytarz i przywołała windę. Zanim weszła, Happy wystawiła głowę zza swych drzwi i krzyknęła:

-To superfacet, nie?!

Stała na Dziesiątej Ulicy, przed „Little Club”, zastanawiając się, czy zejść po schodach i zadzwonić. Wszystkie światła były wygaszone z wyjątkiem żaróweczki, oświetlającej fotografię Josha. Na zdjęciu przyklejono karteczkę: „Wesołych wakacji. Do zobaczenia po Labor Day”.

Lubiła tę fotografię. Przypominała jej dzień ich pierwszego spotkania. Wtedy wydawało się to takie niezwykle - Josh we fraku! Zaskoczona stwierdziła, że do oczu napływają jej łyzy. Przetarła je i zeszła po schodkach.

Ze środka dochodziła cicha muzyka -jakaś rockowa melodia o bluesowym zabarwieniu. Słuchała uważnie, rozpoznając w niej znajome akordy. Uświadomiła sobie, że jest to przerobiona melodia do jej piosenki „Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu”. Przycisnęła twarz do grubej szyby i wyteżywszy wzrok, dostrzegła niewyraźną sylwetkę Josha. Pochylony nad klawiaturą fortepianu wydał jej się samotny i smutny. A może przypisywała mu po prostu swoje własne uczucia?

Przycisnęła dzwonek. Josh wstał i ruszył w jej kierunku. Przymknęła powieki i przygryzła dolną wargę, próbując za-

panować nad sobą. Wyrzał przez zakratowane okienko. Gdy ją rozpoznał, ciekawość widoczna na jego twarzy ustąpiła miejsca radości. Natychmiast otworzył drzwi.

-Taryn! - zawołał. - Co tu robisz, tak daleko od swego piedestału?

Jego ton pozostał życzliwy, lecz Taryn zrobiło się wstyd - miał rację, naśmiewając się z niej.

-Powiedzmy, że przyciągnęła mnie tu muzyka - próbowała zażartować. Czuła jednak, że w jej głosie wyczuwalne jest napięcie.

-Słyszałaś, jak grałem?

-Tak. To bardzo piękne.

-To nowa muzyka do „Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu” - powiedział z wahaniem.

-Wiem. - Bezwiednie wyciągnęła rękę w jego kierunku, lecz cofnęła ją natychmiast. - Myślałam, że oddałeś mi obie kopie...

Uśmiechnął się i podrapał w policzek.

-Znam ją na pamięć.

-Mogę wejść? - zapytała, przypomniawszy sobie nagle, po co właściwie przyszła.

-Oczywiście - odsunął się na bok. - Dobrze trafiłaś. Dziś serwujemy martini.

-Otwórz lepiej butelkę szampana - rzekła z ożywieniem.

Spojrzał na nią pytająco.

-Mam dobre nowiny.

-To się da zrobić. Przejdź tędy - poprowadził ją przez ciemną salę aż do baru.

-Masz francuski szampan? - zapytała i natychmiast ugryzła się w język.

-Myślisz, że mógłbym podać jakiś inny? - zapytał z sarkazmem. Podszedł do lodówki i wyjął butelkę mrozonego moeta.

Taryn sięgnęła po dwa kieliszki i przetarła je ściereczką. Korek wystrzelił, trafiając w sufit.

-Dziś ja wnoszę toast. Za nasze przedstawienie!

Trącili się kieliszkami.

-Co się stało? Po co ten szampan? - zapytał niecierpliwie.

-Dzwonił Mel Howard - powiedziała. - Nie mogłem cię złapać, więc skontaktowałem się z mną. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale bezskutecznie. Posłałem więc do twojego mieszkania. Okazało się, że Happy zapomniała przenieść telefon do swojego pokoju. To ona powiedziała mi, że tu jesteś.

-Czego chciał Howard? - przerwał jej Josh, z trudem powstrzymując niecierpliwość.

-Josh, on chce, żebyśmy napisali dla niego tę rewię! Machnął ręką.

-Nie mówisz tego poważnie!

-Przysięgam ci! Mamy się z nim spotkać jutro o pierwszej w „Village Club”.

-Jutro — powtórzył cicho.

-Tak. A propos, masz agenta?

Potrząsnął przecząco głową.

-Nic nie szkodzi! Alex obiecał przyjść i pomóc nam wszystko załatwić. Czy to nie cudowne?

-Tak, to cudowne - potwierdził.

-O co chodzi, Josh? Myślałam, że będziesz skakał z radości. Nie cieszy cię to?

-Ależ tak, cieszę się. Oznacza to jednak, że będziemy pracowali razem.

-Zgadza się-odparła zdziwiona.

-Taryn, ja... - Obliznął spieczoną wargę, po czym pociągnął łyk szampana. - Myślę, że musimy zawrzeć pewną umowę.

Spojrzała na niego pytająco.

-Nasza współpraca przyniosła piękne rezultaty, ale nasze stosunki nie były takie, jak być powinny.

Chciała zaprotestować, lecz Josh uniósł rękę, powstrzymując ją.

-Wydaje mi się, że nic tu się nie da zrobić. Cały czas sugerujesz, że nie jestem wart tyle, co ty. Dla ciebie jest to być może prawda. Z drugiej strony, nie możemy jednak pozwolić na to, by stracić taką okazję. Jeśli mamy się spotykać, to powinniśmy ograniczyć się do spraw czysto zawodowych.

-Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała po chwili.

-Nie potrafię znosić tego spokojnie. Nie pozwolę, byś traktowała mnie jak jakiegoś natrętnego insekta. Zaledwie mnie tolerujesz!

-Tak mi przykro, Josh! Nie chcę...

-Tak naprawdę to ty nie wiesz, czego chcesz, Taryn. A ja nie mogę odbijać się od ciebie jak piłeczka, czekając bez końca, aż się tego dowiesz. Udało nam się stworzyć udany zespół - ja piszę muzykę, ty teksty. Powinniśmy zadbać o to, by wszystko nie wzięło w łeb. Oboje w wystarczającym stopniu pragniemy sukcesu, by nie mieszać w to spraw osobistych.

Odsunęła się o krok, jakby wymierzył jej policzek. Czowała, że blednie. Tego się nie spodziewała. Była świadoma, że ciągle musi walczyć z widmami przeszłości, nigdy jednak nie zdawała sobie sprawy z tego, jak silny mogą mieć one wpływ na Josha.

-A jeśli ja się na taki układ nie zgodzę? - zapytała, czując, że głos jej drży.

Postawił swój kieliszek na stole.

-W takim razie nie dojdzie do współpracy.

-To szantaż! - krzyknęła zrozpaczona.

-Najpierw nazywasz mnie złodziejem, teraz oskarżasz

mnie o szantaż. Czy chcesz jeszcze coś dodać? - zapytał rozgoryczony.

Przycisnęła rękę do ust.

-Przepraszam, naprawdę nie chciałam...

-Co za przekłety zbieg okoliczności! Musimy współpracować, czy nam się to podoba czy nie!

-Oczywiście - odparła, zaciskając zęby. - Nie mamy wyboru.

-Musimy całkowicie poświęcić się przedstawieniu - ciągnął Josh chłodno. - Na nic więcej nie ma tu miejsca.

Zdołała się jakoś opanować. Nalała szampana.

-A więc - za „nic więcej”.

Zdezorientowany spojrział na nią. Stuknęli się kieliszkami.

Rozdział X

Tej nocy poddasze wydawało się jej szczególnie smutne. Nie mogła zasnąć; leżała nieruchomo, wpatrując się w sufit. Bez Josha łóżko było ogromne i puste. Męczyła się już od kilku godzin. Prześcieradła, pościerte i wilgotne, oblepiały ją niczym całun. Odrzuciła je, usiadła na skraju łóżka i przeczesła dłonią włosy.

-Rano będę wyglądała jak nieszczęście - mruknęła zirytowana.

Wstała z łóżka i boso podeszła do fortepianu. Blask księżycy rozjaśniał klawiaturę, padał na arkusz opracowany przez Josha. Usiadła na ławeczce i zaczęła grać. Muzyka owładnęła nią zupełnie. Gorące łzy napłynęły jej do oczu i spłynęły po policzkach.

-Och, Josh, dlaczego nie można mieć wszystkiego naraz?

Wczesnym popołudniem była już na Blecker Street, zmierzając w kierunku „Village Club”. Miała na sobie białą jedwabną sukienkę, na głowę włożyła duży słomkowy kapelusz.

To był ważny dzień. Zdawała sobie sprawę, że nie może pozwolić na to, by uczucie, jakie żywiła wobec Josha, wpłynęło na jej zachowanie. Sprawy zawodowe były najważniejsze. „Na pewno uda mi się go jakoś odzyskać” - pomyślała, a potem uśmiechnęła się, uświadomiwszy sobie, że Scarlet CHara była w podobnej sytuacji.

Przystanąwszy na chwilę pod makiętą „Village Club”, zmrugała oczy i próbowała wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała premiera ich przedstawienia. Słyszała niemal komentarze widzów: „Naprawdę udane przedstawienie”. „Świetna muzyka”. „Doskonałe teksty! Najlepsze od czasów Gershwina i Portera!”

Dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach. Otworzyła oczy. W dwu okazałych przeszklonych tablicach widniały zawiadomienia: „Na rozpoczęcie jesiennego sezonu - nowa rewia »The Sexes«.”

Zaczęła się modlić bezgłośnie. Wiszący na ścianie arkusz informował: „Tędy na spotkanie dotyczące »The Sexes«.” Zdobyła się na uśmiech, przewyciężając ogarniające ją zaniepokojenie. Wyglądało na to, że było to naprawdę odpowiednie miejsce na rozpoczęcie kariery.

Wnętrze klubu wyglądało dokładnie tak, jak opisał je Josh. Krzesła ustawione były na stołach do góry nogami, scenę rozjaśniała pojedyncza żarówka. Wyglądało na to, że nikogo tu nie ma.

-Halo?! - zawołała.

-Jeśli szuka pani Mela Howarda, to jestem tutaj - usłyszała ochryply głos.

Jedne z majaczących w półmroku drzwi otworzyły się

i na progu stanął niski, krępy, krótko ostrzyżony mężczyzna o twarzy przywodzącej na myśl sowę. Na nosie miał okulary w grubej oprawie, w rękę trzymał tackę. Włączył światła i przez chwilę przypatrywał się dziewczynie.

Boję się, że dziś nie będziemy nikogo angażować, moja pani - oznajmił szorstkim głosem. - Jeśliby jednak zechciała pani zostawić swoje zdjęcie i papiery, to z przyjemnością pokażę je reżyserowi „The Sexes”, jak tylko się tu pojawi.

-Myślałam, że jestem zaangażowana - odparła. - Jako autorka tekstów.

Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

-Pani współpracuje z Joshem?

-Tak. Nazywam się Taryn Tremayne.

-Przepraszam, panno Tremayne. Proszę wejść, proszę wejść! Właśnie miałem zamiar przygotować sobie filiżankę kawy. Czy zechciałaby pani również napić się czegoś?

-Bardzo chętnie wypiłabym kawę, panie Howard.

-No cóż - rzekł, cofając się do kuchni i przygotowując kawę - gdybym wiedział, jak pani wygląda, nie zastanawiałbym się tak długo nad podjęciem decyzji. Mogłem się oczywiście spodziewać, że taki facet jak Josh nie przypro-wadzi mi tu byle kogo. O ile się nie mylę, łączy państwa coś więcej niż tylko zawodowa współpraca?

Nie wiedząc, co powiedzieć, uśmiechnęła się chłodno.

-No cóż, to bardzo dobrze - kontynuował. - Będzie to można wykorzystać w kontaktach z prasą. Rzucą się na to jak głodne psy. Przekona się pani.

Pijąc wolno swoją kawę, przyglądała się Howardowi. Czy ten człowiek może wywrzeć decydujący Wpływ na jej przyszłość? Zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni z branży są tacy otyli. Mimo szorstkiego głosu miał w sobie coś ujmującego, jakieś trudne do określenia ciepło.

-A więc, co o tym myślisz, Taryn? Nie masz nic prze-

ciwko temu, bym zwracał się do ciebie po imieniu? Możesz oczywiście mówić do mnie Mel. Czy można liczyć na to, że przygotujecie przedstawienie do połowy października?

-Mam nadzieję, panie Howard... Mel. Damy z siebie wszystko.

-To świetnie. To właśnie chciałem usłyszeć.

Przy drzwiach rozległ się jakiś szmer. W progu pojawili się Alex i Josh. Mel podniósł się gwałtownie z krzesła i z uśmiechem ruszył w ich stronę. Uścisnęli się z Lehrmanem, a później odstepili o krok i zaczęli się sobie bacznie przyglądać, szukając oznak starości.

-Przytyłeś trochę, Mel.

-Masz więcej zmarszczek, Alex.

Wybuchnęli śmiechem i jeszcze raz uścisnęli się.

-A więc, co myślisz o moich uczniach-gwiazdorch? - zapytał Lehrman.

-To najlepszy tandem od czasów Kandra i Ebba!

-Występuję tu jako ich agent - mam zadbać o to, byś ich nie skrzywdził. - Spojrzał na parę, przysłuchującą się im uważnie. - Nie będzie z tym problemu, moi drodzy. Mimo gangsterskiego wyglądu Mel jest najprawdopodobniej jedynym naprawdę uczciwym człowiekiem z branży w tym mieście.

Obaj mężczyźni przyjrzeni się ciekawie Taryn i Joshowi. Najwyraźniej oczekiwali, że przywitają się ze sobą równie serdecznie, jak oni sami. Taryn, domyśliwszy się o co chodzi, nie chcąc budzić niepotrzebnych podejrzeń, wstała, podeszła do swego partnera i pocałowała go w policzek, a Josh odwzajemnił jej się tym samym. Mimo woli zastanowiła się, czy postąpił tak wyłącznie ze względu na obecność Lehrmana i Howarda.

Mel przyrządził dzbanek świeżej kawy i przez następne pół godziny cała czwórka uzgadniała szczegóły kontraktu, którego wstępny szkic został już przygotowany przez pra-

wnika. Po kilku wzajemnych ustępstwach z satysfakcją podpisano gotowy dokument. Alex wyrzekł się przysługującej mu, jako agentowi, dziesięcioprocentowej prowizji.

-Jeśli przedstawienie odniesie finansowy sukces, przyznam, że nie widzę powodu, dla którego miałyby być inaczej, możecie przekazać coś w formie darowizny na rzecz Amerykańskich Pracowni Muzycznych. W ten sposób przyczynicie się, być może, do rozkwitu innych talentów.

Mel wstał i uniósłszy cygaro niczym batutę, oświadczył z namaszczeniem:

-Mam dla państwa niespodziankę. Za piętnaście minut będziecie mieli okazję poznać reżysera.

-Już kogoś zaangażowałaś? - zdziwił się Lehmann.

-Przedstawił mi pewne konkretne propozycje. Koszty przedstawienia będą nieco wyższe niż zwykle, byłbym jednak durniem, gdybym odmówił Danowi Danserowi.

Pozostała trójka spojrzała na siebie zdumiona.

Dan Danser w ciągu niespełna pięciu lat stał się na Broadwayu czymś w rodzaju legendy. Jako chłopiec rozpoczął karierę w chórze, stopniowo awansując do rangi pomocnika choreografa, a następnie reżysera. Trzy z jego przedstawień nadal nie schodziły ze scen - dwa na Broadwayu i jedno na scenach „off-Broadway”. Spektakle, które wyreżyserował, przynosiły mu wiele pochwał, pozycję artystyczną, pieniądze i wiele cennych nagród. Fakt, że zamierzał wyreżyserować rewię w nocnym klubie, był co najmniej zdumiewający - otworem stała przed nim niemal każda wielka scena.

Mel podniósł rękę na znak, że chciałby coś dodać.

-Spróbuję wam to wyjaśnić. Dan nie chce rozgłaszać faktu, że zajmie się tym przedstawieniem. Sądzi, że mogłoby to wywołać niepotrzebne naciski z wielu stron, a zwłaszcza ze strony ludzi zajmujących się teatrem profesjonalnie. Powrót do nocnego klubu jest jego suwerenną decyzją. Ostatecznie jego kariera zaczęła się od wystawionej tu przed laty

rewii „Take Out”. Było to dziesięć lat temu. Dlaczego jednak próbuje zabrać się za coś takiego, wiedząc, że na Broadwayu czekają go znacznie większe pieniądze? Tego mogą się tylko domyślać. To naprawdę miły facet, żywi ogromną sympatię do kabaretu, kameralnych przedstawień, poza tym lubi promować wschodzące gwiazdy. Zaznaczył, że autorzy rewii powinni być debiutantami. Tego samego oczekuje po obsadzie - chce w niej widzieć wyłącznie nowe twarze. W ten sposób pragnie pomóc innym wejść na ścieżkę, którą sam kroczy już od dawna.

Wyjaśnienia Howarda zrobiły na Taryn duże wrażenie.

-To musi być wspaniały człowiek!

-Sam nie omieszka ci o tym powiedzieć - stwierdził złośliwie Mel.

-Musiał jednak zaakceptować naszą pracę - zauważył Josh.

Howard skinął głową.

-W jaki sposób mógł to zrobić?

-Cóż, był tutaj. Siedział w ciemności. Twierdził, że rozpoznaną nie wpływałyby korzystnie na wykonawców.

-Jak w powieści detektywistycznej - skomentował cierpko Josh.

-Uważam, że to bardzo rozsądne - zauważyła Taryn.

Wymienili wrogie spojrzenia, ale w tym właśnie momencie w klubie pojawił się Dan Danser. Był niezwykle szczupły i wysoki. Uczył z pewnością około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu. Mimo że miał już swoje lata, wyglądał wręcz młodzieńczo - na jego twarzy próżno byłoby szukać zmarszczek. Miał duże usta, na których gościł szeroki i przyjazny uśmiech. Ubrany był w obcisły ciemnozielony pulower i luźną białą koszulę. Taryn dopatrzyła się na jego szyi aż sześciu złotych łańcuszków. Miała trudności z policzeniem pierścionków, ponieważ wykazywał skłonność do żywej gestykulacji.

-Cześć! - pozdrowił ich wesoło. - Przyszedłem kilka minut przed czasem. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Mogę poczekać w hallu, jeśli jest jeszcze coś, co chcielibyście przedyskutować beze mnie.

-Żarty na bok! - odpowiedział Howard, po czym dokonał prezentacji.

Reżyser usiadł z nimi przy stole.

-To dla mnie ogromny zaszczyt znaleźć się w takim towarzystwie - stwierdził. - Od lat podziwiam twoje prace, Alex. A wy - zwrócił się do Taryn i Josha - macie szansę zająć we współczesnym teatrze muzycznym zupełnie wyjątkową pozycję. Mam nadzieję, że to przedstawienie stanie się dla was odskocznią ku czemuś naprawdę ambitnemu. Podobają mi się wszystkie wasze piosenki, ale najbardziej przypadła mi do gustu „Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu”. Świetnie pasuje do koncepcji przedstawienia.

Mel wstał.

-Zostawmy ich, Alex, niech dyskutują o swoim dziele w spokoju. A ty chodź ze mną do biura. Trzymam w szufladzie pięćdziesięcioletnią flaszkę brandy. Wypijemy za stare, dobre czasy i może również za to, co się dzieje teraz.

Gdy wyszli, Danser pochylił się nad stołem.

-A więc do rzeczy. Chcę wam powiedzieć, że wasze piosenki są wprost niewiarygodne! Czegoś takiego szukałem od dawna. Kilka z nich widziałbym na przedstawieniu w ich obecnej formie, kilka innych będzie pasowało po dokonaniu kilku zmian w tekście. Może zacznę od tego, że pokażę wam dokumentację przedstawienia.

Wyjął notatnik, zawierający projekt scenografii i kostiumów. Na pierwszej ilustracji widniało ogromne łóżce.

-Ta scena przedstawiać będzie dziesięciu wykonawców, leżących w jednym łóżku - wyjaśnił.

Taryn przybrała zaniepokojony wyraz twarzy, pospieszył więc z wyjaśnieniem.

-Nie, nie, to nie ma nic wspólnego z seksem! Ci ludzie znajdują się wprawdzie w jednym miejscu, ale nic ich faktycznie nie łączy.

-Chodzi ci o to, że nawiązali kontakt fizyczny, a mimo to są sobie zupełnie obcy? - sugerował Josh.

Taryn odwróciła się do niego, sądząc, że mówi o nich.

-Tak, dokładnie o to mi chodzi. Starajcie się o tym nie zapominać.

Resztę popołudnia spędzili przysłuchując się uwagom Dana, jedynie od czasu do czasu dorzucając swoje spostrzeżenia. Po kilku godzinach doszli do porozumienia niemal we wszystkim.

Następne dni upłynęły im na wspólnej pracy w klubie. Obojętność Josha nie dawała Taryn spokoju, zdecydowana była jednak zaakceptować narzucone przez niego reguły gry i nie wpadać w rolę „zepsutej księżniczki z Hudson Valley”.

Nie wiedziała, czy okazać radość czy rozczarowanie, gdy Dan oznajmił, że wyjeżdża na trzy tygodnie na Zachodnie Wybrzeże, by zająć się przygotowaniem przedstawienia „Head over Heeles”. Zrozumiała jednak, że między nią a Joshem nie będzie już pośrednika łączącego spięcia. Od tej chwili będą zdani wyłącznie sami na siebie.

-Nie oznacza to dla was przerwy w pracy - rzekł Dan. - Oczekuję, że nadal będziecie tworzyć w pocie czoła. - Mówiąc to, rozejrzał się wokół. - Muszę przyznać, że pomieszczenie nie należy do szczególnie inspirujących. Chwilę! Mam pewien pomysł! Może pojechalibyście do mnie, na Fire Island i tam zabrali się do pracy? Fala upałów jeszcze nie minęła, a miejsce doskonale nadaje się zarówno do pracy, jak i do rozrywki.

Oboje zerwali się, by zaprotestować, lecz Dan kontynuował, nie zwracając na nich uwagi.

-Nie chcę słyszeć żadnych protestów. Musicie tam je-

chać, to wszystko. Zaręczam wam, że atmosfera mojego domu pomoże wam w pracy. Napisałem tam moje najlepsze kawałki. Poza tym, ktoś powinien z niego wreszcie skorzystać. Na kupno posesji wydałem niemal wszystko, co zarobiłem na „Tenderfoot”, a w tym roku byłem w niej tylko raz. Jeśli wszystko będzie szło tak, jak teraz, to wątpię, czy będę miał szansę udać się tam przed rozpoczęciem jesiennej sezonu. - Wyjął z kieszeni pęk kluczy i rzucił go Joshowi. - No, dalej, bawcie się dobrze. Dom jest świetnie wyposażony - nie będziecie musieli się o nic martwić.

-Czy jest w nim fortepian? - zapytał Josh.

-Oczywiście! Jeśli będziecie skrupowani własnym towarzystwem, to jest tam również sześć sypialni. Możecie sobie wybrać, którą chcecie, albo wypróbować wszystkie po kolei. Wierście mi, będziecie tam mieli wszystko, czego dusza zapagnie. Kawałek plaży należy do mnie, zamrażarka pełna jest jedzenia, a barek załadowany różnym trunkami. Tylko wybierać!

-Myślę, że to naprawdę cudowny pomysł - odezwała się Taryn. - Musimy się zdecydować, Josh. Jeśli chodzi o mnie, te nowojorskie upały dają mi się już we znaki. Myślę, że tobie też. Skorzystajmy z uprzejmości Dana.

-W porządku - odrzekł niechętnie. - Praca jednak pozostaje na pierwszym miejscu.

-Oczywiście - zgodziła się z lekką ironią. - Praca jest najważniejsza.

Następnego ranka wypożyczyli samochód i pojechali do Sayville. Tam wsiedli na prom płynący na Fire Island. W środku tygodnia prom był praktycznie pusty, usiedli więc z dala od siebie. Otoczeni walizkami i torbami pełnymi zakupów, starali się ignorować swoją obecność.

Taryn przechyliła się nad burtą i rozkoszowała chłodną atlantycką bryzą, która delikatnie muskała jej twarz. Od czasu do czasu spoglądała na przybliżającą się plażę - marzenie znękanym wielkomiejskim upałem nowojorczyków.

Zastanawiała się, czy czas spędzony w odosobnieniu korzystnie wpłynie na ich współpracę. W mieście wszystko układało się bez większych problemów, rzadko jednak pracowała bez Dana. Jak potoczą się wypadki, gdy zostaną sami, gdy staną przed koniecznością nie tylko napisania trzech czwartych przedstawienia, lecz również ułożenia między sobą w miarę przyjaznych stosunków? Obiecała sobie, że uczucie, jakie żywi do Josha, nie stanie na przeszkodzie ich wspólnej pracy. Taka okazja może się już nie powtórzyć. Nie wolno było im jej zmarnować. Poza tym kontrakt został już podpisany; pochwaliła się nim przed rodziną i przyjaciółmi.

Tak czy owak, udowodnili z Joshem, że przebywając ze sobą, potrafią ograniczyć się tylko do spraw zawodowych. Może Josh miał rację? Może tak właśnie było najlepiej? Mimo wszystko bardziej potrzebowała zawodowego sukcesu niż kochanka. W wieku dwudziestu sześciu lat z pewnym opóźnieniem rozpoczynała wymarzoną karierę. W teatrze było wielu znacznie młodszych od niej ludzi, czekających na swoją szansę. Miłość-czy cokolwiek by to było -będzie musiała poczekać.

Zerknęła ukradkiem na swego towarzysza, zawzięcie zapisującego coś w notatniku. Pewnie przyszła mu do głowy jakaś nowa chwytliwa melodia. Nie mogła przestać podziwiać jego talentu i, musiała to przyznać, również jego urody. Patrząc, jak pracuje ze słońcem igrającym w kasztanowych włosach, zateęskniła za dotykiem jego silnych dłoni. Szybko jednak stłumiła to uczucie.

Prom dotarł wreszcie do przystani. Wyjęła z kieszeni kartkę i jeszcze raz przeczytała wskazówkę napisaną im przez Dana: „Poproście jednego z płaczących się tam urwisów, za parę dolarów weźmie bagaż i zaprowadzi was do domu”.

Na przystani był tylko jeden chłopiec, może dwunastoletni. Miał jasne włosy i piegowatą twarz.

-Dokąd państwo sobie życzą? - zapytał ochryplym głosem.

-Tenderfoot - odparła.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

-To wyniesie dolara i trzydzieści pięć centów.

-W porządku.

-Nazywam się Ben Coffey. Państwo jesteście nowożeńcami?

Zaprzeczyli pospiesznie. Pstryknął palcami i splunął.

-Rzadko się myślę. Dałbym głowę, że przyjechaliście tu spędzić miodowy miesiąc. Cóż, zaoszczędzicie pięćdziesiąt centów za specjalną dekorację. - Gestem wskazał kolorowe wstążki, wystające z wiszącej przy wózku torby.

-Myślisz, że uda ci się upchnąć to wszystko na tym wózku? - zapytał niepewnie Josh.

-Oczywiście! Jestem najlepszym bagażowym na wyspie!

Zręcznie ułożył bagaż i spiął go płóciennymi pasami. Potem poprowadził ich drewnianym pomostem, zbudowanym ponad piaszczystymi wydiami. Co jakiś czas mijali pięknie opalonych plażowiczów, którzy przyglądali im się i uśmiechali się wyrozumiale. Po piętnastu minutach marszu skręcili w lewo i tam, w gęstwinie sosen, odnaleźli wejście do posiadłości Dana.

-Jesteśmy na miejscu - stwierdził Ben, nie ukrywając podziwu.

Josh otworzył pomalowaną na czarno cedrową bramę.

-Możesz tu wszystko rozładować - powiedział do niego.

-Nie ma mowy! - sprzeciwił się chłopak. - Nigdy nie widziałem, jak to wygląda wewnątrz. Coś wam powiem. Zniżę cenę do dolara, jeśli pozwolicie mi zajrzeć do środka.

Taryn wybuchnęła śmiechem.

-Czemu nie? My też jesteśmy tu pierwszy raz. Sekwojowy pomost przecinał japoński ogród. Po obu je-

go stronach, wśród fantazyjnie ułożonych skał, rosły karłowate sosny. Kilka metrów dalej pomost przechodził w mostek rozpięty ponad pełnym lilii stawem.

-Cudownie! - krzyknęła Taryn. -Jak w bajce!

Ogromny, zaopatrzony w baterie słoneczne dom wyglądał niezwykle okazale. Frontowe drzwi prowadziły do dwupoziomowego hallu, przechodzącego w bawialnię. Przeszklona ściana i zamontowane w dachu świetliki wpuszczały do środka potoki słonecznego światła. Wystrój odznaczał się wyrafinowaną oszczędnością. Ściany pomalowane były na delikatny brzoskwiniowy kolor, podłogi pokrywało kilka kosztownych mat. Skromne umeblowanie, podobnie jak cały dom, łączyło wiele stylów - w bawialni znajdował się urządzonego w stylu art deco bar, obok zaś stał fortepian z Lucite.

Josh nie ukrywał podziwu.

-Tak można żyć! Musimy się pospieszyć, Taryn. Może wkrótce będzie nas na to stać.

Ben zostawił swój wózek w hallu. Przechadzał się teraz po pomieszczeniach, oglądając wszystko uważnie i co chwila gwizdząc z uznaniem.

-Klasa! -stwierdził wreszcie. -Jak długo macie zamiar tu zostać?

-Aż do Labor Day - odparł Josh.

-Mam to wszystko zanieść do sypialni?

-Nie śpimy razem - powiedziała Taryn.

Chłopiec oparł dłonie na biodrach i spojrział na nich zdumiony.

-Nawet ze sobą nie żyjecie? No nie, ale dałem się nabrać!

Taryn wcisnęła mu napiwek do ręki. Oczy chłopca rozjaśniły się, gdy dostrzegł w swej dłoni pięciodolarowy banknot.

-Jeśli będziecie czegoś potrzebować, to proszę dać mi znać. Jestem do usług.

-Dziękujemy ci. Będziemy o tym pamiętać - uśmiechnęła się do niego.

Wychodząc Ben zatrzymał się na moment obok Josha, zajętego rozpakowywaniem materiałów do pracy, i pociągnął go delikatnie za rękaw. Potem szepnął, spoglądając w kierunku Taryn:

-Na pana miejscu bym się pospieszył.

Taryn, zajęta podziwianiem widocznego pod przezroczystą obudową mechanizmu fortepianu, udała, że nic nie słyszy.

Josh podszedł do instrumentu i usiadł. Podniósł pokrywę i przebiegł palcami po klawiszach. Fortepian był świetnie nastrojony. Zadowolony Josh spojrział na towarzyszkę.

-No to jesteśmy na miejscu.

-Tak - odparła łagodnie. - Jesteśmy na miejscu.

Rozdział XI

Usiadła przy oknie i popijając wolno kawę, obserwowała plażowe igraszki Josha. Miał na sobie niebieskie kąpielówki, które zamoczone przylegały do jego bioder niczym druga skóra. „Tego rodzaju widoki są mi zupełnie niepotrzebne” -pomyślała. Zmusiła się do skoncentrowania uwagi na kartkach leżących przed nią na szklanym stole. Zapiski zajmowały kilkanaście stron; były wśród nich fragmenty tekstów i przypadkowe zdania. Stanowiły efekt jej wczorajszej samotnej nocnej pracy w sypialni. Teraz, w świetle dnia, nie była nimi zachwycona. Flamastrem wykreśliła

nieodpowiednie, jej zdaniem, ustępy i próbowała skupić się na reszcie. Niestety, jej myśli cały czas krążyły wokół Joshua. Raz jeszcze spojrzała na plażę i ujrzała go robiącego pompki na piaszczystym brzegu.

-Popisuje się - mruknęła. - Najwyraźniej nieźle mu się spało.

Zaraz po przyjeździe rozlokowali się w swoich sypialniach. Ona wybrała sobie pokój na piętrze, z balkonem i widokiem na ocean. On, chyba wyłącznie po to, by trzymać się od niej z dala, zamieszkał na parterze, tłumacząc się, że uwielbia poranne kąpiele i nie chciałby jej przeszkadzać, tłukąc sięskoro świt po korytarzu. Potem przebrali się i wrócili do bawialni, by zabrać się za komponowanie. Mimo wyczuwalnego napięcia ich współpraca nadal układała się bez zastrzeżeń.

Często obrzucali się drobnymi złośliwościami, lecz udało im się powstrzymać od otwartej kłótni. Po południu wspólnie zjedli na tarasie obiad, a następnie powrócili do pracy i ślęczeli nad nią do późna w nocy. Podobnie było nazajutrz i w ciągu całego następnego tygodnia.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi. Odwróciła krzesło do okna i zmarszczyła brwi, pochylając się nad notatnikiem. Gdy Josh wszedł, notowała coś zawzięcie. Udając, że jej nie dostrzega, gwizdał pod nosem melodię, którą wymyślił kilka dni temu.

-Jak mam skoncentrować się na tekście, skoro ty ciągle gwizdzesz i mi przeszkadzasz? - rzuciła poirytowana.

-Przepraszam. Nie mogę się uwolnić od tej melodii. Chciałbym wykorzystać ją w przedstawieniu.

-Brzmi to staromodnie.

-No i kto to mówi! Myślałem, że lubisz walce wiedeńskie i tego typu rzeczy.

-Wytrzymaj się. Cała podłoga będzie mokra - powiedziała, próbując na niego nie patrzeć.

-Nie martw się. Dan powiedział, że wszystkie podłogi w tym domu są wodoodporne. Jak ci idzie z tekstem?

-Nie najlepiej.

-Przydałaby ci się przerwa. Powinnaś popływać i wypocić trochę tej kofeiny. - Usiadł naprzeciw i pociągnął łyk z jej filiżanki. - Ta kawa doprowadzi cię na skraj załamania nerwowego!

-To wyłącznie mój kłopot. Każdy byłby zdenerwowany, stając przed koniecznością napisania tekstów do całego przedstawienia w tak krótkim czasie!

-Každy, ale nie ja - oświadczył, a ona przyjrzała mu się z niedowierzaniem. - Idzie nam zupełnie nieźle. Mamy już w sumie dziesięć gotowych piosenek i sześć w trakcie opracowywania. Dan nie oczekuje przecież, że uda nam się skończyć przed jego powrotem do Nowego Jorku. Powiedział, że będzie zadowolony, jeśli uda się zmontować połowę muzyki do tego przedstawienia!

-Może nie wszystkie piosenki przypadną mu do gustu. Zawsze sporo się odrzuca - zauważyła Taryn.

-Dopiszemy nowe - odrzekł bez namysłu.

-Mam wrażenie, że zmieniam się w automat do pisania piosenek - poskarżyła się.

-Jesteś zdenerwowana - zauważył, dopijając jej kawę.

- Może poszłabyś popływać?

Potrząsnęła przecząco głową.

-Dlaczego jesteś taka uparta?

Uśmiechnęła się ironicznie.

-Od czasu tych filmów o rekinach nie lubię sama pływać w oceanie - wyznała.

Josh wstał.

-Czemu nie powiedziałaś tego wcześniej? Włóż kostium. Pójdę z tobą.

Spojrzała na niego zaskoczona, nie mogąc oderwać oczu od jego ciała ociekającego wodą.

-Pospiesz się, w południe będzie za gorąco na kąpiel. Nie chciałbym, by mój ulubiony tekściarz poparzył się na słońcu.

Ta żartobliwa uwaga sprawiła jej przyjemność. Pospieżyła do sypialni. Szybko przeszukała szuflady włoskiej komody. Wyjęła wszystkie kostiumy, które ze sobą przywiozła, i rozłożyła je na łóżku, uśmiechając się do siebie. Skoro przyjechała tu wyłącznie z myślą o pisaniu piosenek, to dlaczego nie wzięła ze sobą skromnych, jednoczęściowych kostiumów, dlaczego zatroszczyła się o wielobarwne bikini? Wybrała jeden z najnowszych i najśmielszych kompletów - czarno-biały w geometryczne wzory. Szybko przeczesła szczyotką włosy, umalowała delikatnie usta i zeszła na dół.

Josh gwizdnął z uznaniem.

-Wyglądasz jak dziewczyna z plakatu!

-O to mi właśnie chodziło.

-No, dalej. Kto pierwszy na plaży. - Klepnął ją w pośladek i wybiegł z domu.

-To nie fair! - krzyknęła. - Nie dałeś mi nawet szansy na równy start!

-Dogoniła go już na plaży i popchnęła mocno, a on stracił równowagę i upadł na piasek. Brodząc w piasku wydm, popędziła w stronę oceanu i rzuciła się we wzburzone fale. Zdążyła przepłynąć dobre kilka metrów, gdy coś złapało ją za nogę. Krzyknęła, zanurzając się pod wodą. Otworzyła oczy w błękitnej toni i dostrzegła przed sobą roześmianą twarz Josha. Odepchnęła go, po czym szybko wypłynęła na powierzchnię. Wynurzył się koło niej, prychnąwszy i śmiejąc się.

-Ty stuknięty muzykusie! Za kogo ty się uważasz? Za rekina?

-Dowiesz się, jeśli pozwolisz mi się ugryźć.

Wepchnęła go pod wodę, lecz Josh chwycił ją w talii i pociągnął za sobą. Ich ciała zetknęły się. Przeszedł ją

gwałtowny dreszcz. Wypłynęli na powierzchnię i przez moment wpatrywali się w siebie. Niespodziewanie na twarzy Joshua odmalowało się poczucie winy.

-Wracajmy, Taryn. Mamy jeszcze sporo do zrobienia.

Skinęła głową. Skierowali się do brzegu. Dysząc ciężko, wyszli z wody i ruszyli w stronę domu.

-Wezmę prysznic i przebiorę się - powiedział.

-Ja też.

Ujął ją za rękę.

-Wszystko będzie w porządku, Taryn.

-Tak -odparła cicho, zastanawiając się, czy ma na myśli pracę, ich oboje, czy może wszystko razem.

Josh odłożył ołówek.

-No i kolejna piosenka gotowa.

Taryn usadowiła się na taborecie; lada barku służyła jej za stół.

-Może byś mi ją zagrał w całości?

-Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Zaczął grać. Najnowszy utwór pod tytułem „Jogging” poświęcony był bieganiu w Central Parku. Taryn wysłuchała go, usiłując zmusić się do możliwie największego krytycyzmu. Josh skończył i spojrzał na nią pytająco.

-Co o tym myślisz? Dobrze?

Potrząsnęła bezradnie głową.

-Naprawdę nie wiem, Josh. Coś jest nie tak. Sądzę, że melodia jest w porządku, brakuje tylko czegoś, co podkreślałoby rytm biegu. Najprawdopodobniej wykonawcy na scenie będą biegać, potrzebny im będzie wyraźny rytm. Spójrz! - Zaczęła biec w miejscu. - Sam rozumiesz, że niezbędne jest określone tempo.

-Nie założyłaś dziś biustonosza! - krzyknął z udanym zażenowaniem.

-Staraj się zwrócić większą uwagę na rytm ciała - upomniała go.

-Staram się, a jakże. - Lewą ręką zaczął grać świeżo opracowaną melodię. Grał coraz szybciej, aż tempo muzyki zaczęło harmonizować z tempem jej biegu. - To masz na myśli?

-Zniż o oktawę. Ja zagram trzon melodii i zaśpiewam tekst. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Włączyła stojący na fortepianie magnetofon i usiadła obok Joshua. Wspólnie zagrali cały utwór. Odtwarzając go, doszli do przekonania, że wreszcie udało im się osiągnąć pożądaną efekt.

Zadzwoił telefon. Zdziwieni spojrzeli na siebie. Od czasu, gdy tu przyjechali, nie kontaktowali się ze światem.

-Gdzie on jest? - zapytała zirytowana.

-Tam, pod papierami.

Zaczęli grzebać w stosie papieru nutowego i gazet, które Ben przywoził im codziennie rano.

-Mam! - krzyknęła wreszcie, podnosząc słuchawkę. -

Halo? Ach, to ty, Dan! Dzwonisz z Zachodniego Wybrzeża?

-Cześć, Taryn. Tak, ciągle tu jestem. Jak wam idzie?

-Strasznie nam się tu podoba. Piosenki wyskakują z nas jak z komputera. Mamy ich już sporo. Właśnie przed chwilą skończyliśmy następną. Josh chciałby z tobą pogadać.

Josh wziął od niej słuchawkę.

-Cześć, jak ci leci, Dan? To świetnie. Z boską pomocą będziemy mieli do tego czasu trzy czwarte przedstawienia. Tak, miałaś rację, pracuje nam się tutaj naprawdę wspaniale. Mel? Nie, nie odzywał się. - Wskazał palcem na swoją pustą szklanekę, poszła więc do kuchni po nowe piwo. Gdy wróciła, odłożył już słuchawkę i siedział zamyślony na skraju sofy.

-Coś się stało? - zapytała, przyglądając mu się badawczo.

-I tak, i nie. - Pociągnął łyk piwa. - Dan mi powiedział właśnie, że mają kłopoty z zebraniem funduszy na przedstawienie.

-Dan Danser ma z tym kłopoty?

-Cóż, sto tysięcy dolarów to spory budżet jak na stosunkowo niewielkie przedstawienie, wystawione dla dwuosobowej widowni. Pomyśl tylko: Dan chce mieć na scenie dziesięciu aktorów i ośmiu muzyków, nie wspominając o sprzęcie, kostiumach, oświetleniu... Teatry nie dysponują już bogatymi sponsorami. W większości przypadków koszty przedstawięń pokrywają wielkie koncerty, takie jak Columbia czy Coca-Cola, a faceci zarządzający nimi sądzą, że zważywszy zaistniałe okoliczności, czekanie na zyski będzie trwało zbyt długo. Nawet jeśli przedstawienie okaże się przebojem, to nie ma mowy o przeniesieniu go na Broadway, bo to nie jest show na dużą scenę.

Dostrzegłszy zmartwienie malujące się na jej twarzy, przerwał i uśmiechnął się.

-Do diabła z tym wszystkim! Dan mówi, żeby się nie martwić. Twierdzi, że dostanie te pieniądze, choćby miał o nie prosić drobnych ciułaczy. Może nadszedł już czas, by starsze panie z materacami pełnymi gotówki włączyły się w sponsorowanie przedstawięń?

-Nie sądzę, by nasze przedstawienie mogło zainteresować starsze panie. Temat jest dość nowoczesny, sam przyznasz.

-Czasy się zmieniają i starsze panie pewnie też.

-Co zrobimy, jeśli to przedstawienie nie dojdzie do skutku?

-Dan mówi, żeby się nie przejmować i pracować tak, jakbyśmy mieli do dyspozycji nieograniczone fundusze. W najgorszym razie wszystko się trochę opóźni.

Taryn jęknęła.

-A więc będziesz musiał wrócić do klubu, a ja będę zmuszona poszukać sobie jakiejś nauczycielskiej posadki!

Wzruszył ramionami.

-O co chodzi, Taryn? Na razie wszystko układa się jak najlepiej! Zaufaj Danowi, on wie, jak sobie z tym poradzić. Do diabła, wiedziałem, że nie powinienem być ci o tym mówić!

-Typowo męskie postawienie sprawy - oburzyła się. - Nic nie mówić kobiecie. Ja naprawdę potrafię pogodzić się ze złymi nowinami, Josh.

-Potrafisz również je sprowokować.
Zarumieniła się.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

-Nieważne. Nie chciałem cię urazić. - Odwrócił się. - Idę na spacer po plaży.

-Mam iść z tobą? - zapytała z nadzieją w głosie.

-Nie, dziękuję. Wolałbym być sam.

Otworzył drzwi i wyszedł w bladą mgłę parnego popołudnia. Podeszła do okna i przycisnęła twarz do szyby. Wpatrywała się w szarzące niebo. Wiatr nadciągający od strony oceanu rozrzucał piasek. Na grzbietach fal pojawiła się biała piana. Powietrze, które dostało się do środka przez otwarte drzwi, pachniało deszczem.

Pozamykała okna i zapaliła światła. Potem usiadła przy barku i zaczęła saczyć piwo ze szklanki zostawionej przez Josha. Nie wiedziała, co przygnębiało ją bardziej: zła nowina, jaką przekazał im Dan, czy niechęć Josha.

-Tylko spokojnie. Nie daj się zwariować - powiedziała do siebie. Dlaczegoż nie miałyby mieć ochoty na samotny spacer? No tak, ale odkąd się tu zjawili, nie obdarzył jej ani jednym cieplejszym słowem. Wpatrywała się w swoje odbicie, zwielokrotnione skomplikowanym układem luster. Po raz pierwszy uświadomiła sobie z całą jasnością, jak wielką przykrość mogła mu sprawić wtedy, w restauracji, swoim głupim zachowaniem. Gdyby była u siebie w domu,

cisnęłyby szklanką w lustro, by zniszczyć swoje odbicie. Zamiast tego ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Nagle usłyszała dzwonek przy drzwiach frontowych, wydzwaniający kilka taktów z pierwszego broadwayowskiego przeboju Dana. Przetarła oczy i pobiegła otworzyć. Pomyślała, że pewnie Josh wraca do domu, zatoczywszy koło. Otworzyła ciężkie drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

-Josh?!

-Przepraszam, ale to tylko ja, proszę pani.

Przed drzwiami stał Ben.

-Co tu robisz?

-Jak to mówią w katastroficznych filmach - zbiera się na burzę. Pomyślałem, że pomogę pani pozatykać szczeliny i wnieść meble ogrodowe. Pani może sprawdzić, czy coś się suszy na sznurze od bielizny. Jeśli tak, proszę to czym prędzej zdjąć, bo odleci.

-Myślisz, że będzie aż tak źle?

-Właśnie tak myślę - odparł chłopiec. - Niech pani sprawdzi ten sznurek, a ja zajmę się krzesłami.

-A co z tymi japońskimi rzeźbami? - zapytała Taryn, wskazując na skalny ogródek.

-To jest zrobione z kamienia, proszę pani. Nie udźwignęlibyśmy tego. Nic im się nie stanie. Gdzie pani przyjaciel?

-To nie jest mój przyjaciel.

-Co się znowu stało? Nie możecie się ze sobą dogadać?

-Nie spotkałeś go nigdzie? Nie byłeś na plaży?

-Pokłócili się państwo? - nie ustępował Ben.

-Nie. Tak. To nie ma teraz znaczenia. Mam nadzieję, że ma na tyle rozsądku, by schronić się przed deszczem.

-Pani wie to chyba najlepiej.

Nagle przypomniała sobie, jak Josh, nie zważając na burzę, opuścił w gniewie jej mieszkanie. Wszystko wtedy

skończyło się dobrze. „Wrócę z tobą, Taryn, ale nie będę spał na sofie”.

Szybko zebrała resztę prania ze sznurka i pozbierała to, co wznagający się wiatr już zrzucił na ziemię. Potem pomogła Benowi wnieść do środka ogrodowe meble - stoły, krzesła i sofy. Ben błagał ją, by pozwoliła mu uruchomić pneumatyczne okiennice. Po chwili czarne chmury, przywodzące na myśl potwory szykujące się do ataku, zniknęły za grubymi zasłonami.

-Niech się pani nie martwi. Burza zaraz minie. Będzie głośniejsza i krótka jak chybiony romans.

-Gdzie ty się tego wszystkiego nauczyłeś, Ben?

-Na wyspie. Trzeba patrzeć i uczyć się. Myślę, że w sumie to bardzo proste. Rodzice jak to rodzice, ukrywają przede mną wiele rzeczy.

-Sądzę, że to ty mógłbyś im wiele powiedzieć.

-Hej, oto i on! - Ben otworzył drzwi. Josh, oświetlony błyskawicą, wszedł pospiesznie do środka.

-Co ty tu robisz? - zapytał.

-Pomagam pani. Miałem zamiar zostać tu jeszcze trochę i upewnić się, czy wszystko gra.

-No cóż, dziękuję. Doceniam twoje dobre chęci. Teraz ja się nią zaopiekuję.

Taryn patrzyła to na jednego, to na drugiego, zdziwiona, jak bardzo im na niej zależy.

-Muszę już iść - powiedział Ben. - Będę zmagał się z burzą we własnym domu.

-Nie zdążysz tam dojść! - zaprotestowała Taryn. - Poczekaj tu, aż się rozpuści.

-Dobrze znam tutejsze burze, proszę pani. Wiem, ile czasu zajmie mi dotarcie do domu. Poza tym nie chciałbym państwu przeszkadzać. Czasami się rumienię. - Zwrócił się do Josha: - Zna pan najlepszy sposób na burzę? Trzeba

przyrządzić kilka befsztyków, otworzyć flaszkę szkockiej i wszystko się rozpogodzi. Do zobaczenia.

Gdy wyszedł, Taryn spojrzała na Josha.

-To niezwykle dziecko. Myślisz, że nic mu się nie stanie?

-Poradzi sobie w każdych warunkach. Ma to wypisane na twarzy. A jego propozycja jest całkiem interesująca. Może byśmy tak odmrozili kilka kawałków wołowiny? Przygotowałbym sos.

-Do tego pieczone ziemniaki ze śmietaną i sałatką z endywii - zaproponowała, ucieszona jego entuzjazmem.

-Świetnie! A co powiesz na szkocką?

-Nie pijam szkockiej.

-Może wobec tego „Rob Roy”?

-Doskonale.

-Przygotuję cały dzbanek. Zaslugujemy na odpoczynek. Nie można przecież siedzieć tu i pracować bez przerwy. Trzeba napić się alkoholu, trochę się pośmiać, trochę... - nie dokończył. Na moment zapanowała niezręczna cisza.

-Jeśli ma to być uroczysta kolacja, powinnam przebrać się w coś odświętnego.

-Jeśli tak, to ja też muszę włożyć na siebie coś bardziej odpowiedniego.

-A właściwie z jakiej to okazji?

Uśmiechnął się enigmatycznie.

-Myślę, że czas już złożyć broń.

Obróciła się na pięcie i nic nie mówiąc, pobiegła na górę.

Do bawialni wrócili dokładnie w tej samej chwili. Josh miał na sobie luźne, białe bawełniane spodnie i błękitny pulower. Taryn włożyła powłóczysty zielony kaftan z indyjskiej bawełny.

-Teraz wyglądamy znacznie lepiej - stwierdziła.

-Ja wyglądam lepiej, ty - pięknie. - Ujął jej dłoń. -

Chodźmy do barku.

Nalał sporą porcję whisky do dzbanka, dodał lodu, kropelkę wytrawnego wina i zamieszał. Potem napełnił koktajlem dwa kieliszki i dorzucił po plasterku cytryny. Taryn przyglądała się ruchom jego ramion.

-Sporo tego - stwierdziła. - Za co wypijemy?
Uśmiechnął się.

-Za nic konkretnego. Po prostu wypijemy.

Burza rozszalała się na dobre. Wiatr huczał i szarpał metalowymi okiennicami, a olbrzymie krople deszczu bębniły głośno po dachu. Taryn nie zwracała uwagi na żywioł. Usiadła na obrotowym krześle przy barku i sącząc swego „Rob Roya”, rozkoszowała się chwilowym odprężeniem.

-Właśnie pomyślałam sobie - odezwała się, czując, że koktajl uderzył jej do głowy - że jeśli Dan będzie miał problemy z zebraniem pieniędzy na przedstawienie, to może skontaktować się z moim ojcem. W Hudson Valley nie brak pieniędzy i są tam ludzie, którzy inwestowali już w tego typu przedsięwzięcia. Rodzice Wesleya zrobili kiedyś na tym ogromne pieniądze.

-Nie powinnaś tego robić, Taryn. Nie chciałbym, by moi przyjaciele, nawet jeśli są bogaci, inwestowali w moje przedstawienie. Nic dobrego by z tego nie wynikło. Co będzie, jeśli spektakl padnie? Będą mieli pretensje.

-Na pewno nie! Poza tym utrata kilku dolarów nie jest dla nich niczym istotnym. Rozumiem jednak, czego się obawiasz. Jestem pewna, że Dan zdoła zebrać potrzebne fundusze. -Dotknęła jego ramienia. -Ty też w to wierzysz, prawda?

-Oczywiście. - Josh napełnił powtórnie kieliszki. -Kto to jest Wesley?

Zmieszała się. Nie wiedziała, czy powinna mu wszystko powiedzieć, czy nie. Nie chciała psuć wyjątkowej atmosfery tego wieczoru. Zdawała sobie jednak sprawę, że nawet najsprytniejsze kłamstwo zaraz wyjdzie na jaw; Josh znał ją zbyt dobrze.

-Wesley jest mężczyzną, za którego omal nie wyszłam.
-„Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu”? - zapytał z nie ukrywaną niechęcią.

Skinęła głową.

-Właśnie ten - potwierdziła niby od niechcenia.

-Mam nadzieję, że zmienisz zdanie co do włączenia tej piosenki do przedstawienia. Jest naprawdę doskonała - rzekł szorstko.

Taryn uśmiechnęła się.

-Z twoją muzyką?

-Nie, nie to miałem na myśli.

Zamilkła, uważnie przyglądając się jego twarzy.

-Oczywiście, że zgodzę się na włączenie jej do przedstawienia -szepnęła, obserwując uwidaczniające się na nim zaskoczenie. - To już nie jest wyłącznie moja piosenka. W równym stopniu należy do ciebie.

Zaczerwieniła się, a jego orzechowe oczy zwięziły się nieznacznie.

-Jaki on był? - zapytał po chwili. - Ten... Wesley...?

-Wesley Van Essen. Uchodzi za dobrą partię. Jest bogaty, przystojny i bardzo, bardzo miły - odpowiedziała szczerze, delektując się swobodą, z jaką może się na ten temat wypowiadać. - Nasze rodziny mieszkają obok siebie, a my od dziecka przyjaźnimy się ze sobą. Nasi rodzice zawsze mieli nadzieję, że w końcu się pobierzemy. Prawie do tego doszło.

-Dlaczego tak się nie stało? - domagał się wyjaśnień. Jego twarz nie wyrażała żadnych konkretnych uczuć.

-Dolej mi jeszcze, to opowiem ci całą tę smutną historię.

Posłusznie spełnił jej prośbę.

-Zdałam sobie po prostu sprawę, że nie chcę wychodzić za Wesleya. Kochałam go, chyba jednak nie dość mocno. Gdybym za niego wyszła, umarłabym z nudów, wiodąc

przykładne, bezbarwne życie w Hudson Yalley. Nigdy bym nie zaznała smaku porażki czy sukcesu.

-I nie spotkałabyś mnie - dodał niepewnie.

Dotknęła dłonią jego policzka.

-I nie spotkałabym ciebie - rzekła łagodnie. Cofając rękę, dodała: - Nadal jesteśmy z Wesleyem dobrymi przyjaciółmi. Mam przynajmniej nadzieję, że tak jest.

-Widziałaś się z nim ostatnio?

-Nie. Ostatni raz tego dnia, gdy byliśmy razem w „Oberon”. Pamiętasz? Nie poprosiłam cię wtedy do siebie, mimo że miałam taki zamiar. Gdy wracaliśmy do domu, po przeciwnej stronie ulicy zobaczyłam samochód Wesleya. On sam siedział w środku. Wpadłam w panikę. Pomyślałam, że dość się już przeze mnie nacierpiał. Może to głupie, ale nie chciałam, by myślał, że jest w moim życiu ktoś nowy.

-Cieszę się, że mi to wszystko powiedziałaś, Taryn.

Myślę, że bardzo chciałem to wiedzieć. - Przytulił jej rękę do twarzy, a potem odwrócił ją i pocałował. Ciepły dotyk jego warg rozniecił w niej płomień pożądania.

-Biedny Wesley - szepnęła.

Była wdzięczna Joshowi. Uratował ją od nieuniknionej monotonii, od finansowego obłądzenia, od nic niewartych obowiązkowych uciech...

-Biedny Wesley - potworzyła sennie.

Josh puścił jej rękę. Czuli, że odsuwa się od niej, że wycofuje się. Chciała mu powiedzieć, że wszystko w porządku, że pragnie go tak samo, jak on pragnie jej, ale trudno jej było znaleźć odpowiednie słowa.

-Słyszysz? Burza minęła.

-Tak jak powiedział Ben. Głośna i krótka, jak chybiony romans.

Josh wstał i nacisnąwszy przycisk, uruchomił urządzenie zasłaniające okna.

-Spójrz tylko na ten zachód słońca!

Podeszła do okna. Słońce zdawało się unosić na spokojnych wodach oceanu; jego intensywny purpurowy blask zmienił pejzaż nie do poznania. W powietrzu unosiła się mgła - widok był rozmyty, bezkształtny, jak na źle wywołanej fotografii. Ściekająca z dachu woda grała delikatnie w rynnach. Słońce powoli skryło się za linię horyzontu. Po purpurowym dotąd niebie rozlały się fioletowe cienie - noc zaczęła upominać się o swoje prawa.

-Chodźmy na spacer - zaproponował.

Odstawili puste kieliszki i odblokowali drzwi. Na patio potworzyły się liczne kałuże.

-Może zdejmujemy buty?

Uśmiechnął się.

-A może zdejmujemy wszystko? - Przeraziły ją jego słowa. -Możemy pływać nago. Ta część plaży należy do Dana. Poza tym jest już prawie ciemno. Nikt nie będzie nas widział.

-Cały czas mam wrażenie, że Ben czai się tu gdzieś w krzakach.

-Nie zobaczy nic nowego - zapewnił Josh, ściągając koszulę. Zdjął sandały i zsunął obcisłe majtki. Taryn przyglądała mu się z rosnącym podnieceniem. Rozwiązała wstążki swego kaftanu i umyślnie ociągając się, pozwoliła mu osunąć się na piasek. Była naga.

Josh westchnął i przytulił ją do siebie. Zaczął ją delikatnie całować, po chwili jednak dotyk jego warg stał się niecierpliwy. Pulsująca krew zdawała się rozrywać jej skronie, po jej ciele przebiegł niepohamowany dreszcz. Pomyślała, że bez względu na to, jak bardzo nie są zgrani w życiu codziennym - poetka z Hudson Yalley i kompozytor z południa - trudno zaprzeczyć, że we wspólnym rytmie ich ciał tkwi prawdziwa potęga. Pasowali do siebie. Miała nadzieję, że wszystkie problemy zostały wreszcie rozwiązane. Gdyby tylko potrafili wyciągnąć do siebie dłonie w trudnych chwilach, nie musieliby się martwić o przyszłość.

Josh delikatnie wyzwolił się z jej uścisku i chwycił ją za rękę. Znad oceanu nadciągała biała mgła - odległe domy pojawiały się i znikwały w jej kłębach. Trzymając się za rękę, dotarli do brzegu. Mgła otoczyła ich stopy pierzastą parą. Kropelki osiadły na ich rzęsach, ciała zaczęły lśnić wilgotnym blaskiem. Fale rozbijające się na brzegu przyjaźnie mruczały. Gdzieś z oddali dochodziły ich dźwięki jakiegoś przyjęcia.

-Słyszysz? - szepnęła Taryn. - Muzyka. Myślisz, że to dla nas?

-Być może - odparł łagodnie Josh.

Weszli do wody. Nie czuła się już skrepowana - rzuciła konwenanse na pastwę wiatru. Rzeczywistość straciła dla niej swe prawdziwe wymiary. Spojrzała mu prosto w oczy. Przyciągnął ją ku sobie.

-Josh, powiedz mi te dwa słowa - szepnęła.

-Kocham cię, Taryn. Nie jestem może geniuszem, lecz znam trochę siebie i wiem, że cię kocham. Cieszy mnie to ogromnie, ale też przeraża.

-Przeraża?

-Nie mam już siły, by stawiać temu opór - odparł stłumionym głosem.

-Ja również.

W gasnącym świetle dnia obserwowała jego drżące powieki.

Wytyczał palcem niewidzialną ścieżkę od jej czoła przez nos i usta do podbródka, a potem przemierzył ją wargami. Delikatnie całował jej szyję, piersi, miękkie ciepło jej ramion. Jęknęła i uniosła jego głowę. Przywarli do siebie wargami, po czym osunęli się na wilgotny piasek. Przytuliła się do niego z całej siły. Pragnęła go właśnie teraz, w tej chwili. Jakby odgadując jej myśli, objął ją i położył się na niej. Spleceni ze sobą nie odezwali się ani słowem, tylko ledwie słyszalny szmer oceanu zlewał się w jedną, upajającą melodię.

Był wspaniałym kochankiem. Jego pieśczęty doprowadziły ją do szaleństwa. Ich wargi były związane, gorące oddechy mieszały się ze sobą. Uniosła biodra. Josh zdawał się uprzedzać jej pragnienia. Kulminacja zmysłowej rozkoszy zbliżała się w zawrotnym tempie. Z jej gardła wydobył się jęk i jak ptak uleciał w ciemność nocy. Miała wrażenie, że są dwiema gwiazdami, które łączą się ze sobą w gigantycznej eksplozji światła. Wiedziała, że nie doświadczy tego z żadnym innym mężczyzną. Josh potrafił dać jej rozkosz, potrafił rozbudzić jej talent. Odnalazł klucz do jej serca.

Rozdział XII

-Spróbujmy jeszcze raz!

Dan Danser wskoczył na scenę, wyprostował się i uśmiechnął do zmęczonych aktorów. Ubrany był z właściwym sobie szykiem - beżowa jedwabna koszula doskonale harmonizowała z brązowymi dżinsami uszytymi na miarę.

-O co chodzi? Coś nie pasuje? - zapytał.

Jeden z pięciu stojących na scenie aktorów, przystojny Włoch o gęstej czarnej czuprynie, odwrócił się w jego stronę.

Ta melodia urywa się zbyt szybko. Nie ma czasu na to, by przejść z jednej strony na drugą.

Spróbuj pokazać to w zwolnionym tempie, Toby - poprosił Dan.

Młody artysta przeszedł tanecznym krokiem scenę. Reżyser zmarszczył brwi i przecesał dłońmi swe kruczoczarne włosy.

-Taryn, Josh, jesteście tu?

-Tutaj! - odparła para z ciemności zalegającej widow-
nię.

-Chodźcie na scenę. Mamy mały kłopot. - Gdy pode-
szli bliżej, dodał: - Topy ma rację. Długość tego kawałka
nie współgra z szerokością sceny.

-Trzeba dodać parę taktów? - zapytał Josh.

-Tak. Poza tym należałoby chyba zagrać to w wyższej
tonacji...

-Trzeba by zatem zmienić także tonację następnego re-
frenu - głośno zastanawiała się Taryn. - To mogłoby nawet
wypaść ciekawie.

-Może spróbujemy zagrać to na fortepianie? - zapro-
nował Josh i zwrócił się do aktorów: - Dalej, dzieciaki,
stańcie wokół fortepianu, to coś wam zagram.

Pianista ustąpił mu miejsca, a aktorzy stanęli kręgiem
wokół instrumentu. Josh zagrał utwór, zmieniając go zgod-
nie z sugestią Taryn, a ona spojrzała na Dana z uśmiechem
- melodia brzmiała teraz dokładnie tak, jak należy.

-Wypróbujmy to jeszcze raz. Proszę wszystkich na sce-
nę! -zawołał Dan.

-Uważaj na ich dykcję. Chcę słyszeć swoje teksty -
ostrzegła go Taryn, po czym usiadła obok Josha.

-Daj mi arkusz z muzyką do tego kawałka o joggingu -
poprosiła go. - Dan chce, bym zrobiła w tekście aluzję do
jakiegoś markowego obuwia. Popracuję nad tym w zaciszu.

Pocałował ją w policzek. Przymrużyła oczy.

-Słodkie natchnienie - szepnęła, zsunęła się z ławeczki
i szybkim krokiem ruszyła w stronę kuchni - swej twórczej
samotni. Było to jedyne pomieszczenie w klubie, w którym,
od czasu jesiennego otwarcia sezonu, panowała względna
cisza. Usiadła przy stole do rąbania mięsa, wyjęła notatnik
i zaczęła pisać. Czowała, że jest u szczytu swoich twórczych
sił, „na najwyższych obrotach” -jak to określił Dan. Udało
jej się poprawić tekst w ciągu niespełna piętnastu minut.

Wystawiła głowę zza drzwi i machając kartką papieru, zwróciła na siebie uwagę Josha. Podszedł do niej, klucząc między stołami.

-Jestem gotowa - oznajmiła.

Pocałował ją znowu.

-Wiem, kochanie - powiedział, zniżając znacząco głos.

-Nie, nie to mam na myśli. Poprawiłam tekst, o którym mówił Dan! Chciałam ci go po prostu pokazać, zanim trafi do niego. Chodź do kuchni, nic nie zobaczysz w tych ciemnościach.

Josh wszedł do środka i spojrzał na tekst.

-Świetnie - rzekł, śmiejąc się. - Wiesz co? Wygląda na to, że najlepiej pracuje ci się przy garach.

-Nie wiem, czy będę miała odwagę zabrać się do pracy w innym otoczeniu.

Nagle przysunął się do niej i zaczął ją namiętnie całować. Oparli się o stół.

-Uwielbiam patrzeć, gdy oddajesz się twórczej pasji - szepnął.

-Spływaj! - mruknęła żartobliwie. - Próbujesz wykorzystać samotną pisarkę?

-Tej nocy nie będziesz samotna. Obiecuję.

W uchylonych drzwiach pokazała się głowa menedżera sceny.

-Dan chce się z tobą widzieć, Josh.

-Daj mu ten tekst - poprosiła Taryn. - Mam zamiar zrobić sobie przerwę.

Została sama. Zaparzyła kawę, usiadła i zaczęła przypominać sobie wyczerpujące tygodnie prac przygotowawczych. Z Fire Island wrócili z kolekcją nowych piosenek i muszli zebranych nad brzegiem oceanu. Odetchnęli z ulgą, dowiedziawszy się, że po umieszczeniu ogłoszenia w „New York Timesie” Dan wreszcie znalazł sponsora. Gdy sprawy finansowe zostały uregulowane, zabrali się do

układania dość przypadkowych piosenek w mające sens przedstawienie.

W ciągu minionych tygodni stworzyli trio zgrane do tego stopnia, że zdawali się być jednym organizmem. Chwilami, gdy była przekonana, że nie znajdzie już w sobie żadnego rymu, Dan z Joshem spieszyli z nowymi pomysłami i po chwili sprawa była rozwiązana. Niektóre utwory odrzucili, inne przeredagowali, skomponowali kilka nowych - wszystko w nieprzerwanym ciągu twórczego natchnienia. Dan nie oszczędzał ani siebie, ani debiutujących aktorów i dzieło zostało ukończone stosunkowo szybko.

Drzwi otworzyły się i do kuchni wkroczył Mel Howard. Pot na jego czole był widoczny nawet przez mgiełkę dymu, który unosił się z jego cygara.

-Chwila odpoczynku? Jestem pewien, że wasze przedstawienie będzie prawdziwym przebojem! Nigdy nie spotkałem reżysera szybciej pozbywającego się pieniędzy niż Dan. Dodatkowe światła. Dziesięciu aktorów. Ośmioosobowa orkiestra. Jeszcze nie widziałem tylu kostiumów na raz! Dziesięć tysięcy dolarów za kurtynę, która posłuży tylko w jednym akcie. Na miłość boską! Po to tylko, by zaraz na początku poderwać ją do góry, jeden jedyny raz! Dostanę zawału!

-Dan chce, by pierwsza scena była zaskoczeniem.

-Myślę, że uda się zaskoczyć wszystkich cenami biletów. - Nalał sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy i, zamiast śmietanki, wlał do niej odrobinę płynu na nadkwasotę.

Taryn skrzywiła się.

-Dan wie, co robi, Mel. To będzie przebój. Czuję to.

Właściciel klubu zamieszał kawę palcem i uśmiechnął się przeproszająco.

- Wiem, moja droga. Mimo to muszę się martwić. Taki już jestem.

Po lunchu Taryn poszła do łazienki, by odświeżyć maki-
jaż. Czowała się zmęczona, nie miało to jednak znaczenia. Mo-
żliwość pracy nad przedstawieniem i obecność Josha - to
było wszystko, czego potrzebowała. Malując wargi, pomy-
ślała, że wszystko układa się aż nazbyt pięknie. Może przed-
stawienie poniesie porażkę? Nonsens! Chodziła do teatru
od dwudziestu lat - wiedziała, co jest dobre, a co złe. To
przedstawienie było świetne!

Otworzyła drzwi i omal nie zderzyła się ze swą najlepszą
przyjaciółką.

-Didi! Co ty tu robisz?!

Didi wepchnęła Taryn z powrotem do środka.

-Ciii... Ubiegam się o posadę. Dziś po południu odby-
wają się przesłuchania, zapomniałaś już?

-Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?

-Nie bądź głuptasem, Taryn! Nie chciałam, byś prote-
gowała mnie w jakikolwiek sposób. A teraz idź, znajdź Jo-
sha i powiedz mu, żeby siedział cicho. Jeśli mają mnie za-
angażować, niech się to stanie wyłącznie ze względu na mo-
je umiejętności. Trzymaj za mnie kciuki, niczego więcej nie
chcę. Gilberta i Sullivana mam już zdecydowanie powyżej
uszu.

-Ale...

-Nic nie mów. Obiecuj mi to. Jeśli dostanę tę pracę, to
nie ze względu na znajomości.

-W porządku - ustąpiła Taryn. - Powiem Joshowi.
Mam nadzieję, że ci się uda. Cudownie byłoby pracować
razem z tobą!

Grupa ludzi zgromadziła się na scenie za kurtyną wartą
dziesięć tysięcy dolarów. Aktorzy, obsługa techniczna i mu-
zycy zebrali się, by wysłuchać ostatnich uwag reżysera. Na
jego prośbę wszyscy chwycili się za ręce, tworząc krąg, któ-

ry miał sprzyjać wzmocnieniu poczucia więzi między nimi. On sam wszedł do środka.

-Swoją karierę zaczynałem na tej scenie, dziesięć lat temu, małą, sześćosobową rewią zatytułowaną „Take Out”. Stoję tu teraz przed wami i oświadczam, że Thomas Wolfe nie miał racji. Można wrócić do domu. Jesteście wspaniali i chcę wam powiedzieć, że kocham was wszystkich.

Ruszył wzdłuż kręgu, całując każdego w czoło. Potem wraz z Taryn i Joshem zeszli za kulisy, okrążyli budynek i tylnymi drzwiami weszli na salę, gdzie zajęli miejsca przy jednym ze stolików. Pod kraciatą serwetą Josh i Taryn chwycili się za ręce.

-Spójrz tylko na nich - szepnął Dan, wskazując wzrokiem gromadzącą się publiczność. - Nie widziałem tyłu futer od czasu ostatniej wizyty w zoo.

Skinął na kelnera.

-Proszę podać butelkę najlepszego szampana. Nie stać nas w tej chwili na nic kiepskiego. A na pewno nie na to, co Mel serwuje swoim gościom. Proszę otworzyć go w kuchni. Nie chciałbym tu słyszeć nic z wyjątkiem oklasków.

Kelner uklonił się i zniknął bezszelestnie, a reżyser uniósł ręce obojga autorów i przytrzymał je w górze na znak triumfu.

-Chciałbym wam wyznać, że nie obchodzi mnie to, co powiedzą krytycy. To dobra robota. Możemy to uczcić, nie czekając na opinie innych.

Kelner przyniósł zamówionego szampana.

-Mel mówi, że to na koszt firmy.

-Chyba zemdleję! - roześmiała się Taryn.

Danser napełnił kieliszki.

-Niczego więcej nie trzeba; wspaniali przyjaciele, znośny szampan i cudowny spektakl! Przyjęcie zaczniemy zaraz po przedstawieniu!

Trącili się kieliszkami i wypili.

-Jeśli chodzi o przyjęcie - rzekła Taryn - to razem z Joshem mamy zamiar skoczyć do domu i przebrać się. Nie chcielibyśmy zniszczyć naszych najlepszych ubrań.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

-Oczywiście. Postarajcie się tylko wrócić na czas.

„On przeszedł dziś samego siebie” - pomyślała Taryn.

Reżyser miał na sobie srebrzystą kamizelkę i jasnoniebieski golf, a poza tym obwieszony był kilkoma kilogramami biżuterii.

-Macie tu kogoś na sali - znajomych, przyjaciół? - zapytał nagle.

Potrząsnęła przecząco głową.

-Nie zapraszałam ani rodziny, ani przyjaciół, z wyjątkiem Alexa. I bez tego jestem wystarczająco zdenerwowana!

-Ja również - dodał Josh.

Odpowiadało jej, że żyją z Joshem na własną rękę, bez rodziny i, z wyjątkiem Alexa, bez przyjaciół. Najlepiej przeżywać swoje porażki i sukcesy we dwoje. Przysunęła się do niego, rozkoszując się ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawała jej bliskość jego ciała. Ten człowiek dał jej tak wiele - miłość, czułość, inspirację... Nagle przedstawienie stało się dla niej czymś mniej ważnym od tej znajomości. Jeśli nawet z jakiejś przyczyny padnie, ona dzięki Joshowi zniesie wszystko.

Zaczęła przyglądać się publiczności, próbując rozpoznać jakieś sławne postacie.

-Ludzie ciągle przychodzą - powiedziała bardziej do siebie niż do swoich towarzyszy.

Kobiety miały na sobie lśniąca wieczorowe kreacje, mężczyźni - szykowne garnitury. Nagle serce zabiło jej mocniej. Do klubu weszła Nadia - krótko ostrzyżona, z pie-rzastą etolą wokół szyi. Jednak uwagę Taryn przykuło coś innego. Obok Nadii siedł Wesley, ubrany w granatowy frak.

-Coś nie w porządku? - zapytał Josh. - Wyglądasz tak, jakbyś właśnie zobaczyła ducha.

-Nie, nic. Wszystko dobrze - skłamała. - Jestem po prostu zdenerwowana.

Przyglądała się, jak kelner prowadzi ich do jednego stołika. Była zdumiona. Skąd Nadia dowiedziała się o premierce? Umyślnie nie podała jej żadnych szczegółowych informacji, a Nadia nigdy nie czytała gazet. A Wesley? Zdawała sobie oczywiście sprawę, że Josh w końcu będzie musiał go poznać, wolałaby jednak, by stało się to jak najpóźniej.

Na sali panował charakterystyczny gwar - rozmowy, szelest papieru, brzęczenie kieliszków. Spojrzała na ścienny zegar. Kwadrans po ósmej. Spóźniali się. Gdy wszyscy siedzieli już na swoich miejscach, Dan dał znać menedżerowi. Światła wolno pogasły. Ścisnęła rękę Josha, a on pocałował ją w policzek.

-Zaczynamy.

-Połamania nóg - szepnął Dan.

Widownia ucichła. Nie było uwertury. Podczas gdy kurtyna wolno wędrowała w górę, orkiestra dostrajała instrumenty. Smugi intensywnego światła zalały ogromne łóże, które początkowo wydawało się puste. Po chwili jednak pod nakryciem coś się poruszyło - na łóżku pojawili się aktorzy. Elektryczna gitara rozpoczęła rockowe solo. W chwilę później dołączył syntezator i inne instrumenty. Zaczął się pierwszy utwór, noszący tytuł „Z boku na bok”.

Publiczność była powściągliwa, panowała dziwna apatia. Może ta piosenka o samotności w dobie swobody seksualnej była nazbyt prawdziwa, nazbyt oczywista? Taryn zauważyła, że Nadia i Wesley przyglądają się spektaklowi bez specjalnego entuzjazmu.

Gdy utwór się skończył, natychmiast rozległy się brawa - zdecydowane, lecz oszczędne. Odwróciła się do Josha.

-Nie podobało się im - rzekła niskim głosem.

-Podobało - odparł Josh. - Są tylko trochę oszołomieni. Następny kawałek wypadnie lepiej.

Temat drugiego utworu był nieco lżejszy. Była to parodia piosenki miłosnej. Opowiadała historię dziewczyny, która zaszła w ciążę w czasie kręcenia filmu erotycznego. Wykonywała ją z wielką werwą ubrana w trencz młoda kobieta. Piosenka rozluźniła trochę publiczność - tu i ówdzie rozległy się śmiechy.

-Widzisz? - rzekł Josh. - Muszą się trochę rozruszać. To samo dotyczy nas - lekko ścisnął jej dłoń. Spojrzała mu w oczy, ogarnięta falą miłości i wdzięczności.

Zarówno spektakl, jak i reakcja publiczności zaczęły nabierać rozmachu i pod koniec pierwszego aktu trójka autorów wiedziała już, że publiczność jest po ich stronie.

Gdy zapalono światła, czym prędzej pospieszyli za kulisy, by przekazać zespołowi radosne wieści. Nawet Mel, nieustannie żujący tabletki na nadkwasotę, przyszedł wszystkim pogratulować. Przedłużono dziesięciominutową przerwę, by zabiegani kelnerzy zdążyli obsłużyć publiczność. Wreszcie światła zgasły znowu. Trzeba było wracać do swego stolika.

Taryn promieniała. Wyglądało na to, że wszystko jej się powiodło - zdobyła Josha, a teraz jeszcze zanosilo się na jej pierwszy zawodowy sukces.

-Spójrz na ich twarze - rzekła, myśląc o widowni. - Są szczęśliwi, naprawdę szczęśliwi!

Na początku drugiego aktu powrócił wątek z pierwszego utworu z tą tylko różnicą, że aktorzy wymienili się partnerkami. Tym razem widownia zareagowała przychylniej.

Pod koniec drugiego aktu scena zmieniła się w bar dla samotnych. Starzy bywalcy tańczyli w zwolnionym tempie wokół jasno oświetlonej młodej kobiety, która śpiewała przepętnioną smutkiem wersję „Zegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu” przy akompaniamencie wiolonczeli i fortepianu. Gdy utwór się skończył, zerwała się istna burza okla-

sków. Publiczność nagradzała tę piosenkę goręcej niż którąkolwiek dotąd.

Josh pochylił się ku Taryn.

-A nie mówiłem? Od jutra ten utwór będzie chciała mieć w swoim repertuarze każda licząca się piosenkarka!

Zwieńczenie spektaklu stanowił hymn, w którego strukturze widoczne były wyraźne wpływy rocka. Jego przesłanie sprowadzało się do stwierdzenia, że jeśli ludzie ułożą sobie lepsze stosunki stojąc, to i leżąc nie będą mieli tak wielu problemów. Gdy zabrzmiała ostatnia nuta, publiczność zgotowała artystom owację na stojąco.

Dan odwrócił się do Josha i Taryn.

-Wiecie co? Nieważne, co powiedzą krytycy. To przedstawienie przetrwa, choćby ludzie mieli przekazywać sobie pochlebne opinie pocztą pantoflową!

Josh wziął Taryn w ramiona i mocno ją pocałował. Po jej policzkach popłynęły łzy szczęścia. Złożyli wszystkim gratulacje, wysłuchali niezliczonych komplementów, a później wymknęli się cichaczem i pojechali do jego mieszkania.

Taryn nie mogła się uspokoić. Wiedziała, że recenzje będą przychylne; widziała przecież reakcję publiczności. Na szczęście udało jej się uniknąć spotkania z Wesleyem i Nadią. Teraz musiała się tylko przygotować do przyjęcia, które miało nieodwracalnie zmienić jej życie.

Winda dotarła do ostatniego piętra. Przechodząc korytarzem, zauważyła, że drzwi do mieszkania Happy są zamknięte.

-Gdzie ona jest?

-Nie mówiłem ci? Wyjechała do Vermont. Chce się jakoś w tym wszystkim odnaleźć. Dostałem od niej kartkę. Twierdzi, że tam wszystko jest realne.

Taryn roześmiała się.

-Mam nadzieję, że nie zabraknie jej baterii do walkmana. Frak Josha wisiał na drzwiach szafy. Obok rozwieszony

był komplet, który kupiła z myślą o przyjęciu: obcisła bluzeczka bez ramiączek, udekorowana wielobarwnymi cekinami, oraz długa do kostek spódnica z brązowego aksamitu. Wzięła prysznic, przebrała się i zabrała do robienia makijażu. Josh, myjąc się, nucił melodie z przedstawienia.

-Pospiesz się!

-Już kończę!

Otworzyła kasetkę i wyjęła diamentową biżuterię, którą otrzymała od babci w dniu dwudziestych pierwszych urodzin: kolczyki, trzy złote łańcuszki i spinkę do włosów. Założyła kolczyki i naszyjniki, a następnie zaczesła do tyłu kasztanowe włosy i spięła je spinką.

Josh wszedł do pokoju owinięty ręcznikiem.

-Wyglądasz naprawdę bosko! Zupełnie jak ktoś, kto idzie na premierowe przyjęcie. - Uniósł jej włosy iłożył na karku delikatny pocałunek. -Nie zostaniemy tam zbyt długo, prawda?

Zadrżała, słysząc te słowa.

-Poczekamy na pierwsze recenzje, a potem przyjdziemy do mnie i zabawimy się sami. Chciałabym trochę poszaleć. Poza sukienką kupiłam kilka butelek szampana i kawior.

-Od dziś będzie cię na to stać codziennie.

-Będzie nas stać — uśmiechnęła się do niego — dopóki będzie trwała nasza współpraca.

-Nie martw się o to. To dopiero początek.

-Zaraz będę gotowa.

We fraku Josh wyglądał jak prawdziwy arystokrata. Marzyła o tym, by zacząć rozpinąć guziki, które właśnie z takim wysiłkiem zdołał zapiąć, lecz on podszedł do niej i zarzucił jej na ramiona brązową aksamitną pelerynkę.

Podczas ich krótkiej nieobecności „Village Club” zmienił się zupełnie. Teraz wewnątrz przypominało salę balową. Stoliki rozsunięto na boki, w wielu miejscach rozstawiono

odbiorniki telewizyjne - czekali na pierwsze reakcje krytyków w wieczornych wiadomościach. Mel otworzył bar, a kucharz przygotował ogromną ilość przekąsek. Zawieszona pośrodku sali kula rzucała wokół wielobarwne promienie.

Gdy weszli do środka, muzyka ucichła. Tańczące dotąd pary zwróciły się w ich kierunku i zaczęły bić brawo. Po chwili dołączyli do nich goście, dotychczas zajęci rozmową przy stolikach i barze.

Dan podszedł do nich i wyściskawszy serdecznie, zaprowadził ich na scenę. Ktoś włączył reflektory. Zalał ich potok różowego światła.

-Panie i panowie! - zaczął Dan. - Oto prawdziwe gwiazdy dzisiejszego przedstawienia -jego autorzy! Nasz wspaniały kompozytor, Joshua Hammond, i olśniewająca autorka tekstów -Taryn Tremayne!

-Prosimy o mowę! - krzyknął ktoś, a inni podchwycili ten pomysł.

-Nie jesteśmy zbyt dobrymi mówcami. Może byśmy tak w zamian coś zagrali?

Usiedli przy fortepianie. Josh szepnął:

-Co powiesz na „Żegnaj, kochanku -witaj, przyjacielu”?

-Wolałabym nie - odpowiedziała, przypominając sobie twarz Wesleya. - Zaśpiewajmy „Bardziej ty niż ja”.

Potrząsnął przecząco głową.

-Taryn, kochanie, tyle razy zmieniałaś ten tekst! Założę się, że nie pamiętasz, która wersja jest ostateczna. Wydaje mi się, że „Żegnaj, kochanku...” pasuje tutaj jak ulał.

-No, dobrze - zgodziła się niechętnie, zdając sobie sprawę, że trudno jej będzie zaśpiewać to przed publicznością.

Wspomagana przez Josha przebrnęła jednak przez pierwszą zwrotkę piosenki. Przy drugiej czuła się już pewniej.

Gdy skończyli, rozległy się gromkie oklaski. Ukłonili się i zeszli ze sceny.

-Przyniosę coś do picia. Na co masz ochotę?

-Zaczęłam od szampana. Chyba na nim poprzestanę.

Josh ruszył w stronę baru, a ją natychmiast otoczyli przyjaciele i wykonawcy. Pierwsza podeszła Didi i uściskała ją mocno.

-Wyglądasz wspaniale! I tak być powinno. To będzie prawdziwy przebój, zobaczysz! W przerwie wmieszałam się w tłum i słuchałam komentarzy - były entuzjastyczne.

-Ale to nie oni będą pisać recenzje, Didi.

-W tej chwili podszedł do niej jeden z aktorów.

-Była tu moja siostra. Stała obok krytyka „Postu” i podsłuchiwała, jak zwierzał się swojej żonie czy też narzeczonej, że jest to najlepsze tego rodzaju przedstawienie, jakie dotąd widział.

-Słyszałem, że recenzent z „Timesa” nucił niektóre kawałki - dorzucił ktoś z grupy.

-A facet z „Daily News” wyglądał na wniebowziętego - dodał ktoś inny.

-Zobaczmy - odpowiedziała ostrożnie.

Pojawił się Alex, trzymając w dłoni kieliszek szampana.

-Taryn - zaczął - tego wieczoru powiększyłaś mizerne dotąd szeregi cenionych autorek z branży teatralnej. Teraz Dorothy Fields, Carolyn Leigh i Gretchen Cryer będą wreszcie miały godną siebie następczynię.

-Naprawdę aż tak ci się podobało?

-Moja droga, to jeden z najwspanialszych wieczorów, jakie przeżyłem! - Mówiąc to, uśmiechnął się chytrze. - Pomyśl tylko, jak to wpłynie na liczbę chętnych na mój wiosenny kurs? Sam fakt, że ty i Josh braliście w nim udział... rozumiesz mnie chyba!

Podszedł Mel, niosąc tackę z przekąskami.

-Jak ci się podobało? - zapytała go Taryn.

-Po prostu wspaniale! - wykrzyknął. - Ludzie przyjdą tego słuchać bez względu na to, jaka będzie opinia krytyków! Wreszcie mamy coś, co ma szansę nie schodzić co najmniej przez rok z afisza. - Podsunął zgromadzonym taczkę. -Jedźcie, jedźcie! To na koszt firmy!

Aktorom i muzykom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zabrali się z apetytem do jedzenia, a Mel poszedł do kuchni, by uzupełnić braki.

Didi roześmiała się.

-Chyba pierwszy raz widzę Mela bez zadyszki! - Objęła Taryn ramieniem. - Nie ma się czym przejmować. Wszystkim się podobało.

-To prawda - usłyszała za sobą znajomy głos. Przykneęła oczy i głośno przełknęła ślinę. Serce zamarło jej w piersi. Zebrała siły i dopiero wtedy odwróciła się.

Jego włosy były jaśniejsze niż zwykle, oczy bardziej błękitne, a uśmiech szerszy. Zastanowiła się, jak on to robi. Jego rysy nie zmieniły się z upływem czasu, raczej nabierały wyrazu.

Zmusiła się do uśmiechu.

-Dziękuję, Wesley.

-Szukaliśmy ciebie. Chcieliśmy pogratulować ci z Nadia. Nie zastaliśmy cię za kulisami, więc pojechaliśmy do twojego mieszkania, a teraz jesteśmy z powrotem.

Uśmiechając się sztywno, zastanawiała się, w jaki sposób dostali się tutaj. Miało to być przecież zamknięte przyjęcie dla ludzi związanych z przedstawieniem.

-Gdzie jest Nadia? - zapytała niepewnie.

-A gdzie może być Nadia? - uśmiechnął się. - W łazience, poprawia makijaż.

Kątem oka dostrzegła Josha. Szedł właśnie w ich stronę z dwoma kieliszkami szampana. Poczowała, że zasycha jej w gardle, a na twarz wypełza zdradziecki rumieniec. Dla-

czego tak bardzo obawiała się spotkania tych dwu mężczyzn?

Josh podszedł, postawił kieliszek i spojrzał na Wesleya. Taryn obserwowała jego twarz. Co wyrażała? Gniew? Zaskoczenie? Ciekawość? Chyba wszystko na raz i jeszcze coś... Na jego twarzy odmalowała się duma. Z widocznym trudem zmusił się do uśmiechu.

Przez kilka sekund stali w milczeniu naprzeciw siebie. Taryn miała wrażenie, że za chwilę skoczą sobie do gardeł, zamiast tego jednak wyciągnęli dłonie. Wiedziała, że przedstawienie ich sobie nie ma sensu, czuła się jednak zobowiązana do zrobienia pierwszego kroku.

-Joshua Hammond, Wesley Van Essen.

W tym momencie pojawiła się Nadia. Podeszła do Taryn, nie zwracając uwagi na napiętą atmosferę.

-Taryn, kochanie! Ty naprawdę masz talent. Czyż nie do takiego doszliśmy wniosku, Wesley? To było naprawdę doskonałe! Nie zrozumiałam wszystkiego, choć Wesley mi tłumaczył. On zna tyle dziwnych słów! Ale po co ja to wszystko mówię? Znaie się na tym znacznie lepiej.

-Pamiętasz Joshuę Hammonda, Nadiu? - zapytała sztywno Taryn.

-Nie mogę po prostu uwierzyć, że jedna osoba napisała te wszystkie melodie! -ciągnęła niczym nie zrażona Nadia.

- Co to ja powiedziałam, Wesley? Aaa, że tak bardzo się między sobą różnią. - Znowu zwróciła się do Taryn: - Tak mnie cieszy twój sukces, kochanie! Oczywiście twój sukces jest także sukcesem Wesleya.

-Taryn spojrzała na nią zdziwiona. Nadia poklepała Wesleya po policzku.

-Tak sprytnie zainwestował w to przedstawienie... Ale co ja tu tak paplam, przecież umieram z pragnienia. Chodźmy do baru, Wesley, i napijmy się czegoś.

Rzuciwszy jeszcze kilka zdawkowych grzeczności, Nadia z Wesleyem uklonili się i odeszli.

Josh podszedł do Taryn. Jego oczy lśniły niczym wypolerowana stal.

-A więc to Wesley był naszym potajemnym wybawcą?

-Nic o tym nie wiedziałam -odparła, urażona oskarżeniem, jakie postyszała w jego głosie.

-Chyba nie sądzisz, że ci uwierzę! Dlaczego to zrobiłaś, Taryn? Dlaczego?! Nie mogłaś przewidzieć mojej reakcji? Nie chcę niczego zawdzięczać łaskowości twojego byłego kochanka! A poza tym, skąd mam wiedzieć, że nic was nadal nie łączy? Musiał się przecież czymś kierować. Co chciał w ten sposób uzyskać? Ciebie?

-Nie bądź głupi, Josh! Wesley jest teraz z Nadią.

-Teraz może tak - odparł Josh odchodząc.

Przytrzymała go za ramię.

-Dokąd idziesz?

-Muszę stąd wyjść.

-A przyjęcie...?

-Może zastąpić mnie tu z Wesleyem! - warknął i ruszył do drzwi.

Bojąc się, że wybuchnie płaczem, ukryła się w ciemnym kącie, z dala od towarzystwa. Poczowała, że ktoś kładzie jej rękę na ramieniu. Odwróciła się z nadzieją. Niestety, za jej plecami stał Wesley.

-Chciałem ci podziękować. Twoje przedstawienie przyniesie mi duże zyski. Wybacz mi, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jesteś tak utalentowana. Powinnaś tu zostać. Tu jest twoje miejsce; Hudson Valley nie jest dla ciebie. Spektakl był naprawdę wspaniały, a... Josh wygląda na porządnego faceta. Musisz być dzisiaj najszcześniejszą kobietą na świecie!

-Tak, Wesley - odparła żałośnie. - Jestem bardzo szczęśliwa.

Rozdział XIII

Nagie drzewa strzępiły czarnymi konarami szare grudiowe niebo. Ostatnie jesienne kwiaty, z pokrytymi szronem płatkami, chyliły pokornie czoła przed nadciągającą zimą. W swym beznadziejnym smutku zdawały się zapominać, że kiedyś przyjdzie wiosna, że znów odżyją. Zmarznięta ziemia chrzęściła pod butami Taryn.

Para wydobywająca się z jej ust ciągnęła się za nią jak biały pióropusz. Zatrzymała się. Sprawdzając czas, przez moment biegła w miejscu. Siódma dwadzieścia jeden. Rozejrzała się po parku. Było pusto, tylko tu i ówdzie przemykały sylwetki innych biegaczy. W nocy spadł lekki, drobny śnieżek; park przypominał bożonarodzeniową kartkę. „Brakuje tylko pieczonych kasztanów i ogniska pod gołym niebem” - pomyślała z goryczą.

Postanowiła, że pora kończyć poranną gimnastykę, i skierowała się w stronę domu. Kilka minut przed ósmą była już u siebie. Włączyła wodę na kawę i przebrała się. Potem wysuszyła ręcznikiem włosy, zaparzyła kawę, przygotowała bułkę z topionym serem i zaniósła to wszystko na stół. Jedząc przypatrywała się wiszącym na ścianach powiększeniom recenzji z „The Sexes”, które ukazały się w trzech największych nowojorskich dziennikach. Znała je na pamięć.

Z „Postu”:

Coline Blake - MUZYCZNA REWIA OTWIERA SEZON W VILLAGE CLUB

Gwiazdka dla nowojorskich wielbicieli teatru zaczęła się w tym roku długo przed czasem. Waśnie wtedy, gdy jesienny sezon rozpoczął się serią chybionych wznowień, pretensjonalnych nowofalowych melodramatów i bezkształtnych musicali, Dan Danser podrzucił nam wszystkim mały ele-

gancki prezent - „The Sexes”. Jak można odgadnąć już po samym tytule, przedstawienie z „Village Club” nie jest w swej istocie ani oryginalne, ani nowe. Mimo to za sprawą magicznego talentu Dansera, banalna rewia zmieniła się w prawdziwy klejnot. Pomogli mu w tym znakomici wykonawcy oraz dwoje utalentowanych młodych ludzi, którzy podjęli się napisania całości. Taryn Tremayne (tekst) i Joshua Hammond (muzyka) przyjrżeli się bacznie stosunkom międzyludzkim panującym we współczesnym świecie, przeżyli to, co zobaczyli, i skomponowali cudowny pastisz: „The Sexes”. Co najważniejsze, piosenki ich autorstwa na długo po opuszczeniu teatru pozostają w pamięci. To zapewne najbardziej udany debiut od czasu, gdy Kander i Ebb stworzyli swój „Cabaret”...

Z „Daily News”:

Dennis Wallace - ELEGANCKA, ŚMIAŁA, PEŁNA EROTYKI REWIA WCHODZI NA SCENĘ

Wezwij taksówkę, wsiądź do metra albo po prostu przejdź się do centrum, do „Village Club”, gdzie minionej nocy odbyła się premiera rewii Dana Dansera - „The Sexes”. Danser, którego przedstawienia stały się broadwayowską legendą, powrócił do swej ulubionej formy - rewii muzycznej - i przeszedł wszystko, co komukolwiek udało się za mojej pamięci osiągnąć w tej dziedzinie. To mądre i dowcipne dziecięcioosobowe przedstawienie wyróżnia się niezwykle starannymi kostiumami, doskonałym oświetleniem, scenografią i godną pozazdroszczenia dynamiką. Nim przejdę do obsady, wspomnę jeszcze, że prawdziwymi gwiazdami przedstawienia, poza Danserem, byli Taryn Tremayne, autorka tekstów, i Joshua Hammond, kompozytor. Aż trudno uwierzyć, że to ich debiut! Kiedy po raz ostatni zdarzyło wam się tupnąć nogą w takt muzyki albo nucić niektóre utwory zaraz w trakcie przerwy? Nie próbujcie odpowiedzieć; ja również nie potrafiłbym sobie przypomnieć. Uta-

lentowany tandem dostarczył nam utworów, które długo jeszcze będą nam towarzyszyć. Zgaduję - nie, przewiduję! - że piosenki dwojga utalentowanych ludzi wkrótce staną się standardami..

Z „Timesa”:

Fred Parmalee - DANSER WYSTAWIA „THE SEXES”
Dan Dancer, l'enfant terrible Broadwayu, wrócił do źródeł. Dla naszej uciechy zrealizował „mały show”, lecz słowa „ mały ” nie da się użyć w odniesieniu do talentu, z jakim zostało zrobione przedstawienie w „ Village Club ”, którego premiera odbyła się wczoraj wieczorem. To nadzwyczajny fenomen, który mogę porównać wyłącznie z eksplozją Wezuwiusza. Pamiętacie rewie? Niegdyś, gdy istniała jeszcze grupa utalentowanych autorów i kompozytorów, cieszyły się one wielką popularnością. A dziś? Proszę się nie martwić. Mamy jeszcze zdolnych muzyków. Ich nazwiska to Taryn Tremayne i Joshua Hammond. Jak sam tytuł wskazuje, tematem tej muzycznej fantazji jest odwieczna walka płci. Historia opowiedziana jest sercem, choć niejedną z nas użyłby zapewne słowa „ krocze”. Słodka i kwaśna, łagodna i pikantna jednocześnie, ze znajomością rzeczy obnaża słabostki, namiętności i uczucia, które składają się na obraz współczesnych stosunków damsko-męskich. Umiejętności Tremayne i Hammonda są ogromne. Przypuszczam, że cała rzesza gwiazd zechce nagrać piosenki z tego przedstawienia, a zwłaszcza rozdzierającą serce balladę z drugiego aktu, zatytułowaną „Żegnaj, kochanku - witaj, przyjacielu ”.

Wokół trzech olbrzymich powiększeń znajdował się cały szereg niewielkich plastikowych ramek, w które oprawione zostały inne drobiazgi związane z przedstawieniem: telegramy od rodziców Taryn i przyjaciół z Hudson Valley, kilka zdjęć zrobionych w czasie prób, program z podpisami

wszystkich wykonawców i obsługi technicznej i, w końcu, zdjęcie Josha i Taryn przy pianinie w trakcie śpiewania „Żegnaj, kochanku -witaj, przyjacielu” na inauguracyjnym przyjęciu dla gości.

Odwróciła się; ogarnęła ją fala mdłości. Początkowo myślała, że winne jest temu poranne bieganie. A może należało poczekać ze śniadaniem? Wsadziła głowę między kolana i zaczęła głęboko oddychać. Nudności ustąpiły. Dlaczego ciągle oszukuje sama siebie? To nie ma związku ani zjedzeniem, ani zbieganiem! Dlaczego nie zdejmie ze ściany tego zdjęcia? Kiedy przestanie mu się wreszcie przyglądać?

Wiedziała jednak, dlaczego trzyma je na widoku. Chciała pamiętać to przyjęcie sprzed trzech tygodni, podczas którego Josh ją opuścił. Po jego wyjściu stało się dla niej prawdziwym koszmarem. Nie mogła tak po prostu wyjść, nie mogła również udawać, że nic się nie stało. Ruch w klubie był wówczas tak wielki, że nieobecność Josha zauważyło tylko parę osób. Jedną z nich był Alex.

-Za dużo wypił - skłamała - i wrócił do domu.

Potem zapytał o niego Dan.

-Jest tu gdzieś. Chyba widziałam, jak tańczył.

Nawet Didi, swojej najbliższej przyjaciółce, nie potrafiła powiedzieć wszystkiego.

-Mieliśmy drobną sprzeczkę i poszedł do domu. Wyjaśnimy to sobie jutro.

Nic się jednak nie wyjaśniło. Ani następnego dnia, ani później. Próbowwała dodzwonić się do Josha, ale zastała tylko Happy, która właśnie wróciła z Vermont i nie wiedziała, gdzie go można znaleźć. Powiedział tylko tyle, że jakiś czas go nie będzie. Po namyśle Taryn zrezygnowała z zostawienia u niej wiadomości.

Przedstawienie odniosło sukces; wyprzedano bilety na sześć miesięcy naprzód. Dan znowu wyjechał na Zachodnie Wybrzeże i zajął się przygotowywaniem tamtejszej wersji

„The Sexes”, której premiera miała odbyć się pierwszego stycznia. Popularna piosenkarka nagrała piosenkę „Żegnaj, kochanku -witaj, przyjacielu” i wkrótce znalazła się ona na liście przebojów. Taryn myślała o powrocie do pracy, nieobecność Josha sprawiała jednak, że wszystko wydawało jej się pozbawione sensu.

Zadzwijał dzwonek. Spojrzała na zegarek. Była ósma trzydzieści. Zdziwiona podeszła do domofonu i podniosła słuchawkę.

-Kto tam?

-Nadia, kochanie. Mogę wejść?

Nadia była ostatnią osobą, z którą Taryn miała ochotę się spotkać.

-Taryn, moja droga! Tak mi przykro, że ci przeszkadzam. Nie dzwoniłam, bo bałam się, że w najlepszym razie odpowie mi automatyczna sekretarka, a ja po prostu muszę z tobą porozmawiać!

-Wejdz i rozgrzej się trochę, Nadiu.

Dotarłszy na górę, Nadia zdjęła futro z lisów i rzuciła je na jedno z krzeseł. Taryn, zdumiona, przyjrzała jej się uważnie. Miała na sobie długą suknię, obszytą bursztynowymi cekinami.

-Wracasz z jakiegoś przyjęcia?

-Coś w tym rodzaju, Taryn. Kochanie, czuję u ciebie zapach świeżej kawy. Pewnie jesz śniadanie. Czy byłabyś tak uprzejma i dała mi coś do picia, jakiś sok...

-Oczywiście, usiądź. Zaraz coś przyniosę. Skąd wracasz?

-Z Plaza.

Taryn przyniosła szklanek soku pomarańczowego i usiadła naprzeciwko niej.

-O co chodzi? Czy coś się stało?

-Nic takiego, kochanie - odrzekła Nadia i pociągnęła łyk napoju. - Mam dobre wiadomości, nie wiem tylko, jak

na nie zareagujesz. Postanowiłam, że przyjdę i powiem ci osobiście. Wesley poprosił mnie, bym za niego wyszła.

-Kiedy to się stało?

-Wczoraj wieczorem, przy kolacji. Inaczej nie poszłabym z nim do łóżka. Powiedziałam ci, że zmienię reguły gry i, sama widzisz, nowa strategia okazała się skuteczna.

-Nie wiem, co powiedzieć, Nadiu. Jeśli właśnie tego chcesz... I jeśli tego chce Wesley...

-Jestem szczęśliwa, Taryn. Trudno mi powiedzieć, co myśli Wesley, mogę cię jednak zapewnić, że zamierzam go uszczęśliwić. Tego wieczora, gdy przyszedł na premierę, zdał sobie sprawę, że nigdy nie będzie cię miał i - wyznam ci bez skrępowań - postanowił zadowolić się mną.

-Gdzie on teraz jest?

-Zostawiłam go w hotelu. Spał jeszcze, gdy wychodziłam. Wstałam bardzo wcześnie, ubierałam się w ciemności. Podoba ci się moja suknia? To oryginalny Norell. Potem przyszedł do ciebie. Może jestem głupia. Wiem, że dla ciebie wszystko skończyło się dawno temu, mimo to, pozostając nadal twoją najlepszą przyjaciółką, nie chciałam, byś myślała, że zajmuję działkę, z której ty się jeszcze nie wycofałaś.

-To bardzo grzecznie z twojej strony, Nadiu. Nie masz jednak czym się przejmować. Jeśli o mnie chodzi, Wesley był już wolny od dłuższego czasu.

-Dla mnie był wolny dopiero od chwili, w której pogodził się z utratą ciebie.

-Cieszę się, że to się wreszcie stało.

-Wiem, że zachowywałam się dziwnie na tamtym premierowym przyjęciu, ale byłam strasznie zmieszana. Nie wiedziałam, czy wrócisz do Wesleya, czy nie. Nie wiedziałam też, na ile poważnie związana jesteś z Joshem.

-Obawiam się, że to już przeszłość.

-Jak to?

-Josh jest przeświadczony, że to ja zachęciłam Wesleya do zainwestowania w nasze przedstawienie... A ja o niczym przecież nie wiedziałam!

-Oczywiście! Wesley powiedział mi, że będzie to dla ciebie niespodzianka. Jestem przekonana, że miał nadzieję, iż wrócisz do niego. Nie sądzę, by liczył na to, że przedstawienie odniesie taki sukces. Był strasznie zaskoczony. Chcesz powiedzieć, że to z powodu Wesleya doszło między wami do kłótni?

-Niestety tak. Od tamtego czasu nie widziałam Josha ani razu.

-Dlaczego nie skontaktowałaś się z nim i nie wyjaśniłaś wszystkiego?

-Próbowałam. Albo go nie było, albo nie chciał ze mną rozmawiać.

-Boże, ci faceci to prawdziwa plaga! Mimo wszystko nie rozumiem, dlaczego się na ciebie rozgniewał.

-Prawdopodobnie uważa, iż cały czas chciałam utrzymywać ścisłe kontakty z Wesleyem. Może pomyślał, że ponad nasz związek przedkładałam swoją karierę?

-Nie spotykasz go na zajęciach?

-Zajęcia z Alexem już się skończyły. Tak naprawdę to przestaliśmy na nie uczęszczać już dawno, bo zbyt zajęci byliśmy przedstawieniem.

-Nie wiesz, gdzie on może być?

-Nie mam pojęcia! Myślę, że mógł pojechać do Północnej Karoliny, do swoich rodziców.

-Postąpił okropnie, nie próbując się nawet z tobą skontaktować! Mimo wszystko jestem pewna, że pojawi się tu wkrótce.

-Nie znasz go. Potrafi być bardzo uparty. Nadia dopiła swój sok i wstała.

-Muszę wracać do hotelu. Wesley jest niezłym śpiochem, więc chyba mu mnie nie brakowało. Jeśli się obudził,

to zdejmę suknię, wśliznę się do łóżka i powiem mu, że byłam na spacerze. Wolalabym, żeby nie dowiedział się o naszej rozmowie.

-Nie musisz się obawiać. Nic mu nie powiem.

-Przyjdiesz na nasze wesele? - zapytała niepewnie

Nadia.

-Oczywiście.

Odprowadziła swego gościa do windy. Drzwi otworzyły się, przyjaciółki uściśniły się i Nadia pojechała na dół. Taryn uświadomiła sobie nagle, że mówiąc o związku z Wesleyem, ani razu nie użyła słowa „miłość”.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu. Pobiegła do mieszkania, modląc się, żeby to był Josh.

-Halo? - odezwała się zdyszana.

-Tu Didi. Czy dzwonię o niewłaściwej porze?

-Dla mnie każda pora jest niewłaściwa, Didi.

-Josh ciągle się nie odezwał?

-Ani słowem.

-Nie martw się, Taryn. Wszystko się ułoży, jestem tego pewna. Kochacie się zbyt mocno, by długo wytrzymać bez siebie. Tymczasem mogę przekazać ci wiadomości, które powinny cię rozweselić. Rozumiem, że nie czytałaś wczorajszych gazet?

-Nie, jeszcze nie. Co się stało?

-Poczekaj, zacytuję dosłownie. To się ukazało w dziale teatralnym „New York Timesa”. Cytuję: Nominacje do Specjalnej Nagrody Krytyki. Napłynęły już nominacje do Specjalnej Nagrody Krytyki, jednej z najważniejszych nagród przyznawanych twórcom teatralnym.

Taryn wstrzymała oddech, a Didi ciągnęła dalej:

-Nominacje w dziedzinie sztuk muzycznych otrzymały... jesteś gotowa? „Pale Moon Rising”, „Home Remedies”, „Betweet and Between” oraz „The Sexes”!

-To wspaniale, Didi. Dan będzie szczęśliwy.

-Dan dostał nominację jako najlepszy reżyser. Są też nominacje dla naszej trupy za role. Poza tym jest jeszcze coś, co może cię zainteresować. Tylko gdzie to było? O, jest! Nominacja dla najlepszego autora/autorów: „A Cold Night in Harlem”, „Home Remedies”, „Wio Is Sylvia?” i... - Didi zawiesiła głos.

-Naprawdę? Nie żartujesz? Dostaliśmy z Joshem nominacje?

-Tak tu napisano, złotko. A „New York Times” nie kłamie. Pozwól, że pierwsza pogratuluję ci sukcesu. Naprawdę na to zasługujecie i jeśli istnieje w tym parszywym świecie jakaś sprawiedliwość, to powinniście otrzymać tę nagrodę. Miałam okazję zapoznać się z pozostałymi przedstawieniami. Mówiłam ci już chyba, że spotykam się z facetem, który do wszystkich trzech przygotowywał choreografię. Ten się musiał namęczyć! Muzyka jest w nich przeraźliwie wtórna. Owszem, melodie wpadają w ucho, ale nie sposób się pozbyć wrażenia, że gdzieś już się to wszystko słyszało. - Didi zamilkła na chwilę, po czym zaproponowała nieśmiało: - Może być tak zadzwoniła do Josha?

-Nie mam numeru do jego rodziców.

-To wymówka! Wiesz, gdzie mieszkają. Ilu tam może być Hammondów?

-Nie chcę używać tych nominacji jako pretekstu do poszukiwań. Jeśli nie będzie chciał się ze mną widzieć, będzie to dla mnie prawdziwy cios, a tak mogę przynajmniej mieć nadzieję...

-Popełniasz błąd, Taryn, no, ale to nie moja sprawa. Jeśli będziesz mnie jednak potrzebować - zadzwoń.

-Dziękuję, Didi. Jesteś naprawdę kochana. Porozmawiamy później.

Odłożywszy słuchawkę, Taryn ukryła twarz w dłoniach. Z oczu zaczęły jej płynąć łzy. Oczyma wyobraźni widziała mgliste, niewyraźne sceny. W każdej pojawiał się Josh - Josh w czapce, przy fortepianie, śmiejący się

do niej, Josh robiący pompki na plaży, Josh przepasany ręcznikiem przed wyjściem na przyjęcie inauguracyjne. Zawsze ten sam Josh.

Te wspomnienia przygnębiły ją jeszcze bardziej. Poczula się przeraźliwie samotna. Co się stało z jej szczęściem? Jego miłość wpłynęła na zmiany jej planów życiowych, ożywiła jej nadzieję i odmieniła jej życie. Odmienił ją całą i odszedł.

Zaczął padać gęsty śnieg. Wstała i zaciągnęła story - światło stało się zbyt intensywne. Wokół panowała cisza. Nie słyszała nic poza tykaniem ściennego zegara, który wolno odmierzał mijające minuty jej życia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności uroczystość przyznania Specjalnych Nagród Krytyki miała się odbyć właśnie w „Village Club”. Stłoczeni pod markizami dziennikarze próbowali rozgrzać się rozcieraniem przemarzniętych dłoni i gorącą dyskusją. Pogoda zdawała się szanować mającą się tu odbyć wieczorem uroczystość: deszcz splukał brudny śnieg, ulica lśniła w świetle neonów.

Z wynajętej limuzyny, która zatrzymała się przed drzwiami klubu, wysiadł Dan Danser. Miał na sobie intensywnie niebieską lotniczą kurtkę skórzaną, spod której wystawały poły fraka. Odwrócił się i pomógł wysiąść Taryn, ubranej w sięgający do kostek szmaragdowozielony atłasowy płaszcz, spod którego wyłaniała się również atłasowa suknia. Rozbłyśły flesze i reporterzy zasypali ich gradem pytań.

-Panie Danser, dowiedzieliśmy się, że wraz z Taryn Tremayne i Joshuą Hammondem przygotowuje pan na wiosnę nowe przedstawienie.

-Dan uśmiechnął się.

Na razie pozostaje to tylko w sferze nie skonkretyzowanych planów.

-Doszły nas pogłoski, że zerwała pani współpracę z pa-

nem Hammondem - zwróciła się do Taryn jedna z dziennikarek. - Czy to prawda?

-To tylko plotki. - Dan wyręczył zmieszaną dziewczynę.

-W jakiej kategorii spodziewają się państwo zdobyć nagrodę: dla najlepszego reżysera, za muzykę, za musical?

-Oczywiście mamy nadzieję, że zostaną nam przyznane wszystkie nagrody - odparł Dan, popychając Taryn do środka.

W korytarzu ścisnęła mocno jego ramię i szepnęła:

-Boję się spotkania z Joshem. Na pewno tu będzie, prawda?

-Rozmawiałem z nim przez telefon. Powiedział, że wyłeci dziś po południu. Zapewne już tu jest.

-Wie już, dlaczego Wesley zainwestował w przedstawienie?

-Tak. Powiedziałem mu, że Wesley nie wspominał o tobie, gdy rozmawiałem z nim na temat finansowego wsparcia. Nie miałem pojęcia, że się znacie, dopóki nie zauważyłem podczas przyjęcia, że rozmawiacie ze sobą. Gdybym tylko wiedział o tym wcześniej! Dzięki Bogu Didi miała na tyle przytomności umysłu, że zadzwoniła do mnie i o wszystkim mnie powiadomiła. Cóż za idiotyczne nieporozumienie! Ale teraz nie ma to już znaczenia, uwierz mi. Kiedy będziesz miała za sobą tyle romansów co ja, zrozumiesz, że zawsze może dojść do jakiegoś nieporozumienia.

-Josh ci uwierzył?

Dan uśmiechnął się.

-Wszyscy wierzą Danowi Danserowi. A teraz postaraj się pięknie uśmiechnąć, no, proszę! Jest kilka nagród do zdobycia i na pewno coś nam przypadnie. Na pewno!

Poprowadził ją do stolika, stojącego w samym środku klubu. Didi z Alexem już byli. Taryn natychmiast poczuła się lepiej - brak jej było przyjaznego otoczenia. Gdy przechodziła między stolikami, ludzie wokół niej szeptali, bili brawo, ktoś życzył jej powodzenia. Uśmiechała się i dziękowała skinieniem głowy.

Wkrótce zajęta już była rozmową z przyjaciółmi. Starła się nie unikać poruszania sprawy Joshua, którego puste krzesło stało obok. Mel przesłał im, wraz z życzeniami, butelkę szampana. Kelner właśnie kończył rozlewać musujący płyn do kieliszków, gdy ceremonia rozpoczęła się.

„Gdzie on jest? - zastanawiała się Taryn. - Co się stanie, gdy się spotkają? Czy zdołają się przełamać i jeszcze raz podjąć współpracę? Co będzie z ich uczuciem? - Spojrzała na puste krzesło. - A może Dan się mylił? Może Josh zmienił zdanie i nie przyjdzie? Jeśli tak będzie, jak wytłumaczy jego nieobecność w razie przyznania im nagrody?”

-W kategorii za najlepszy utwór... - rozległ się głos konferansjera.

Taryn wyprostowała się i spojrzała na scenę. Gdzie jest Josh?

-...nominacjęotrzymali...

Przymknęła powieki i przygryzła dolną wargę. Ledwie mogła oddychać. Czas na chwilę stanął w miejscu. Usłyszała jedynie echo słów Joshua, gdy po raz pierwszy proponował jej współpracę: „Pomyśl o tym. Nie ma nic gorszego niż miłosna piosenka bez słów”. W tym momencie poczuła, że ktoś szturchnął ją w bok.

-...nagrodę otrzymują Taryn Tremayne oraz Joshua Hammond za rewię „The Sexes”!

Didi zapiszczała, Alex zaczął bić brawo. Taryn rozejrzała się nieprzytomnie dookoła.

-Gdzie jest Josh?

W tym momencie poczuła, że zimny dreszcz przechodzi jej po plecach: w drzwiach klubu ukazał się Josh.

Najwyraźniej dopiero przybył z lotniska - miał na sobie lekki przeciwdeszczowy płaszcz, w rękę trzymał walizkę. Wstała, podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

-Zwyciężyliśmy, zwyciężyliśmy! Chodź, musimy iść na scenę!

Ciągnęła go za sobą, jednocześnie pomagając mu zrzucić płaszcz, który wraz z walizką zostawili przy stole. Gdy weszli na scenę, widzowie wstali i przywitani ich burzą oklasków. Ręka w rękę weszli na podium, gdzie mistrz ceremonii wręczył im nagrody. Josh cofnął się i oddał głos Taryn. Rzeka drżącym głosem, unosząc do góry otrzymaną nagrodę:

-Niech ta nagroda będzie zachętą dla rodzących się talentów. Mam nadzieję, że innym powiedzie się tak jak nam, że znajdą swych Danów Danserów, którzy pomogą im zrealizować swoje marzenia. Chciałabym też podziękować Alexandrowi Lehrmanowi za to, że pomógł nam się odnaleźć, i Melowi Howardowi za to, że udostępnił nam to piękne miejsce. Oczywiście dziękuję również aktorom, obsłudze technicznej i muzykom, którzy nie skąpili nam swego talentu. Dziękuję wszystkim.

Powiedziawszy to, cofnęła się. Jej miejsce zajął Josh.

-Dodam tylko jedno. Chciałabym podziękować mojej pięknej partnerce za to, że daje mi natchnienie. Bez niej nie ma we mnie muzyki.

Zeszli ze sceny wśród wiwatów i oklasków. Josh podał jej rękę i poprowadził ją do pustej garderoby.

-Chodź, musimy porozmawiać.

Gdy znaleźli się w środku, zamknął drzwi i przekręcił zamek.

-Nie chcę, by ktokolwiek nam przeszkadzał. Długo przygotowywałem sobie tę mowę, Taryn. Myślałem, że potrafię wygłosić ją bezbłędnie, gdy jednak znów cię zobaczyłem, gdy znów przekonałem się, jaka jesteś olśniewająco piękna, zacznę prawdopodobnie gubić wątek, dlatego proszę cię, byś była wyrozumiała.

Taryn wstrzymała oddech. Czy jeszcze raz powtórzy jej wszystko to, co powiedział tamtego wieczoru w „Little Club”? Czy miał zamiar prosić ją o to, by podjęli współpracę... i nic więcej? Wpatrywała się błagalnie w jego oczy,

próbując odgadnąć słowa, nim je wypowie. Jego twarz nie zdradzała jednak żadnych uczuć - musiała zdobyć się na cierpliwość. Uniósł z toaletki leżący tam kapelusz. Był to jasnoniebieski melonik, przystrojony wstążką z pawimi piórami. Założył go na bakier.

-No, tak będzie lepiej. Muszę mieć ten kapelusz na głowie; łatwiej mi w nim myśleć. Po pierwsze - żałuję, że nie ma lepszego słowa niż „przepraszam”, bo chcę cię przeprosić za moje głupie zachowanie. Zawsze myślałem, że nie mam żadnych uprzedzeń, okazało się jednak, że to przeświadczenie stało się najgorszym uprzedzeniem. Wyrastałem w ubogiej rodzinie, co sprawiło, że zacząłem pogardzać bogatymi, a także - tak! - odrobinę im zazdrościć. Gdy dowiedziałem się, że Wesley zainwestował pieniądze w przedstawienie, myślałem, że powodem mojego gniewu jest domniemana sympatia, jaką dla niego żywisz. - Zamilkł na chwilę. -To jednak nie była prawdziwa przyczyna. Moją niechęć wywołał fakt, że on mógł zrobić dla ciebie coś, o czym ja mogłem tylko marzyć. Miał pieniądze i inwestując je w przedstawienie, umożliwił jego realizację. Powiniennem czuć wdzięczność; niestety, zachowałem się jak skończony dureń. Wybaczysz mi to? Wybaczysz mi moją cholerną ambicję?

-Czy ci wybaczę? Josh, nic ci nie muszę wybaczać! Gdybym powiedziała, że ci wybaczam, byłabym hipokrytką. Sama wiele razy zachowałam się jak idiotka. Jedną nogą tkwiłam w przeszłości, drugą - w teraźniejszości. Nic nie poradzę na to, tak zostałam wychowana. Nie potrafię przestać trzymać się kurczowo starych uprzedzeń - to ubranie, z którego ciągle jeszcze nie mogę wyrosnąć. Mam nadzieję, że zmieniłam się na lepsze. Wierzę, że tak się stało, i bez względu na to, co z nami będzie - zawsze będę ci za to wdzięczna.

-Rzeczywiście, zmieniłaś się, Taryn. Kocham cię i ufam, że ty również mnie kochasz. Jakie to proste! - Prze-rwał i uśmiechnął się do niej. -I nawet jeśli w dalszym cią-

gu jesteś odrobinę zepsuta, za to również cię Kocham. - Poważniejąc dotknął jej policzka. - Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez ciebie. Jesteś tą, której szukałem przez całe życie. Poza tym moja muzyka nie może bez ciebie istnieć. -Zwrócił jej twarz ku sobie i uśmiechnął się znowu. - Wszystko nakazuje nam kochać się wzajemnie. Świat rozpaczliwie potrzebuje miłosnych piosenek.

Objął ją ramieniem. Wiedziała już, że wszystko jest w porządku. Musnął wargami jej usta.

-Tak a propos, to chciałem ci pogratulować.

-Ja tobie również. Wygląda na to, że nasza rewia ma przed sobą długie, szczęśliwe życie.

-Święte słowa! - przytaknął Josh i pocałował ją mocno.

-Mam nadzieję, że podobnie będzie z nami.

RS